ILUSTROWANY KALENDARZ POWIEŚCIOWY WOLNE CHWILE

NA ROK

1921



ROCZNIK VIII.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „SENZACYA“, KRAKÓW, ZIELONA 7.

Z DRUKARNI PRZEMYSŁOWEJ W KRAKOWIE.

Na Nowy Rok.

Witaj nam roku dwudziesty i pierwszy!
Choć cię witamy z obawą i drżeniem,
Czy będziesz dla nas hojniejszy i szczerszy,
Czy dalej będziesz darzył nas cierpieniem?

O Roku Nowy! zagoj wszystkie rany,
Które nas piekły przez poprzednie lata.
Niech się zielenią pokryją kurhany
Smutków, zaznanych od ludzi i świata.

Wszak trosk w ubiegłym mieliśmy bez liku:
To krwawe walki hen na Ukrainie,
Broniąc Ojczyzny swej od bolszewików,
Aż tam, gdzie siny Dniepr do morza płynie.

A na zachodzie niemiecka nawała,
Wróg stokroć gorszy, bo nigdy nie syty,
Na naszą zgubę z radością czyhała,
By nam sfałszować ludu plebiscyty.

I Czech spoglądał na śląską ziemicę,
Myśląc przebiegle, po cichu i skrycie:
»Niech Polska przegra, to ja Śląsk pochwycę!«
Ten Śląsk kochany, droższy nam nad życie!

O Roku Nowy! daj zapomnieć snadnie,
To bole, jakie dawał nam rok stary;
Niech samo szczęście w tobie nam przypadnie,
A będziem ciebie kochali bez miary!!!

Styczeń

ma dni 31.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1 S.	**Nowy Rok. Miecz.** ☾	**19 Hruden 1920**	♎	7 59	4 9	0 8	11 30
2 N.	**1 po N. R.** *Im. Jez.*	20 Ihnatija j.	♎	7 59	4 10	1 17	11 57
3 P.	Genowefy	21 Juliany	♏	7 59	4 11	2 24	12 27
4 W.	Tytusa b.	22 Anastazyia m.	♏	7 59	4 12	3 27	1 1
5 Ś.	Telesfora p.	23 10 mucz. w Kr.	♐	7 59	4 13	4 27	1 38
6 C.	**Sw. Trzech Króli**	24 Jewhenyi † *Wih.*	♐	7 58	4 14	5 23	2 22
7 P.	Lucyana	**25 Rożdżest. Chrysta**	♐	7 58	4 15	6 13	3 10
8 S.	Seweryna i Maks.	**26 Sobor Pr. Boh.**	♑	7 58	4 16	6 57	4 4
9 N.	**1 po 3 Kr. Juliana** ●	**27 Stefana p. mucz.**	♑	7 57	4 17	7 34	5 1
10 P.	Agatona p.	28 2000 Mucz.	♒	7 57	4 19	8 7	6 1
11 W.	Honoraty	29 SS. Mład. ubit.	♒	7 56	4 20	8 36	7 2
12 Ś.	Ernestyna	30 Anysyi	♒	7 56	4 21	9 2	8 4
13 C.	Hilarego	31 Mełanyi	♓	7 55	4 22	9 26	9 8
14 P.	Feliksa m.	**1 Siczeń 1921**	♓	7 54	4 23	9 49	10 13
15 S.	Pawła I. pustelnika	2 Sylwestra, papy	♈	7 54	4 25	10 13	11 19
16 N.	**2 po 3 Kr. Marcel**	3 Małachia	♈	7 53	4 27	10 38	— —
17 P.	Antoniego pust. ☽	4 Sobor 70 Ap.	♉	7 52	4 29	11 6	0 26
18 W.	Piotra	5 Fteopempta	♉	7 51	4 30	11 39	1 35
19 Ś.	Ferdynanda	**6 Bohojawl. Hosp.**	♉	7 50	4 31	12 18	2 46
20 C.	Fabiana	**7 Joana Chrest.**	♊	7 50	4 33	1 7	3 55
21 P.	Agnieszki	8 Hryhorya jep.	♊	7 49	4 34	2 7	5 50
22 S.	Wincent. i Anast.	9 Połyjekta m.	♋	7 48	4 36	3 16	5 58
23 N.	**Starozap. Z. NMP.**	10 Hryhorya	♋	7 47	4 38	4 32	6 48
24 P.	Tymoteusza bisk. ⊛	11 Fteodota	♌	7 46	4 39	5 52	7 30
25 W.	Nawr. św. Pawła	12 Tatyany mucz.	♌	7 45	4 41	7 14	8 6
26 Ś.	Polikarpa	13 Jermyła	♍	7 43	4 43	8 32	8 37
27 C.	Jana Chryzostoma	**14 SS. Otec w S.**	♍	7 42	4 45	9 48	9 6
28 P.	Walerego	15 Pawła	♎	7 40	4 46	11 1	9 33
29 S	Franciszka Salez.	16 Petra Weryho	♎	7 39	4 48	— —	10 1
30 N.	**Mięsop. Mart.** ☾	17 Antonyja	♏	7 38	4 50	0 11	10 31
31 P.	Marceli wd.	18 Athanazya, Kir.	♏	7 38	4 51	1 17	11 3

Zmiany księżyca: ☾ Ostatnia kwadra dnia 1. o godz. 5 min. 34·7 rano.
● Nów dnia 9. o godz. 6 min. 26·8 rano.
☽ Pierwsza kwadra dnia 17. o godz. 7 min. 30·9 rano.
⊛ Pełnia dnia 24. o godzinie 0 min. 7·8 rano.
☾ Ostatnia kwadra dnia 30. o godz. 9 min. 2·1 wieczór.

ZAPISKI.

Luty
ma dni 28.



Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1	W.	Ignacego	19 Makarja pr.		7 35	4 53	2 19	11 39
2	Ś.	NMP Gromniczn.	20 Jewtymja		7 34	4 55	3 16	12 21
3	C.	Błażeja i Hipolita	21 Maksyma		7 33	4 57	4 9	1 7
4	P.	Weroniki	22 Tymofteja		7 31	4 59	4 55	1 59
5	S.	Agaty panny m.	23 Kłymenta j.		7 29	5 1	5 34	2 54
6	N.	Zapust. Doroty	24 Ksenyi pr.		7 27	5 2	6 9	3 53
7	P.	Romualda op.	25 Hryhorja Bł.		7 25	5 3	6 40	4 54
8	W.	Jana z Maty ●	26 Xenofonta prep.		7 24	5 5	7 7	5 57
9	Ś.	*Popielec.* Apolonii	27 Joana Złotoust.		7 22	5 6	7 32	7 0
10	C.	Scholastyki	28 Jefrema prep.		7 21	5 8	7 55	8 5
11	P.	Obj. NMP., Łuc.	29 Ihnatia		7 20	5 10	8 19	9 10
12	S.	Modesta męcz.	30 Trech świat.		7 18	5 12	8 44	10 17
13	N.	1 P. Wstępna. Kat.	31 Kyra		7 16	5 14	9 11	11 24
14	P.	Walentego kapł.	1 Lutyj. Tryfona		7 14	5 16	9 42	noc
15	W.	Faustyna ☽	2 Strytenje Hosp.		7 12	5 17	10 17	0 32
16	Ś.	Juliana	3 Symeona i Anny		7 11	5 19	11 0	1 39
17	C.	Konstancyi	4 Izydora prep.		7 9	5 21	11 52	2 44
18	P.	Flawiana	5 Ahaftji m.		7 7	5 22	12 54	3 43
19	S.	Konrada wyzn.	6 Wukoła prepod.		7 5	5 24	2 5	4 35
20	N.	2 P. Sucha. Leona	7 Parten		7 3	5 25	3 22	5 20
21	P.	Andrzeja	8 Fteodora		7 1	5 27	4 41	5 59
22	W.	Kat. św. Piotra ○	9 Nykyfora mucz.		6 59	5 29	6 1	6 32
23	Ś.	Piotra Dam.	10 Charłampia m.		6 57	5 31	7 20	7 3
24	C.	Macieja	11 Własya		6 55	5 33	8 36	7 31
25	P.	Zygfryda	12 Mełetja		6 53	5 35	9 40	8 0
26	S.	Wiktora, Fortun.	13 Martyniana d.		6 51	5 36	10 59	8 30
27	N.	3 P. Głucha. Aleks.	14 Auksentija		6 49	5 38	noc	9 2
28	P.	Romana	15 Onysyma		6 47	5 40	0 5	9 39

Zmiana księżyca: ● Nów dnia 8. o godz. 1 min. 36·9 rano.
☽ Pierwsza kwadra dnia 15. o godz. 7 min. 53·2 wieczór.
○ Pełnia dnia 27. o godzinie 10 min. 32·3 przedpołudn.

ZAPISKI.

Marzec

ma dni 31.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1 W.	Albina i Anton. ☾	16 Pamfiłjona		6 45	5 42	1 6	10 18
2 Ś.	Symplicyusza	17 Fteodora mucz.		6 42	5 43	2 1	11 4
3 C.	Kunegundy	18 Lwa pap.		6 40	5 45	2 49	11 53
4 P.	Kazimierza	19 Archyppa		6 38	5 46	3 31	12 47
5 S.	Euzebiusza	20 Lwa ep		6 36	5 47	4 8	1 44
6 N.	4 P. Środop. Fryd.	21 Tymofteja		6 34	5 49	4 41	2 45
7 P.	Tomasza	22 SS. Mucz. w Ewh.		6 32	5 50	5 9	3 47
8 W.	Jana Bożego	23 Połykarpa jep.m		6 30	5 52	5 35	4 50
9 Ś.	Franciszka ●	24 Obriz. Hoł. ś. J.		6 28	5 54	5 59	5 55
10 C.	40 męczenników	25 Tarasja ar.		6 26	5 56	6 24	7 0
11 P.	Konstantyna	26 Porfyrja		6 24	5 57	6 49	8 7
12 S.	Grzegorza W.	27 Prokopia ar.		6 22	5 59	7 16	9 15
13 N	5 P. Czarna. Kat.	28 Wasyłya		6 20	6 1	7 45	10 24
14 P.	Leona	1 Mareć. Jewd.		6 18	6 2	8 19	11 32
15 W	Klemensa, Longina	2 Fteodota mucz.		6 16	6 4	9 0	—
16 Ś.	Hilarego	3 Jewtropia m.		6 14	6 6	9 48	0 35
17 C.	Gertrudy ☽	4 Harasyma		6 12	6 8	10 45	1 35
18 P.	Edwarda	5 Konona M.		6 9	6 9	11 50	2 29
19 S.	*Józefa Oblub.*	6 SS. 42 mucz.		6 7	6 11	1 2	3 14
20 N.	6 P. Palm. Eufemii	7 Wasyłyja mucz.		6 4	6 12	2 18	3 53
21 P.	Benedykta	8 Fteofyłakła		6 2	6 14	3 35	4 20
22 W	Katarzyny Szw.	9 SS. 40 mucz.		6 0	6 15	4 53	5 0
23 Ś.	Wiktora ○	10 Kondrata mucz.		5 58	6 17	6 2	5 29
24 C.	*W. Czw.* Gabryela	11 Sofronija prep.		5 55	6 18	7 24	5 58
25 P.	*W. Piątek.* Eman.	12 Teofana		5 53	6 20	8 37	6 28
26 S.	*W. Sobota.* Ruper.	13 Nykifora		5 51	6 22	9 46	6 59
27 N	Wielkanoc. Jana D.	14 Wenedykta		5 49	6 24	10 51	7 34
28 P	Pon. wielk. Sykst.	15 Ahapia m.		5 46	6 25	11 49	8 13
29 W.	Cyryla i Eust.	16 Sawyna, Juliana		5 44	6 27	—	8 57
30 Ś.	Kwiryna	17 Ałeksia prep.		5 42	6 28	0 41	9 46
31 C.	Balbiny p. ☾	18 Kiryła archiep.		5 40	6 29	1 47	10 39

Zmiany księżyca:
- ☾ Ostatnia kwadra dnia 1. o godz. 3 min. 3·2 popołud.
- ● Nów dnia 9. o godz 7 min. 9·2 wieczór.
- ☽ Pierwsza kwadra dnia 17. o godz. 4 min. 49·2 rano.
- ○ Pełnia dnia 23. o godzinie 9 minut 18·9 w nocy.
- ☾ Ostatnia kwadra dnia 31. o godz. 10 min. 13·4 przedpoł.

ZAPISKI.

Kwiecień

ma dni 30.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1 P.	Hugona	19 Chryzanta	♑	5 38	6 31	2 6	11 35
2 S.	Franciszka z P.	20 Prep Ot. w Ob. S.	♒	5 36	6 33	2 40	12 34
3 N.	**1 po Wielk.** Rysz.	21 Jakowa ep.	♒	5 34	6 34	3 10	1 35
4 P.	**Zwiastowanie NMP**	22 Wasyłya	♒	5 32	6 36	3 37	2 37
5 W.	Wincentego	23 Nikona	♓	5 30	6 37	4 2	3 41
6 Ś.	Celestyna	24 Zacharya	♓	5 28	6 39	4 27	4 47
7 C.	Rufina	25 **Błahow. pr. Boh**	♈	5 26	6 40	4 51	5 54
8 P.	Dyonizego ●	26 Sobor. Hawr.	♈	5 23	6 42	5 17	7 3
9 S.	Maryi Kleofas.	27 Matrona	♈	5 20	6 44	5 47	8 13
10 N.	**2 po W.** Ezechiela	28 Iłaryona	♉	5 18	6 46	6 20	9 22
11 P.	Leona p.	29 Makarya	♉	5 16	6 47	6 59	10 28
12 W.	Zenona b. m.	30 Joana	♊	5 14	6 49	7 45	11 31
13 Ś.	Justyna	31 Hipatya	♊	5 12	6 50	8 40	—
14 C.	Tyburtiusza	1 **Cwiteń.** Maryi J.	♋	5 10	6 52	9 42	0 26
15 P.	Anastazyi ☽	2 Tyta	♋	5 8	6 53	10 52	1 13
16 S.	Urbana, Joach.	3 Kseni	♌	5 6	6 55	12 4	1 54
17 N.	**3 po W.** Rudolfa	4 Josyfa, Hreh.	♌	5 4	6 57	1 19	2 39
18 P.	Apoloniusza	5 Fteoduła	♍	5 2	6 59	2 34	3 0
19 W.	Tymona	6 Jewtychia episk.	♍	5 0	7 0	3 49	3 29
20 Ś.	Wiktora	7 Hrehorya	♎	4 58	7 2	5 3	3 57
21 C.	Anzelma bisk.	8 Irydyona	♎	4 56	7 3	6 16	4 26
22 P.	Sotera ○	9 Jewpsychia	♏	4 54	7 4	7 27	4 56
23 S.	Wojciecha bisk. m	10 Terentia	♏	4 52	7 6	8 33	5 29
24 N.	**4 po W.** Jerzego	11 Antypy jep.	♐	4 50	7 7	9 36	6 7
25 P.	Marka ew.	12 Wasyłyja prep.	♐	4 48	7 9	10 31	6 49
26 W.	Kleta i Marcelina	13 Artemona J.	♐	4 46	7 11	11 20	7 36
27 Ś.	Anastazego	14 Martyna papy	♑	4 44	7 13	— —	8 28
28 C.	Pawła od k., Wital.	15 Arystarcha	♑	4 42	7 14	0 2	9 23
29 P.	Piotra męcz.	16 **W. Piatok.** Ahapii	♒	4 40	7 16	0 39	10 22
30 S.	Katarzyny S. ☾	17 Symeona	♒	4 58	7 19	1 11	11 22

Zmiany księżyca: ● Nów dnia 8. o godz. 10 min. 5·2 przedpołudniem.
☽ Pierwsza kwadra d. 15. o godz. 11 min. 11 6 przedpoł.
○ Pełnia dnia 22. o godzinie 8 min. 49·4 wieczór.
☾ Ostatnia kwadra dnia 30. o godz. 5 min. 8·7 rano.

ZAPISKI.

Maj
ma dni 31.



Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1	N.	**5 po W. Filipa**	18 **Woskres. Chr.**		4 37	7 18	1 38	12 24
2	P.	Zygmunta	19 **Poned. Switlyj**		4 35	7 20	2 4	1 27
3	W.	**3 Maja.** Zn. ś. K.	20 **Wtorok Switlyj**		4 33	7 21	2 39	2 30
4	Ś.	Floryana	21 Januaria mucz.		4 32	7 23	2 53	3 36
5	C.	**Wniebowstąp. P. J**	22 Teodora pap.		4 30	7 25	3 19	4 44
6	P.	Jana w Oleju	23 Heorhija		4 27	7 26	3 46	5 54
7	S.	Domiceli, Gizeli ●	24 Saw. m.		4 26	7 28	4 18	7 5
8	N.	**6 po W. Stanisława**	25 Marka Ewang.		4 24	7 29	4 53	8 16
9	P.	Grzegorza	26 Wasyłyja		4 23	7 30	5 39	9 21
10	W.	Izydora rolnika	27 Symeona jepisk.		4 21	7 31	6 32	10 20
11	Ś.	Adolfa	28 Św. 9 mucz.		4 20	7 33	7 34	11 11
12	C.	Pankracego	29 Jasona ap.		4 18	7 35	8 41	11 55
13	P.	Serwacego	30 Jakowa ap.		4 16	7 36	9 54	— —
14	S.	Bonifacego m. ☽	1 **Maj.** Jeremy pr.		4 15	7 38	11 9	0 32
15	N.	**Zielone Swiątki**	2 Atanazya		4 13	7 39	12 23	1 4
16	P.	**Poniedz. Ziel. św.**	3 Tymofteja		4 12	7 40	1 37	1 34
17	W.	Paschalisa W.	4 Pełahyi mucz.		4 11	7 42	2 50	2 1
18	Ś.	Feliksa kapł.	5 Iryny m.		4 9	7 43	4 1	2 29
19	C.	Piotra Celest.	6 Jowa Prawedn.		4 8	7 44	5 11	2 58
20	P.	Bernarda	7 Joba		4 7	7 46	6 19	3 29
21	S.	Feliksa ☺	8 Joana Bohosł.		4 6	7 47	7 23	4 2
22	N.	**1 po S. Julii i An**	9 Isaji proroka		4 4	7 48	8 21	4 42
23	P.	Dezyd. i Grzegorza	10 Symeona		4 3	7 50	9 13	5 28
24	W.	Joanny	11 Mokia		4 2	7 52	9 59	6 18
25	Ś.	Urbana	12 Jepyfania		4 1	7 53	10 38	7 12
26	C.	**Boże Ciało.**	13 Hłykeryi		4 0	7 54	11 11	8 9
27	P.	Jana pap.	14 Izydora		3 59	7 55	11 40	9 9
28	S.	Wilhelma	15 Pachom. Wełyk.		3 58	7 56	-- —	10 10
29	N.	**2 po S. Maksyma** ☾	16 Fteodora		3 57	7 57	0 7	11 12
30	P.	Ferdynanda	17 Androna		3 57	7 58	0 34	12 15
31	W	Anieli i Petroneli	18 Petra i Fteodota		3 56	7 59	0 55	1 19

Zmiany księżyca: ● Nów dnia 7. o godzinie 10 min. 1·5 wieczór
☽ Pierwsza kwadra dnia 14. o godz. 4 min. 24·8 popoł.
☺ Pełnia dnia 21. o godzinie 9 min. 15·4 wieczór
☾ Ostatnia kwadra dnia 29. o g. 10 min. 44·6 wieczór.

ZAPISKI.

Czerwiec

ma dni 30.



Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1	Ś.	Jakóba b.	19 Patrykia	♉	3 56	8 0	1 19	2 26
2	C.	Marcelina	20 Ftałatea	♉	3 55	8 1	1 45	3 34
3	P.	*Serca Jez.* Erazma	21 Konst. i Ołeny	♉	3 54	8 2	2 15	4 43
4	S.	Franciszka Carrac.	22 Wasyłyja	♉	3 53	8 3	2 49	5 54
5	N.	3 po S. Bonifacego	23 Mychajła epysk.	♊	3 52	8 4	3 30	7 8
6	P.	Norberta ●	24 Symeona	♊	3 52	8 5	4 29	8 7
7	W.	Roberta	25 Obr. bł. Joana	♋	3 51	8 5	5 28	9 4
8	Ś.	Medarda b.	26 Karpa	♋	3 51	8 6	6 26	9 52
9	C.	Felicyana i Pel.	27 Woznes. Hosp.	♌	3 50	8 6	7 40	10 32
10	P.	Małgorzaty	28 Nykyty pr.	♌	3 50	8 7	8 56	11 8
11	S.	Barnaby	29 Fteodosyi mucz.	♍	3 50	8 8	10 12	11 38
12	N.	4 po S. Jana ☽	30 Izakyja	♍	3 50	8 9	11 37	— —
13	P.	Antoniego	31 Jeremija ap.	♍	3 49	8 9	12 41	0 6
14	W.	Bazylego b.	1 Czerw. Justyna	♎	3 49	8 10	1 52	0 34
15	Ś.	Wita i Modesta	2 Nykyfora, Alex.	♎	3 49	8 11	3 2	1 2
16	C.	Benona b.	3 Łukiłyana	♏	3 49	8 11	4 10	1 31
17	P.	Adolfa b.	4 Mitrofana	♏	3 49	8 12	5 14	2 4
18	S.	M. B. Nieust. P.	5 Doroftea jep.	♐	3 49	8 12	6 14	2 40
19	N.	5 po S. Juliana	6 Sosz. św. Ducha	♐	3 49	8 12	7 8	3 20
20	P.	Sylwerego ☺	7 Poned. Sosz.	♐	3 49	8 13	7 56	4 11
21	W.	Alojzego Gonzagi	8 Fteodora jep.	♑	3 49	8 13	8 37	5 4
22	Ś.	Paulina b.	9 Kyryła arch.	♑	3 50	8 13	9 12	6 0
23	C.	Agrypiny p.	10 Tymofteja m.	♒	3 50	8 13	9 44	6 59
24	P.	Jana Chrz.	11 Wartołomeja	♒	3 50	8 13	10 11	7 59
25	S.	Wilhelma. Prosp.	12 Onufrya	♒	3 50	8 13	10 36	9 1
26	N.	6 po S. Jana i Pawła	13 Akiliny i Tryf.	♓	3 51	8 13	10 05	10 3
27	P.	Władysława	14 Jełysseja p.	♓	3 51	8 13	11 23	11 6
28	W.	Leona pap. wyz. ☾	15 Amosa proroka	♉	3 52	8 13	11 48	12 9
29	S.	Piotra i Pawła ap.	16 Tychona	♉	3 52	8 13	— —	1 22
30	C.	Emilii i Lucyny	17 Mauniła mucz.	♉	3 53	8 13	0 15	2 14

Zmiany księżyca:
● Nów dnia 6. o godz. 7 min. 14·7 rano.
☽ Pierwsza kwadra dnia 12. o godz. 9 m. 59·5 wieczór.
☺ Pełnia dnia 20. o godzinie 10 minut 41·3 przedpołudn.
☾ Ostatnia kwadra dnia 28. o godz. 2 min. 17·0 popoł.

ZAPISKI.

Lipiec
ma dni 31.



Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1	P.	Teobalda	18 Łeontja m.		3 53	8 13	0 46	3 31
2	S.	Naw. NMP., Ottona	19 Judy Ftad. ap.		3 54	8 13	1 21	4 41
3	N.	7 po S. Anatola	20 Meftodya św. m.		3 55	8 13	2 5	5 47
4	P.	Ireneusza	21 Juljana m.		3 55	8 12	2 59	6 48
5	W.	Antoniego, Fil. ●	22 Jewsewya jep.		3 56	8 12	4 3	7 42
6	Ś.	Izajasza pr.	23 Ahrypiny m.		3 57	8 12	5 15	8 28
7	C.	Cyryla i Metodego	24 Rożdż. Joana		3 58	8 12	6 33	9 7
8	P.	Elżbiety kr.	25 Feuronii pr.		3 59	8 11	7 52	9 40
9	S.	Weroniki, Mikoł.	26 Dawyda prepod.		3 59	8 10	9 11	10 10
10	N	8 po S. 7 Braci m.	27 Sampsona		4 1	8 9	10 27	10 38
11	P.	Piusa I.	28 Kyra i Joana		4 2	8 8	11 41	11 6
12	W.	Jana Gw., Fel. ☽	29 Petra i Pawła		4 3	8 7	12 52	11 35
13	Ś.	Małgorzaty	30 SS. 12 Apostoł.		4 4	8 6	2 1	— —
14	C.	Bonawentury	1 Łypeń. Kosmy		4 5	8 6	3 6	0 7
15	P.	Henryka	2 Poł. r. Pr. B.		4 6	8 5	4 7	0 43
16	S.	*NMP. Szkapl.* Eust.	3 Jakynfta mucz		4 7	8 4	5 3	1 23
17	N.	9 po S. Aleksego	4 Andreja kryt.		4 8	8 3	5 53	2 8
18	P.	Szymona	5 Atfanasya		4 0	8 2	6 36	2 58
19	W.	Wincentego z P.	6 Łukji i Łukija		4 10	8 1	7 14	3 53
20	Ś.	Czesława ☉	7 Ftomy pr.		4 11	8 0	7 47	4 51
21	C.	Praksedy	8 Prokopa mucz.		4 12	7 59	8 15	5 51
22	P.	Maryi Magd.	9 Pankratja		4 14	7 58	8 41	6 52
23	S.	Apolinarego, Syd.	10 SS. 45 mucz.		4 16	7 57	9 5	7 53
24	N	10 po S. Krystyny	11 Jeftymiji, Ołeny		4 17	7 55	9 29	8 55
25	P.	Krzysztofa	12 Prokła i Iłarya		4 18	7 54	9 52	9 58
26	W.	Anny, matki NMP.	13 Hawryiła arch.		4 20	7 53	10 18	11 2
27	Ś.	Pantaleona, Aurelii	14 Akyły ap.		4 21	7 51	10 18	12 7
28	C.	Wiktora ☾	15 Kyryka		4 22	7 50	11 46	1 14
29	P.	Kunegundy	16 Atynogena		4 23	7 48	11 57	2 21
30	S.	Abdona, Julity	17 Maryny mucz.		4 25	7 47	— —	3 27
31	N.	11 po S. Ignacego	18 Jemyłyana		4 26	7 45	0 44	4 31

Zmiany księżyca: ● Nów dnia 5. o godz. 2 min. 36·3 przedpołudniem.
☽ Pierwsza kwadra dnia 12. o godz. 5 min. 15·7 rano.
☉ Pełnia dnia 20. o godzinie 1 min. 7·7 rano.
☾ Ostatnia kwadra dnia 28. o godz. 3 min. 19 9 rano.

ZAPISKI.

Sierpień
ma dni 31.



Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1	P.	Piotra	19 Makryny	♋	4 27	7 43	1 42	5 28
2	W.	*NMP. Anielskiej*	20 Iłyi proroka	♋	4 29	7 42	3 40	6 17
3	Ś.	Znal. św. Szczep. ●	21 Symeona pror.	♌	4 31	7 41	4 4	6 59
4	C.	Dominika	22 Maryi Mahdał.	♌	4 32	7 39	5 23	7 37
5	P.	*NPM. Śnież.*	23 Trofyma	♍	4 34	7 38	6 45	8 10
6	S.	Przem. P. J., Sykst	24 Chrystyny mucz.	♍	4 35	7 36	8 5	8 40
7	N.	**12 po S. Kajetana**	25 † Uspen ś. Anny	♎	4 36	7 34	9 22	9 9
8	P.	Cyryaka	26 Jermołaja m.	♎	4 38	7 33	10 37	9 30
9	W.	Romana, Juliana	27 Pantełejmona	♏	4 40	7 32	11 39	10 11
10	Ś.	Wawrzyńca ☽	28 Prochora ap.	♏	4 42	7 31	12 57	10 45
11	C.	Zuzanny	29 Kałynyka mucz.	♏	4 43	7 28	2 0	11 23
12	P.	Klary, Hil.	30 Syły ap.	♐	4 44	7 26	2 58	— —
13	S.	Hipolita, Kassyana	31 Ewdokima	♐	4 46	7 24	3 49	0 7
14	N.	**13 po S. Euzeb.**	**1 Serpeń.** Proisch.	♑	4 47	7 22	4 34	0 56
15	P.	**Wniebost. NMP.**	2 Stefana m.	♑	4 48	7 21	5 14	1 49
16	W.	Joachima, Rocha	3 Isaakya prepod.	♑	4 49	7 19	5 49	2 45
17	Ś.	Liberta	4 7 Otrokov w Ef.	♒	4 50	7 17	6 19	3 44
18	C.	Heleny ces. ☺	5 Ewsygnia mucz.	♒	4 52	7 15	6 46	4 15
19	P.	Juliusza	6 **Preobr. Hosp.**	♓	4 53	7 13	7 11	5 46
20	S.	Bernarda, Samuela	7 Dometya prep.	♓	4 55	7 11	7 34	6 48
21	N.	**14 po S. Jacka**	8 Jemyłyana jep.	♓	4 57	7 9	7 58	7 51
22	P.	Tymoteusza	9 Mafteja ap.	♈	4 58	7 7	8 23	8 54
23	W.	Poc. NMB., Filipa	10 Ławrentya m.	♈	5 0	7 5	8 50	9 58
24	Ś.	Bartłomieja	11 Jewpła m.	♈	5 1	7 3	9 21	11 2
25	C.	Ludwika kr.	12 Fotia mucz.	♉	5 2	7 1	9 56	12 8
26	P.	Zefiryna m. ☾	13 Maksyma	♊	5 4	6 59	10 29	1 11
27	S.	Józefa Kalasant.	14 Michea proroka	♊	5 5	6 57	11 39	2 16
28	N.	**15 po S. Augustyna**	**15 Usp. pr. Bohor.**	♊	5 7	6 55	— —	3 14
29	P.	Scięcie św. Jana	16 Nerukotwor. Ob.	♋	5 9	6 52	0 29	4 5
30	W.	Róży z Lim., Fel.	17 Myrona m.	♋	5 11	6 50	1 38	4 50
31	Ś.	Rajmunda	18 Flora i Ławra	♌	5 12	6 48	3 55	5 60

Zmiany księżyca: ● Nów dnia 3. o godz. 9 min. 17·5 wieczór.
☽ Pierwsza kwadra dnia 10. o g. 3 m. 13·7 popołudniu.
☺ Pełnia dnia 18. o godz. 4 min. 28·3 popołudniu.
☾ Ostatnia kwadra dnia 26. o godz. 1 min. 51·4 popołudn.

ZAPISKI.

Wrzesień

ma dni 30.



Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1	C.	Idziego	19 Andreja Str.		5 14	6 46	4 14	6 4
2	P.	Stefana kr. ●	20 Samuiła		5 15	6 44	5 39	6 36
3	S.	Bronisławy, Euf.	21 Ftadea apost.		5 16	6 42	6 54	7 7
4	N.	16 po S. Rozalii	22 Ahatfona mucz.		5 18	6 40	8 12	7 37
5	P.	Wawrzyńca	23 Łuppa m.		5 20	6 37	9 28	8 9
6	W.	Zacharyasza pr.	24 Jewtychia mucz.		5 22	6 35	10 40	8 43
7	Ś.	Anastazego, Reginy	25 Warftołomeja		5 23	6 33	11 47	9 21
8	C.	**Nar. Najśw. Maryi P.**	26 Adryana m.		5 24	6 30	12 49	10 4
9	P.	Gorgoniusza ☽	27 Pymena		5 26	6 28	1 43	10 52
10	S.	Mikołaja z T.	28 Moysea m.		5 27	6 26	2 31	11 43
11	N.	17 po S. Prota	29 **Usp. hł. ś. Joana**		5 28	6 24	3 13	— —
12	P.	*I. Maryi.* Amata	30 Ałeksandra		5 30	6 22	3 50	0 38
13	W.	Waleryana m.	31 Poł. poi. Pr. B.		5 31	6 19	4 22	1 37
14	Ś.	Podnies. św. Krz.	1 Wereseń. Sym.		5 33	6 17	4 49	2 37
15	C.	Nikodema	2 Mamanta m.		5 34	6 15	5 15	3 38
16	P.	7 bol. NMP. Ludm.	3 Antyma		5 36	6 13	5 39	4 40
17	S.	Piętna ś. Franc. 😊	4 Wawyły świasz.		5 37	6 11	6 8	5 43
18	N.	18 po S. Józefa z K.	5 Zacharyasza pr.		5 38	6 9	6 28	6 46
19	P.	Januarego	6 Wosp. cz. Mar.		5 39	6 7	6 56	7 50
20	W.	Eustachego	7 Makarya		5 41	6 5	7 24	8 56
21	Ś.	Mateusza	8 **Rożdż. Pr. Bohor**		5 43	6 2	7 58	10 1
22	C.	Tomasza	9 Joakima i Anny		5 45	6 0	8 37	12 5
23	P.	Lina, Tekli	10 Minodory		5 47	5 58	9 24	11 7
24	S.	NMP. Wyk., Ger. ☾	11 Fteodory prep.		5 48	5 55	10 20	1 6
25	N.	19 po S. Ładysł.	12 Awtenoma mucz.		5 50	5 53	11 23	1 58
26	P.	Cypryana	13 Kornyła		5 51	5 51	— —	2 44
27	W.	Kosmy i Damian.	14 **Wozn. św. Kresta**		5 52	5 49	0 34	3 24
28	Ś.	Wacława m.	15 Nykity m.		5 54	5 46	1 50	4 0
29	C.	*Michała arch.*	16 Josafata arch.		5 56	5 44	3 7	4 33
30	P.	Hieronima	17 Sofii		5 58	5 42	4 26	5 4

Zmiany księżyca: ● Nów dnia 2. o godz. 4 min. 33·0 rano.
☽ Pierwsza kwadra dnia 9. o godz. 4 min. 29·5 rano.
😊 Pełnia dnia 17. o godz. 8 min. 20·0 przedpołudniem.
☾ Ostatnia kwadra dnia 24. o g. 10 m. 17·7 wieczór.

ZAPISKI.

Październik
ma dni 31.



Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1	S.	Remigiusza, Julii ●	18 Jewmenia	♎	6 0	5 40	5 45	5 34
2	N.	**20 po S.** An. Str.	19 Trofyma mucz.	♎	6 2	5 38	7 2	6 5
3	P.	Kandyda	20 Eustachia m.	♏	6 3	5 35	8 17	6 39
4	W.	Franciszka Seraf.	21 Kondrata apost.	♏	6 5	5 33	9 28	7 16
5	Ś.	Placyda m.	22 Foky m. i Jowy	♐	6 6	5 31	10 34	7 58
6	C.	Brunona	23 Zaczat. Joan. Kr.	♐	6 7	5 29	11 33	8 44
7	P.	Justyny	24 Tekły m.	♐	6 8	5 26	12 26	9 35
8	S.	Laurencyi, Pel. ☽	25 Jewfrosyniji pr.	♑	6 10	5 24	1 16	10 30
9	N.	**21 po S.** Wincent.	26 Joan. Bohosł.	♑	6 11	5 22	1 48	11 27
10	P.	Franciszka b.	27 Kołystrata	♒	6 13	5 20	2 22	— —
11	W.	Gereona i Tow.	28 Charytona	♒	6 14	5 18	2 51	0 26
12	Ś.	Maksymiliana	29 Kyriaka pr.	♒	6 16	5 17	3 18	1 27
13	C.	Edwarda	30 Hryhorya mucz.	♓	6 17	5 15	3 43	2 28
14	P.	Kaliksta	1 Żowteń. Pokr. B	♓	6 19	5 13	4 7	3 31
15	S.	Jadwigi i Teresy	2 Kapryana św. m.	♈	6 21	5 10	4 31	4 34
16	N.	**22 po S.** Saturn. ◎	3 Dionysya	♈	6 23	5 8	4 57	5 39
17	P.	Wiktora	4 Jerofteja j.	♈	6 24	5 6	5 26	6 45
18	W.	Łukasza, Trytonii	5 Charytyny m.	♉	6 26	5 4	5 59	7 51
19	Ś.	Piotra z Al.	6 Tomy ap.	♉	6 27	5 2	6 37	8 57
20	C.	Felicyana	7 Serhya i Wakha	♊	6 29	5 0	7 22	10 1
21	P.	Urszuli p.	8 Pelagii	♊	6 13	4 58	8 15	11 1
22	S.	Filipa b., Korduli	9 Jakowa apost.	♋	6 33	4 56	9 16	11 56
23	N.	**23 po S.** Ignacego b.	10 Jewłampia m.	♋	6 35	4 54	10 23	12 42
24	P.	Jana Kantego ☾	11 Fyłypa ap.	♌	6 36	4 52	11 34	1 24
25	W.	Kryspina męcz.	12 Tarasia	♌	6 38	4 50	— —	2 0
26	Ś.	Ewarysta, Łucyana	13 Karpa i Papyła	♍	6 40	4 48	0 49	2 32
27	C.	Sabiny	14 Nazarya mucz.	♍	6 41	4 46	8 5	3 2
28	P.	Szymona i Tad.	15 Eutymja	♎	6 43	4 45	3 21	3 31
29	S.	Zenobiusza, Narc.	16 Louhyna mucz.	♎	6 44	4 43	4 37	4 1
30	N.	**24 po S.** Marceli	17 Osiji, Andreja	♏	6 46	4 41	5 52	4 34
31	P.	Lucyli, Wolfg. ●	18 Łuki ew.	♏	6 48	4 40	7 5	5 9

Zmiany księżyca:
● Nów dnia 1. o godz. 1 min. 26·4 popołudniu.
☽ Pierwsza kwadra dnia 8. o godz. 9 min. 11·8 wieczór.
◎ Pełnia dnia 16. o godz. 11 min. 59·6 w nocy.
☾ Ostatnia kwadra dnia 24. o godz. 5 min. 31·5 rano.
● Nów dnia 31. o godz. 12 min. 38·8 w nocy.

ZAPISKI.

Listopad

ma dni 30.



Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1	W.	**Wszystkich Swięt.**	19 Joiła proroka		6 50	4 38	8 14	5 50
2	Ś.	*Dzień Zaduszny*	20 Artemia m.		6 51	4 35	9 18	6 34
3	C.	Huberta b.	21 Iłariona		6 52	4 34	10 14	7 24
4	P.	Karola Bor.	22 Awerkja		6 54	4 33	11 3	8 18
5	S.	Zacharyasza pror.	23 Jakowa apost.		6 55	4 31	11 45	9 15
6	N.	**25 po S.** Feliksa	24 Arefty mucz.		6 57	4 30	12 21	10 14
7	P.	Amaranta ☽	25 Markyana		6 50	4 29	12 52	11 14
8	W.	Opieki NMP.	**26 Sw. Dymitra**		7 0	4 27	1 20	— —
9	Ś.	Teodora żoł.	27 Nestora m.		7 2	4 25	1 45	0 15
10	C.	Andrzeja	28 Terentya mucz.		7 4	4 23	2 9	1 17
11	P.	Marcina b.	29 Anastazyi		7 6	4 22	2 33	2 20
12	S.	Chrystyana, Marc.	30 Zynowiji i Zyn.		7 8	4 21	2 58	3 24
13	N.	**26 po S.** Stanisł. K	31 Stachija, Narkis.		7 9	4 19	3 26	4 29
14	P.	Jozafata	**1 Padołyst.** Kosmy		7 11	4 18	3 58	5 36
15	W.	Leopolda, Gert. ○	2 Akindina, Pigas.		7 12	4 16	4 34	6 44
16	Ś.	Edmunda	3 Josyfa, Heortia		7 14	4 15	5 17	7 50
17	C.	Salomei	4 Joannykja		7 16	4 13	6 8	8 54
18	P.	Romana m.	5 Hałaktyma		7 18	4 12	7 7	9 52
19	S.	Elżbiety, Dyoniz.	6 Pawła archiep.		7 20	4 11	8 13	10 42
20	N.	**27 po S.** Feliksa Val.	7 Jerona, Łazarja		7 21	4 10	9 25	11 25
21	P.	Ofiar. NMP.	**8 Mychaiła Arch.**		7 23	4 9	10 39	12 3
22	W.	Cecylii p. m.	9 Onysifora mucz.		7 24	4 8	11 53	12 36
23	Ś.	Klemensa	10 Erasta ap.		7 26	4 7	— —	1 6
24	C.	Jana od Krzyża	11 Miny mucz.		7 27	4 6	1 8	1 35
25	P.	Katarzyny ☾	12 Joana m.		7 29	4 6	2 22	2 3
26	S.	Sylwestra, Konr.	13 Joana Złotoust.		7 30	4 5	3 35	2 33
27	N.	**1 Adw.** Waleryana	14 Fyłypa apost.		7 31	4 4	4 47	3 6
28	P.	Grzegorza	15 Hurya, Samsona		7 33	4, 3	5 57	3 43
29	W.	Saturnina, Illum. ●	16 Matftea ew.		7 34	4 2	7 3	4 24
30	Ś.	Andrzeja	17 Hryhorya		7 36	4 1	8 2	5 12

Zmiany księżyca: ☽ Pierwsza kwadra dnia 7. o godz. 4 min. 53·8 popoł.
○ Pełnia dnia 15. o godz. 2 min. 39·1 popołudniu.
☾ Ostatnia kwadra dnia 25. o g. 12 m. 41·0 w południe.
● Nów dnia 29. o godz. 2 min. 25·7 popołudniu.

ZAPISKI.

Grudzień
ma dni 31.



Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1	C.	Eligiusza b.	18 Płatona	♑	7 37	4 0	8 55	6 5
2	P.	Bibianny	19 Awdija pr.	♑	7 38	4 0	9 41	7 1
3	S.	Franciszka Ksaw.	20 Prokła, Hryhorya	♑	7 39	4 0	10 20	8 0
4	N	**2 Adw.** Barbary,	21 **Wowed. Pr. D. M,**	♒	7 41	4 0	10 53	9 1
5	P.	Anastazego	22 Fyłymona	♒	7 42	3 59	11 22	10 2
6	W.	Mikołaja b. i w.	23 Amfyłochya.	♓	7 43	3 59	11 46	11 3
7	Ś.	Ambrożego ☽	24 Kataryny	♓	7 44	3 59	12 12	— —
8	C.	**Niep. Pocz. NMP.**	25 Kłymenta papy	♓	7 45	3 59	12 36	0 4
9	P.	Leokadyi	26 Ałypja	♈	7 46	3 59	1 9	1 7
10	S.	NMP. Loretań.	27 Jakowa mucz.	♈	7 47	3 58	1 26	2 11
11	N.	**3 Adw.** Damazego	28 Stefana Pr. m.	♈	7 48	3 58	1 25	3 17
12	P.	Aleksandra	29 Paramona	♉	7 49	3 58	2 28	4 24
13	W.	Łucyi p. m., Eugen	30 Andreja apost.	♉	7 50	3 58	3 8	5 31
14	Ś.	Izydora	1 **Hrudeń.** Nauma	♊	7 51	3 58	3 56	6 37
15	C.	Wiktora ○	2 Awakuma pr.	♊	7 52	3 58	4 53	7 39
16	P.	Euzebiusza	3 Sofonija	♋	7 53	3 58	5 59	8 34
17	S.	Łazarza, Olimpii	4 Warwary mucz.	♋	7 54	3 58	7 11	9 22
18	N.	**4 Adw** Ocz. NMP.	5 Sawy pr. mucz.	♌	7 55	3 58	8 26	10 3
19	P.	Tymoteusza	6 **Nykołaja**	♌	7 56	3 59	9 42	10 39
20	W.	Teofila, Juliusza	7 Amwrozya	♍	7 56	3 59	10 38	11 11
21	Ś.	Tomasza, Sewer. ☾	8 Patapia pr.	♍	7 57	3 59	— —	11 40
22	C.	Zenona	9 **Nep. Zaczat Boh.**	♎	7 58	4 0	0 12	12 8
23	P.	Wiktoryi p.	10 Miny	♎	7 58	4 0	1 25	12 30
24	S.	Adama, Ewy *Wig.*	11 Danyiła Stołpn.	♏	7 59	4 1	2 37	1 8
25	N	**Boże Narodzenie**	12 Spiridona jep.	♏	7 59	4 1	3 46	1 42
26	P.	**Szczepana męcz.**	13 Eustratija	♐	7 59	4 2	4 51	2 21
27	W.	Jana apost. i ew.	14 Tyrsya i Łew.	♐	7 59	4 3	5 53	3 6
28	Ś.	Młodzianków	15 Ełewterya j.	♐	8 0	4 4	6 48	3 56
29	C.	Tomasza b. ●	16 Aheja proroka	♑	8 0	4 5	7 36	4 50
30	P.	Sabina	17 Danyiła	♑	8 0	4 6	8 18	5 48
31	S.	Sylwestra p.	18 Sewastyana m.	♒	7 59	4 7	8 54	6 48

Zmiany księżyca: ☽ Pierwsza kwadra dnia 7. o g. 2 m. 19·5 popołudniu.
○ Pełnia dnia 15. o godz. 3 min. 50·4 rano.
☾ Ostatnia kwadra dnia 21. o godz. 8 min. 54 wieczór,
● Nów dnia 29. o godz. 6 min. 39·4 rano.

ZAPISKI.

Kalendarz świąt ewangelickich.

Styczeń. 1 stycznia Nowy Rok. 6 stycznia Epifanii.

Luty. 9 lutego Popielec.

Marzec. 25 marca Wielki Piątek. 27 marca Wielkanoc. 28 marca Poniedziałek Wielkanocny.

Kwiecień.

Maj. 5 maja Wniebowstąpienie Pańskie. 15 maja Zielone świątki. 16 maja oniedziałek Ziel. świąt.

Czerwiec. 29 czerwca Piotra i Pawła.

Lipiec.

Sierpień.

Wrzesień.

Październik. 31 października Pamiątka Reformacyi.

Listopad.

Grudzień. 25 grudnia Narodzenie Chrystusa Pana. 26 grudnia Szczepana męczennika.

Kalendarz żydowski.

Styczeń. 1 stycznia 21 Thebeth 5681, 10 stycznia 1 Schebat.

Luty. 1 lutego 23 Schebat. 9 lutego 1 Adar. 22 lutego 14 Adar, Purim. 23 lutego 15 Adar, Szuszan Purim.

Marzec. 1 marca 21 Adar. 11 marca 1 Weader. 23 marca 13 Weader, Post Estery. 24 marca 14 Weader, w. Purim. 25 marca 15 Weader, w. Szuszan Purim.

Kwiecień, 1 kwietnia 22 Weader. 9 kwietnia 1 Nisan. 23 kwietnia 15 Nisan, Początek Wielkanocy. 24 kwietnia 16 Nisan, Drugie święto Wielkanocy. 29 kwietnia 21 Nisan, Siódme święto Wielkanocy. 30 kwietnia 22 Nisan, Koniec Wielkanocy.

Maj. 1 maja 23 Nisan. 9 maja 1 Ijjar.

Czerwiec. 1 czerwca 24 Ijjar. 7 czerwca 1 Siwan. 12 czerwca 6 Siwan, Pierwszy dzień Zielonych świąt. 13 czerwca 7 Siwan, Drugi dzień Zielon. świąt.

Lipiec. 1 lipca 25 Siwan. 7 lipca 1 Thamus. 24 lipca 18 Thamus, Post, Zdobycie świątyni.

Sierpień. 1 sierpnia 26 Thamus. 5 sierpnia 1 Ab. 14 sierpnia 10 Ab, Post, Spalenie świątyni.

Wrzesień. 1 września 18 Ab. 4września 1 Elul.

Październik. 1 października 28 Elul. 3 października 1 Tischri, Nowy Rok 5682. 4 października 2 Tischri, Drugie święto N. R. 12 października 10 Tischri, Dzień pojednania. 17 października 15 Tischri, Pierwszy dzień Kuczek. 18 października 16 Tischri, Drugi dzień Kuczek 24 października 22 Tischri, Koniec Kuczek. 25 października 23 Tischri, Radość z prawa.

Listopad. 1 listopada 30 Tischri, 2 listopada 1 Marcheszwan.

Grudzień. 1 grudnia 30 Marcheszwan. 2 grudnia 1 Kislew.

Rok 1921 pod względem chronologicznym i astronomicznym.

Cztery pory roku.

Według czasu środkowo-europejskiego wiosna zaczyna się dnia 21. marca o godz. 4 min. 51 rano; lato dnia 22. czerwca o godz. 12 min. 63 w nocy; jesień dnia 23. września o godz. 3 min. 20 popołudniu; zima dnia 22. grudnia o godz. 10 min. 8 przedpołudniem.

Zaćmienia w roku 1921.

W roku 1921 będą 2 zaćmienia słońca i 2 zaćmienia księżyca. Pierwsze zaćmienie słońca będzie widzialne w Europie środkowej jak i drugie zaćmienie księżyca.

I. Okólne zaćmienie słońca dnia 8. kwietnia 1921 r. Początek zaćmienia o g. 7 m. 51·6 rano; centralne zaćmienie o g. 9 m. 23·5 przedpołudniem; okólne zaćmienie o g. 10 m. 44·8 przedpoł. koniec centralnego zaćmienia o g. 11 m. 5·8 koniec okólnego zaćmienia o g. 12 m. 37·7 w południe.

Zaćmienie to widocznem będzie w północnowschodniej części Ameryki północnej, w Grenlandyi, w północnowschodniej części oceanu Atlantyckiego, w Europie, w północnowschodniej Afryce i północnowschodniej Azyi. Początek okrężnej strefy ma zaczątek w oceanie Atlantyckim i ciągnie przez północne szczyty Irlandyi i Szotlandyi, północnozachodnią część Norwegii i kończy się w północnem morzu Lodowatem.

II. Całkowite zaćmienie księżyca dnia 22. kwietnia 1921 r. Wejście księżyca w cień pół koła o g. 5 m. 57·3 rano; początek zaćmienia o g. 7 m. 3·2 rano; początek całkowitego zaćmienia o g. 8 m. 23·5 rano; przeciętne zaćmienie o g. 8 m. 44·4 rano; koniec całkowitego zaćmienia o g. 9 m. 5·3 przedpołudniem; koniec zaćmienia w ogólności o g. 10 m. 25·7 przedpoł; wyjście księżyca z półcienia o g. 11 m. 32·0 przedpołudniem.

Zaćmienie to widocznem będzie w północnej i południowej Ameryce i na oceanie Spokojnym. Początek zaćmienia widocznym będzie na oceanie Atlantyckim, koniec w Australii i w wschodnich częściach Azyi.

III. Całkowite lub częściowe zaćmienie słońca dnia 1. października 1921. Początek zaćmienia o g. 11 m. 37·2 przedpołudniem; początek centralnego zaćmienia o g. 1 popoł.; ogólne zaćmienie o g. 2 m. 7·3 popoł.; koniec centralnego zaćmienia o g. 2 m. 1·11 popoł.; koniec ogólnego zaćmienia o g. 3 m. 44·0 popołudniu.

Zaćmienie to będzie widocznem w południowej części Ameryki południowej, w granicznych częściach oceanu Spokojnego i w południowych częściach morza Lodowatego.

IV. Częściowe zaćmienie księżyca dnia 16. i 17. października 1921 r. Wejście księżyca w cień pół koła dnia 16. paźdz. o g. 9 m. 1·2 wieczór; początek zaćmienia o g. 10 m. 14·0 wieczór; środek zaćmienia o g. 11 m. 53·8; koniec zaćmienia dnia 17. paźdz. o g. 1 m. 33·6 w nocy; wyjście księżyca z półcienia o g. 2 m. 46·3 rano. Wielkość średnicy zaćmienia = 0·94.

Początek zaćmienia widocznem będzie w Azyi, (z wyłączeniem Azyi wscho- dniej) w Europie, w Afryce, w południowych częściach Ameryki południowej na oceanach Indyjskim i Spokojnym, zaś koniec zaćmienia w Azyi zachodniej w Europie, Afryce, Ameryce południowej, w Ameryce północnej (z wyłącze- niem części zachodnich), na oceanie Atlantyckim i w zachodnich stronach ocean Indyjskiego.

Panującym planetą w r. 1921 jest „Merkury“.

„Starzy zaliczają do siedmiu znanych planet, nietylko ziemię, słońce i księ- życ, ale i planetę Merkury. Według astronomicznych doświadczeń Merkury czę- stem pojawianiem się na horyzoncie niebieskim oznacza zmiany godzin, dni i ty- godni, jak też zmianę roku. Z pojawieniem się tego panującego planety czyni astronomowie wnioski i obliczenia przepowiedni zmian pogody i powietrza, gdy te zwykle co 7 lat się powtarzają, dlatego też astronomowie obliczenia te opie- rają na pewnych przypuszczeniach.

Merkury z pomiędzy planet ma najmniejsze oddalenie od słońca. W czasie swej konjunkcyi dolnej oddalonym jest od ziemi o 76 milionów kilometrów, za w konjunkcyi górnej o 220 milionów kilometrów i obiega słońce w 88 dniach W górnym biegu w czasie najwyższej elongacyi graniczy między 23 a 29 st- pniem zachodniej lub wschodniej szerokości. Merkury jest co do wielkości w przy- bliżeniu o dwie trzecie mniejszym od ziemi. Ciało to niebieskie skutkiem bli- zkiego oddalenia od słońca jest zupełnie przysłonięty promieniami słońca i tylko przy sprzyjającej pogodzie w czasie wschodu lub zachodu słońca jest możliwe dostrzec Merkura gołem okiem. Światło Merkura podobne do światła księżyca Merkur przebiegając swą drogę daje się dostrzec gołem okiem jako mała ciemna tarcza z silnie opromienioną obwódką, kreśląc swą drogę przed słońcem od wschodu ku zachodowi — drogę tę nazywają „przejściem Merkurego“. Ostatni przejście Merkurego (w okresie stuletnim jest ich przeciętnie 13) było w porze południowej 7. listopada 1914 r., najbliższe oczekiwane jest na 7. maja 1924

Przepowiednie pogody.

Rok 1921 będzie przeważnie więcej wilgotny i zimny niż ciepły, lecz nie- zwykle urodzajny.

Wiosna: Ostatnie dnie marca ciepłe, kwiecień prawie do d. 25. suchy później zimny; maj obfitować będzie w dżdżyste i zimne dnie tak, że obawiać się należy, że owoce wymarzną.

Lato: Niezwykle wiele deszczy, od których ziemia mimo to nie będzie na- leżycie orzeźwioną. Sprzęt siana i zboża będzie możliwy, lecz nie należy zwlekać

Jesień: Pierwsza część będzie obfitować w deszcze i wczesne mrozy za- w połowie października nastanie posucha, która trwać będzie do pierwszych dni adwentu.

Zima: Po pięknych dniach jesieni nastąpi początek zimy już w pierwszych dniach grudnia, zimno i śnieżno do pierwszych dni lutego, później dość znośnie następnie zimno do pierwszych dni marca, zaś do końca silne wichry.

Kalendarz rolniczy.

W **styczniu** przygotować zboże i nasiona do siewu. Źrebne klacze dobrze odżywiać. Dbać o drób, ponieważ zaczyna nieść jaja. Pamiętać o pszczołach. Przerębie wyrębywać w stawach rybnych. Dbać o ciepło w chlewach. Zwozić drzewo, węgle, lód, sztuczne nawozy itp.

W **lutym** przejrzeć narzędzia do uprawy roli. Przerabiać zboże jeżeli wilgotne. Ziemniaki przebrać. Nawozy sztuczne rozsiać. Dbać o ruch inwentarza na świeżem powietrzu. Klacze prowadzić do ogierów. Owce na latowe jagnięta dopuszczać do barana. Drzewa bielić wapnem.

W **marcu** skierować wszystkich do robót polnych. Wałować i bronować. Siać zieloną paszę. Z lutego jagnięta oczyszczać. Stebniki u pszczół przewietrzać. Przeorywać obornik pod ziemniaki. Drzewa w ogrodach podlewać gnojówką. Rozsiewać saletrę na żyto.

W **kwietniu** kończyć zasiewy wiosenne i sadzenie okopowizn. Racice obcinać u bydła młodego. Świnie szczepić przeciw czerwonce. Przesadzać i szczepić drzewka, okopać wszystkie drzewa. Jagnięta odsadzać od matek.

W **maju** tępić chrabąszcze. Sadzić kapustę i buraki pastewne. Siać kukurydzę i proso. Wałować pszenicę jeżeli za bujna. Tępić łopuchę i chwasty. Drenować pola. Ciąć drzewostan dębowy i świerkowy na kory. Strzedz pnie słabsze w pasiece od rabunku.

W **czerwcu** koszenie traw i koniczu. Tępić kaniankę i oset. Drzewka odziabywać i podlewać. Obcinać gałęzie topoli. Niszczyć gąsienice. Omiatać często pajęczynę z uli. Więdnące krze zienniaków usuwać, ażeby nie zarażały. Przerabiać komposty. Wyporządzać narzędzia.

W **lipcu** nie spasać niewypoconego siana. Konie i świnie pławić codziennie. Drób wypędzać w pole, w domu dodawać zielonej paszy. Świniom dodawać potroszę zielonej paszy, jeżeli nie chodzą po pastwisku. W domach utrzymywać chłód. Żniwa rozpocząć lepiej wcześniej, jak za późno.

W **sierpniu** konie żywić mocno. Pamiętać o kurach, gdyż jaja z sierpnia najlepsze do przechowania. Trzodę chlewną trzymać chłodno, chlewy desynfekcyonować. Maciory puszczać od barana na pokot zimowy. Świeżo młócone zboże cienko sypać i zostawić okna śpichrzu zawsze otwarte.

We **wrześniu** sprzątać wcześnie ziemniaki. Kopce z ziemniakami nie okopywać za mocno. W drugiej połowie września siew oziminy. Na żyto powschodzone w jałowych miejscach siać saletrę z kainitem. Drób podtuczać i sprzedawać. Owoc zbierać i drzewa oczkować. Zamawiać makuchy itp.

W **październiku** zakończyć siew oziminy. Wybrać okopowizny. Zakiszać kapustę, ćwikłę i liście buraczane. Zimową orkę uskutecznić. Czyścić wszystkie bydło. Tępić myszy w polach. Przejrzeć i pochować maszyny i narzędzia. Zabraniać pojenie bydła w rybnych stawach.

W **listopadzie** piwnice, pompy od wody i gnojówki zabezpieczać przed mrozami. Zakupić węgle i drzewo na opał. Cielne krowy odstawiać i skąpiej żywić. Sprzedawać tuczne gęsi. Zabezpieczać drzewka przed zającami.

W **grudniu** młócić zboże ze stogów. Kuć konie. Opasy kontrolować i ważyć. Bydłu dawać soli. Czyszczenie zboża na śpichrzu. Wyrębywać dziury w lodzie w stawach rybnych. Zwozić lód do lodowni, drzewo z lasu itp. Podczas dużych śniegów żywić zwierzynę. Odnowić kontrakty i wysyłać rachunki.

TARYFA POCZTOWA.

	Mp. f.
Za listy zwykłe do 20 gramów	1·—
ponad 20 gramów do 250 gr.	2·—
Za kartki pocztowe urzęd. nakł.	—·76
prywatn. nakł., widokówki itp.	—·50
Za druki do 50 gramów . . .	—·25
do 100 gr. —·40, do 250 gr.	1·—
do 500 gr. 2·—, do 1000 hr.	3·—
Za papiery handlowe do 250 gr.	1·—
do 500 gr. 2·—, do 1000 gr.	3·—
Za próbki towarowe do 250 gr.	1·—
" " " 500 "	2·—
Za polecenie kartki, listu, druku lub próbki oprócz zwykłej należytości, jak powyżej podane	2·—
Za przekazy pieniężne	
do 100 Mp	1.—
do 200 Mp 2·— Mp, do 500 Mp	4·—
do 1000 Mp 6·— Mp, do 1500 Mp	8·—
dopuszczalne do 2000 Mp . .	10·—
Za paczki pocztowe do 5 kg	6·—
" " " 10 kg	12·—
za wartość od każdych Mp 1000	4·—
za pobranie (zaliczki) . . .	1·—
Za telegramy taksa zasadnicza	3·—
za każde słowo przy telefonach miejscowych i zamiejsc. . .	—75

Opłata pocztowa dla przesyłek zagranicznych:

	Mp. f.
Za listy zwykłe do 20 gram.	2·50
za każde dalsze 20 gramów .	1·50
Za kartki pocztowe urzęd. nakł.	1·25
" " pryw. "	1·—
Za druki od każdych 50 gram.	—·50
Za papiery handl. za każde 50 gr	—·50
najmniej jednak	2·50
Za próbki towar. za każde 50 gr	—·50
najmniej jednak	1·—
Za polecenie listu, kartki, druku	2·50
Za telegramy (najmniej 6 słów):	
do Anglii . za każde słowo	10·40
" Austryi i do Węgier . .	6·40
" Belgii, Danii, Holandyi .	6·60
" Bułgaryi, Grecyi, Portugalii	10 80
" Czecho Słowacyi	2·—
" Estonii, Finlandyi . . .	15·90
" Francyi, Rumunii, Szwecyi	8·40
" Hiszpanii, Norwegii, Włoch	9·60
" Jugosławii	6.80
" Litwy i Łotwy	15.90
" Niemiec	2.—
" Szwajcaryi	6.60
" Turcyi	19·—
" Szwecji	7·50
" Rumunji	6·—

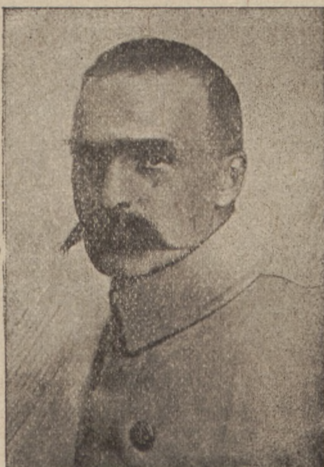
SKALE STEMPLOWE.

Skala I. wekslowa				Skala II. na dokumenta				Skala III. na kontrakty			
powyżej	do	Należytość		powyżej	do	Należytość		powyżej	do	Należytość	
—	70	—	10	—	28	—	20	—	11	—	20
70	105	—	20	28	56	—	30	11	28	—	30
105	210	—	30	56	84	—	50	28	42	—	50
210	420	—	60	84	140	—	70	42	70	—	70
420	630	—	90	140	280	1	40	70	140	1	40
630	810	1	20	280	420	2	10	140	210	2	10
840	1050	1	40	420	560	2	80	210	280	2	80
1050	1260	1	70	560	1120	5	60	280	560	5	60
1260	1680	2	30	1120	1680	8	40	560	840	8	40
1680	2100	2	80	1680	2240	11	20	840	1120	11	20
2100	3150	4	20	2240	2800	14	—	1120	1400	14	—
3150	4200	5	60	2800	3360	16	80	1400	1680	16	80
Jeśli podstawa wymiaru przewyższa kwotę 4200 Mp, należy od każdych nawet niepełnych 2100 Mp uiścić dalszą należytość w kwocie 2·80 Mp.				Jeśli podstawa wymiaru przewyższa kwotę 3360 Mp, należy od każdych nawet niepełnych 1120 Mp uiścić dalszą należytość w kwocie 5·60 Mp.				Jeśli podstawa wymiaru przewyższa kwotę 1680 Mp, należy od każdych nawet niepełnych 560 Mp uiścić dalszą należytość w kwocie 5·60 Mp.			

Obowiązujące stemple na rachunki handlowe i kupieckie: do 70 Mp 10 fen., ponad 70 do 700 Mp 20 fen., ponad 700 Mp 40 fen.

Bohaterowie odrodzonej Polski.

Przed wybuchem wielkiej wojny światowej jedynie marzyciele narodowi wierzyli w to, że może nadejść taka jedna chwila, w której naród polski cały i niepodzielny zmartwychpowstanie. Ogół wmawiał w siebie, iż wierzy w to, że Polska przez jakieś długie wieki odradzania się i potężnienia, powoli, a stale będzie dążyła do zrzucenia z siebie jarzma niewoli. A wielu było i takich, którzy śpiewając „Jeszcze Polska nie zginęła", czynili to raczej dla zwyczaju, aniżeli z wewnętrznego przekonania. Ci w pierwszym rzędzie oblewali optymistów twierdzeniem, że trudno, aby Polska nagle mogła odzyskać niepodległość, gdyż brakłoby jej wówczas ludzi, którzyby mogli ująć ster rządów w ręce.



Józef Piłsudski.

A jednak, sami to zapewne dziś przyznają, że mylili się bardzo.

Ale i ci, którzy najróżowiej spoglądali na przyszłość Polski, nie zdołaliby byli wskazać nazwisk tych, którzy po zrzuceniu przez Polskę kajdan niewoli stali się przewodnikami narodu. Komuż znane były wówczas nazwiska tych, którzy od chwili odrodzenia się naszej ojczyzny aż po dzień dzisiejszy dzierżą w swym ręku losy całego narodu. Komuż jeszcze przed dziesiątkiem lat były znane takie nazwiska, jak Piłsudski, Haller, Żeligowski, Szeptycki, Belina, albo z tych najmłodszych, że dość wspomnieć nieodżałowanej pamięci młodzieńca, majora Lisa-Kulę. Znała ich najbliższych garstka, a ogół, jeżeli zasłyszał któreś z tych nazwisk, to ono nic dla niego nie znaczyło.

A przecież wielu z tych nieznanych do lat ostatnich w chwili zmartwychpowstania Polski znalazło się na czele narodu, ujęło ster

spraw narodowych w swe ręce i poprowadziło nawę narodową nie gorzej, jakby to byli uczynili ludzie przygotowywani niemal od urodzenia do tego.

I nie będzie to wcale niedorzecznością, jeżeli powiemy, że Polska sama się robiła. Bo czyż na początku wojny mógł był powiedzieć późniejszy naczelnik narodu, Józef Piłsudski, że Polska powstanie wielka i zjednoczona. O zapewne, on nawet w swoich najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, aby dożył tego, na co danem mu było patrzeć później własnymi oczyma. On chwycił za broń i pociągnął za sobą do walki innych nie dlatego, aby mu przyświecał jakiś jasno skrystalizowany cel, nie dlatego, aby wiedział, że ojczyznę wyrwie z kajdan niewoli, ale poszedł dlatego, aby powiedzieć światu, że jesteśmy i czuwamy bez względu na to, co się stać w przyszłości może.

Jeżeli zwrócimy się pamięcią w pierwsze dni wojny, to przypomnimy sobie, jak to zarzucano późniejszej chlubie narodu, że połączył się z wrogiem narodu, Prusakiem, aby w jego interesie krew polską przelewać. Nie chciano wówczas zrozumieć, że Piłsudski nie myślał karku nastawiać dla pruskich celów, ale on pragnął czynem swym zaznaczyć, że naszym wrogiem największym była Rosya, więc przeciw niej w pierwszym rzędzie bez względu na dalsze konsekwencye trzeba było broń polską wymierzyć.

Ale ten sam Piłsudski, którego z początku wojny posądzano o prusofilizm, nie zawahał się w stosownej chwili zaznaczyć, że jemu narówni Moskalowi wrogim jest Prusak. Poszedł do więzienia, ale honoru polskiego nie splamił. Szedł ku dobru ojczyzny drogą, jaką uznawał za najstosowniejszą, że droga ta nie była błędną, stwierdziły późniejsze wypadki.

Ale nie była to droga jedyna, o czem znów możemy się przekonać z czynów innego bohatera polskiego, jakim był Józef Haller. Drogi Piłsudskiego i Hallera szły początkowo równoległe, ale później załamały się wyraźnie. Piłsudski, poznawszy przewrotność pruską, postanowił zawrócić z miejsca, postanowił niejako zniweczyć wszystko to, co dotychczas zdziałał, postanowił zerwać z fałszywym sprzymierzeńcem. Natomiast Haller pragnął wytrwać do ostatka, dokąd się tylko da, aby ratować przynajmniej to, co mogło być jeszcze do uratowania. Stał na stanowisku i czekał tak długo, póki Prusacy nie przeciągnęli i tak już zanadto naprężonej struny. Po pokoju brzesko-litewskim porzucił bez wahania wiarołomnych sojuszników, aby rzucić się na bystre fale nieznanej przyszłości.

I znowu trzeba stwierdzić, że Haller nie kalkulował, nie obliczał, jakie skutki pociągnie za sobą czyn jego; on czynił to, co mu miłość ku ojczyźnie czynić nakazywała.

Trudnoby było wyliczać tych wszystkich, którzy działali na rzecz wyłaniającej się wówczas z mgławicy niepodległości Polski, a jeszcze trudniej opisywać drogi, jakiemi kroczyli do wspólnego celu, bo to wszystko zbyt dużoby miejsca zajęło, ale trzeba jednak zaznaczyć, iż było również wielu, ukrytych wśród zdarzeń świata niejako, którzy cichą pracą budowali wielką przyszłość ojczyzny. Jako jeden z wielu odznaczył się najbardziej może młodziutki Lis-Kula, który licząc zaledwie dwudziestą trzecią wiosnę życia, za swą pracę i trudy dosłużył się rangi majora wojsk polskich.

Zresztą nie idzie nam tu o życiorysy bohaterów odradzającej się ojczyzny; my pragnęliśmy przedstawić, że jakimikolwiek drogami



Stanisław Szeptycki.



Józef Haller.

zmierzali przywódcy narodu polskiego podczas ubiegłej wojny, to wszyscy zmierzali do jednego celu, jakim było zmartwychpowstanie Polski.

I może właśnie dlatego, gdy ta Polska zmartwychpowstała, natychmiast znaleźli się ludzie, którzy bez żadnych zaburzeń wewnętrznych potrafili ująć w swe dłonie losy narodu polskiego i pokierować nim, jak można było najlepiej. I jakkolwiek to i owo dałoby się zarzucić pierwszym rządom w Polsce, to przecież stwierdzić należy, że tak pierwszy rząd pod przewództwem p. Moraczewskiego, jak i następne czy to Paderewskiego, czy Skulskiego, choć były zabarwione partyjnie i forytowały, gdzie mogły, poglądy swych stronników politycznych, to przecież w pierwszym rzędzie miały na oku dobro całej ojczyzny, na której korzyść pracowały.

A dowodem tego niech będzie to, że Polska, powstawszy prawie z niczego, to jest nie posiadając ani armii, ani pieniędzy, ani urządzeń wewnętrznych, stała się wkrótce bardzo potężną, o której przyjaźń ubiegali się sąsiedzi, a z którą liczyli się jej wrogowie i nieprzyjaciele.

To dodaje otuchy na przyszłość i jest nadzieja, że Polska, raz odzyskawszy niepodległość, pomna na cierpienia niewoli, i nadal będzie starała się łagodzić spory pomiędzy swymi synami, którzy ze swej strony przełożą dobro ojczyzny ponad własne chwilowe korzyści.

Stracony czas.

Gdy majątek jest stracony,
To odzyskasz oszczędnością;
Gdy stan zdrowia jest zwątlony,
Można wzmocnić ostrożnością.

Zapomniane wiadomości,
Przez naukę je odświeżyć;
Koleżeńskiej przyjemności
Można nabyć, jej się zwierzyć.

Utraconą dobrą sławę,
Dla zasługi otrzymaną,
Można zyskać przez naprawę
I napowrót mieć przyznaną.

Lecz gdy czas jest utracony,
Tak, jak z wodą, co upłynie,
Nigdy już niedościgniony
I na wieki wieków zginie.

Nie odkupisz go sbarbami,
Ani łzami, ni modlitwą,
Ni żadnymi wysiłkami,
Ni też żadną wielką bitwą.

A więc dziś go posiadamy...
Korzystajmy z sposobności,
Jutro znowu go nie mamy,
Wciąż zdążając do wieczności.

Zdania i myśli.

Jak wiatr mierzyć, czas gonić, groch o ścianę miotać —
Próżno, tak o to, co się nie wróci kłopotać.

*

Bardziej do serca to, co boli, człowiek
Przypuszcza, niż, co po myśli się dzieje,
I stądże się zda, że tego jest więcej,
Co trapi, niźli co cieszy człowieka.

*

Męski czyn iść do sławy przez ogień kartaczy,
Lecz uciec od rozkoszy większe męstwo znaczy.

*

Żyj ojczyźnie, przyjaciołom,
Oddadzą cześć twym popiołom.

Poziomka.

(Legenda).

Błysnął piękny poranek czerwcowy, niebo rozgorzało tysiącem promieni słonecznych, lasy i gaje napełniły wesołe śpiewy ptasząt, brzęk muszek rozbrzmiewał w powietrzu: cała przyroda cieszyła się pięknością dnia, cała przyroda dyszała życiem i rozkoszą. A jeno Panienka Najświętsza przy pracy domowej krzątająca się, była smutna i zamyślona. — Snać przeczuwała boleści wszystkie i smutki, jakie ją czekały, snać namyślała się, jakby im zapobiedz. Ale, niestety, wiedziała, że woli Bożej sprzeciwić się nie będzie mogła, że będzie musiała wypić kielich goryczy, jaki ją czeka, do dna.



A w lesie było kwiatów w bród.

Zeczył Pan Jezus smutek Najświętszej Panienki i zapragnął ulżyć jej strapieniu. Pobiegł więc do pobliskiego lasu, aby zerwać pęk barwnego kwiecia i przynieść go ku rozradowaniu Świętej Rodzicielki.

A w lesie było kwiatów w bród. Jedne szkarłatem czerwieniały na zielonem podłożu traw leśnych, inne bieliły się śnieżną i niepokalaną białością. Tu rozpościerały jedne żółte swe kielichy, tam rozkładały się błękitne i fioletowe płatki kwiatów. A nawet te, które nie miały na sobie barw oszałamiających, wabiły ku sobie Dzieciątko Boże upajającą wonią swych zapachów.

Jezus, nie pomijając innego kwiecia, najchętniej zrywał śnieżnej białości lilie, jako symbol dziewiczości Swej Najświętszej Rodzicielki.

Właśnie, kiedy Boże Dzieciątko wyciągnęło rączkę po jeden z kwiatów liliowych, spostrzegło obok niepokaźną, małą roślinkę z białym kwiatuszkiem bez woni.

Roślinka, widząc zwrócony na siebie wzrok Zbawiciela, jęła się skarżyć cichym głosem:

— Smutne me życie, Panie! Smutnym mnie Stwórca obdarował losem, o szczęściu ani marzyć mi nie wolno. Wszyscy szukają kwiatu, który porywa pięknością swej barwy, lub upaja, zachwyca i pieści wonią, a mnie wśród kwiecia i traw zobaczyć nawet trudno. Niczyja na mnie nie spocznie źrenica.

A po chwili maleńka roślinka skarżyła się znowu:

— A i Ty, maleńkie złotowłose Dziecię, choć spoglądasz na mnie miłosiernie, nie zerwiesz mnie przecie, boć nie miałaby Twa Matula żadnej ze mnie pociechy. Bo jakże z kwiatami, które dzierżysz w dłoni, mogę iść w zawody? One są barwne, pełne cudnej woni, a mnie brak i jednego i drugiego.

Roślinka, widząc, że Boże Dzieciątko coraz czulej a smutniej na nią spogląda, przestraszyła się, czy swymi żalami nie obraziła Pana nad pany, jęła więc mówić:

— Nie, nie, ja się nie czuję nieszczęśliwa. Choć nie mam urody, ale przecież i na mnie świeci słonko Boże, i na me płatki spływają krople ożywczej rosy, i mną, jak innemi, opiekuje się Stwórca nasz i Pan. Ja nie narzekam, ja się nie skarżę.

A Jezus, posłyszawszy cichy szept wątłej roślinki, wyciągnął ku niej swą drobną rączkę i zerwał niepokaźny kwiatek.

— Bóg ci, mój kwiatku, — rzekł Jezus — nagrodzi twą cnotę, Bóg za twą skromność, okazaną w zaraniu żywota, stokrotnie cię wynagrodzi. Bo oto odtąd będą ludzie mijali pstre kwiaty, poszukując tego, co z ciebie wyrośnie!

Mówiąc to, Pan Jezus wycisnął gorący pocałunek na skromnym kwiateczku.

Z pod warg Najświętszych opadł kwiat biały, a na jego miejscu ukazał się pąsowy owoc poziomki, tak do dziś dnia przez wszystkich poszukiwany.

Dawne przysłowia.

Dębowa wić, uczy robić, a brzozowa, rozum dawa.

*

Do sieci wpadnie, kto z głupim kradnie.

Noc wigilijna w okopach.

(Zdarzenie prawdziwe).

Jeden z Hallerczyków, którzy w maju 1919 roku powrócili z swym wodzem do ziemi ojczystej, opowiadał mi następujące zdarzenie:

Było to we Francyi dnia 21. grudnia 1914 roku. Pierwszy batalion trzeciego pułku marszowego Legii cudzoziemskiej, którego trzecia część składała się z Polaków, otrzymał rozkaz udania się do okopów. Staliśmy we wsi Marcourt, okopy były o 15 kilometrów stamtąd oddalone. Wyznaczono nam odcinek pod wsią Frise, na zboczu płaskowzgórza, spadającego gwałtownie ku szerokiej i błotnistej dolinie rzeki Sommy.

O godzinie drugiej rano byliśmy już w okopach. Czas był okropny, deszcz padał dzień i noc, okopy pełne były błota i wody. Był to dopiero początek wojny, a zmęczone czteromięsięcznymi walkami wojska francuskie nie przedsięwzięły jeszcze żadnych robót ziemnych. Aby udogodnić sobie przynajmniej jako tako pobyt w okopach, zabraliśmy się żwawo do pracy, wskutek czego dni, choć posępne i szare, jakoś szybciej nam przechodziły.

Dnia 23. grudnia deszcz padać przestał, a choć niebo zakrywały jeszcze czarne opony, w okopach zrobiło się jakoś milej i weselej. Pierwsze linie zaroiły się żołnierzami, a że w naszej kompanii było nas kilkudziesięciu Polaków, więc skupialiśmy się najchętniej obok siebie. Niejeden zagadnął:

— A to jutro wigilia!

— Tak, wigilia — odpowiadano mu z jakiemś cichem westchnieniem, które było niejako niemym posłańcem do domów rodzinnych i do tych najdroższych, którzy w nich pozostali.

Nie mówiono wiele, gdyż każdy zapytywał siebie w duchu, poco tu przyszedł na obcą ziemię, wśród obcych szeregów bić się za nieswoją sprawę. A choć ten i ów starał sobie swój postępek wytłomaczyć dalszymi względami, to przecież mimowoli umysł nurtowała myśl, że jednak wszystko to może być napróżno.

Noc przeszła cicho i spokojnie. Niemcy nie strzelali, więc też i my nie psuliśmy na darmo nabojów.

Rano spotkała nas przyjemna niespodzianka. Oto kuchnia polowa, prócz obfitego posiłku, przysłała nam po jednem jabłku, jednej

pomarańczy i garści orzechów na każdego, a oprócz tego butelkę wina szampańskiego na czterech. To nas rozochociło. Podjadłszy sobie, zebraliśmy się wszyscy w grupę i zaczęliśmy śpiewać kolendy. Inni zaś ustawili puste butelki rzędem na przedpiersiu okopu tak, że mogli je widzieć Niemcy.

Jakoż zobaczyli je. Po niedługiej chwili z okopów nieprzyjacielskich poczęły się wychylać głowy żołnierzy, widne dokładnie, gdyż linie nasze były odległe zaledwie o kilkadziesiąt metrów. Widząc Niemców, wychylających się ufnie z swych ziemianek, zaczęliśmy się i my wychylać, a wreszcie ktoś zaproponował po niemiecku:

— A chodźże tu który z was!

— A to wyjdźcie z okopu! — odpowiedziano nam.

Rozmowę przerwał nam dowódca kompanii, który nietylko skrzyczał nas za bratanie się z nieprzyjacielem, ale nawet kazał dać salwę do okopów przeciwnika.

Po przeciwnej stronie głowy znikły momentalnie, a choć komendant odszedł, choć strzały do wieczora nie powtórzyły się więcej, to przecież nie powróciła już dawna swoboda i radość z uroczystej chwili. Każdy z nas wstydził się w duchu podstępnego czynu, jakim była dana salwa w tak uroczysty dzień.

I znów noc zapadła. Między drugą a czwartą po północy dostałem rozkaz czatowania w okopach. Obok mnie stał kolega mój pochodzący z Poznania. Wyszedłem na wartę senny i zmęczony, ale zimny wiatr, smagający mnie po licach, wnet powrócił mi przytomność. Usiadłem po chwili na przedpiersiu okopu, aby mi nogi nie marzły w błocie. Towarzysz mój uczynił to samo. Nie mówiliśmy nic do siebie, gdyż myśli nasze były tam w odległej Polsce. Widzieliśmy oczyma duszy rodaków naszych, powracających o tej porze z Pasterki.

Nagle uwagę moją zwrócił cichy szmer, jakby pobliskie pełzanie. Zszedłem ostrożnie do okopu, to samo uczynił mój towarzysz. Wysunąłem ostrożnie karabin, oparłem go na parapecie, przyłożyłem kolbę do ramienia, otwarłem zamek i czekam. Cisza.

Po chwili szmer się znów powtórzył.

— Ktoś się zbliża — szepnąłem do kolegi.

Szmer ustał. Człowiek zatrzymał się na chwilę, poczem znów począł pełzać. Kiedy już szmer był zbyt blizko nas, postanowiłem skończyć tę niepewność. Zapytałem więc po francusku:

— Kto idzie?

Wówczas usłyszałem odpowiedź w łamanej francuczczyźnie:

— Przyjaciele!... Trochę Prusak, trochę Polak...

Zdrętwiałem. Po chwili pytam znowu:

— Wyście Polak?

— Tak! Polak, panie, z Poznańskiego!

— Broń macie?

A kiedy zaprzeczył, kazałem się mu zbliżyć ku sobie. Z ciemnnej nocy wyłoniła się postać prawie tuż przed nami. Ustąpiliśmy nieco, trzymając karabiny z nałożonymi bagnetami w pogotowiu, dając nieznajomemu rozkaz wejścia do okopu. Tu wybadałem przybysza i przekonałem się, że pochodził rzeczywiście z Wielkopolski, a nawet z sąsiedniej mej wsi rodzinnej. O jakże bezdenny smutek zalał mi duszę, gdy pomyślałem, że los postawił brata przeciw bratu, aby przelewali krew bratnią za niewłasną sprawę.



Człowiek zatrzymał się na chwilę, poczem znów począł pełzać.

— Jesteśmy rodakami, a obecnie jesteś jeńcem moim – szepnąłem.

— Żałuję mocno, że tylko sam jestem, ale to już wasza wina. Usłyszawszy bowiem polską kolendę w waszych okopach, serca nasze zadrgały na jej odgłos. Było nas w okopach niemieckich kilkunastu Polaków i bylibyśmy niezawodnie wszyscy teraz pomiędzy wami, gdyby nie ta przeklęta salwa. Wycofano natychmiast wszystkich, ja jeden zdołałem się ukryć w okopach do nocy, aby porzucić przeklętą służbę. Nie rozumiałem tylko, skąd się wzięli przed nami Polacy.

A po chwili dodał:

— Ale wasza salwa jednego z naszych zabiła.

Święto Bożego Narodzenia.

Uroczyste obchodzenie przyjścia na świat Zbawiciela przyszło do nas z tak odległej tradycyi, stało się taką potrzebą uczuć naszych, że wierzymy chętnie, iż święto to obchodzone było chyba w najwcześniejszych latach chrystyanizmu. W rzeczywistości zaś święto Bożego Narodzenia jest jednem z trzech wielkich uroczystości kościelnych najpóźniejszej doby.

Pamiątkę przyjścia na świat Zbawiciela czcili wprawdzie pierwsi chrześcijanie solennie, ale oznaczenie stałego dnia święta nastąpiło dopiero w czwartym wieku po Chrystusie. Najważniejszym powodem tego była trudność oznaczenia dnia urodzin Pana Jezusa. Biblia nie daje pod tym względem pewnych wskazówek, a historycy nie zgadzają się w oznaczeniu dnia. Niektóre sekty Kościoła katolickiego twierdziły na przykład, że Pan Jezus przyszedł na świat dnia 6. stycznia.

Przeciw temu twierdzeniu, które utrzymywało się przez czas dłuższy, wystąpił papież Juliusz I, który rozkazał czynić ścisłe poszukiwania i na mocy tych badań oznaczył dzień 25. grudnia.

W roku 360 papież Liberiusz z okazyi uroczystych obłóczyn zakonnych siostry swojej, które odbyły się 25. grudnia, ogłosił, że „Oto dziś narodził się z Dziewicy Pan". Rok ten przyjmują powszechnie, jako początek zaprowadzenia święta Bożego Narodzenia.

Od tego czasu dzień 25. grudnia stał się dniem świętej pamiątki na całym obszarze ziem, gdzie władał kościół rzymski; na wschodzie trzymano się jeszcze długo starej daty 6. stycznia. Cesarz Justynian I, panujący w drugiej połowie VI wieku, musiał osobnym edyktem rozporządzić, aby święto Narodzenia Pana obchodzono 25. grudnia a nie 6. stycznia.

Raz już wprowadzone święto Bożego Narodzenia stało się taką potrzebą serc chrześcijańskich, tak bardzo odpowiadało uczuciom wiernych, że nie zdołała go z obyczajów ludu wyrwać nawet reformacya, zwłaszcza, że do czysto kościelnego święta przyłączyło się dużo uroczystości świeckiej natury. Tylko najbardziej surowe sekty kalwinistów, purytanów, kwakrów święto to zarzuciły. Reformacya luterska pozostawiła je.

Z biegiem czasu związał się z świętem Bożego Narodzenia cały ten podniosły i drogi nam ceremoniał świecki, jak uroczystej wilii, choinki, wzajemnego obdarzania się podarunkami, kolendy, gwiazdki, łamania się opłatkiem itd., wszystko, co obecnie ściśle wiąże się z pojęciem tych świąt, co im daje urok niezwykły i właściwą poezyę.

Obecnie Boże Narodzenie, zwłaszcza na ziemiach polskich, jest najdroższem świętem rodzinnem, podczas którego wszystkie serca

miękną, urazy znikają, a z chwilą, gdy pierwsza wigilijna gwiazda zaświeci, w całej Polsce dusze wszystkich jednoczą się w podniosłym akcie wspólnej miłości i jasnych pragnień. Serca ludzi stają się w tej chwili proste, ewangeliczne.

Wiele z tych zwyczajów, które zachowujemy w dzień Narodzin Chrystusa Pana, ma początek bardzo, bardzo odległy, pogański. Roztropny Kościół katolicki, obwieszczając dzień 25. grudnia świętem, miał także na celu zburzyć dawne pogańskie przesądy, a odwieczne zwyczaje złączyć z świętem katolickiem. Pod wielu względami udało się mu to w zupełności tak, że my dzisiaj ani rozróżnić nie możemy, co jest uroczystością w ścisłem tego słowa znaczeniu katolicką, a co jest zabytkiem dawnych zwyczajów i obrzędów pogańskich.

Rozmowa o Bożem Drzewku.

(Przekład z niemieckiego).

(W białym, miłym pokoiku siedzą w swoich łóżeczkach pięcioletnia Frania i sześcioletnia Mania. Jak wskazuje przykręcona lampka, rzucająca tylko mdłe odblaski na otoczenie, dzieci powinny już dawno spać, gdyż minęła dziesiąta godzina wieczór. Przez szyby okien wdziera się do pokoju jasny blask księżyca i przytłumia odblaski lampki).

Mania: Jak często muszę ci jeszcze powtarzać, że zbliża się Boże Narodzenie? Jeżeli raz co powiem, to wiedz, że to jest prawda.

Frania: Nie hałasuj tak! Tatko wnet nadejdzie i jeszcze nas skrzyczy.

Mania: Nie boję się tatka! Co mi tam tatuś!

Frania: Jeżeli nie będziesz słuchać tatka, to przyleci dzisiaj aniołek i zabierze drzewko z balkonu.

Mania: Kto ci to powiedział?

Frania: Tatuś to mówił, a tatusiowi powiedział aniołek.

Mania: Doskonałe! A kiedyż to tatuś z aniołkiem rozmawiał?

Frania: W kawiarni!... Aniołek przychodzi co wieczór do kawiarni i tam z tatkiem rozmawia. Tatuś opowiada mu, czy my grzeczne czy niegrzeczne jesteśmy.

Mania: To nieprawda! Tatuś kłamie!...

Frania: Tatuś nigdy nie kłamie!

Mania! Tatko kłamie, tatko zawsze kłamie!... Na świętego Mikołaja także nas okłamał, bo powiedział, że do trzewików św. Mikołaj nakładł nam podarunków, a to tymczasem nasza pokojówka uczyniła. Widziałem to! Tatuś ucałował za to pokojówkę, bo myślał, że my już śpimy. Tatuś zawsze całuje pokojówkę.

F r a n i a: To nie prawda! Tatuś całuje mamusię!...

M a n i a: Mamusię także. Ale gdy mamusi niema w pokoju, to nie może mamusi całować; wtedy całuje pokojówkę. I dlatego właśnie mamusia trzyma pokojówkę, aby ją zastąpiła, gdy jej niema w pokoju.

F r a n i a: Pokojówka także mówiła, że aniołek weźmie drzewko z balkonu, jeżeli będziemy niegrzeczne.

M a n i a: Pokojówka także kłamie. Aniołek drzewka nie weźmie. On tu wcale nie przyjdzie. Na świętego Mikołaja byłyśmy niegrzeczne, a dostałyśmy tyle podarków. Teraz także wszystko dostaniemy.

F r a n i a: Oczywiście, jeżeli będziemy grzeczne!

M a n i a: Brednie, moja kochana.

F r a n i a: Wśród gałęzi drzewka na balkonie siedzi aniołek i przypatruje się, czy jesteśmy grzeczne.

M a n i a: To także nieprawda, gdyż na balkonie jest zimno, tam niema nikogo. Czy ty myślisz, że w całem mieście jest tylko jedynie na naszym balkonie drzewko? A na sąsiednim niema? A na innych niema? I tobie się zdaje, że na każdem drzewku siedzi jeden aniołek?

F r a n i a: Tego to już nie wiem.

M a n i a: Boś osioł! Aniołka drzewko nic a nic nie obchodzi!

F r a n i a: Otóż widzisz, że i ty kłamiesz także... Drzewko przynosi aniołek.... tatuś mi to mówił....

M a n i a: Tatuś skłamał, bo drzewko przyniosła kucharka z miasta, gdzie mięso kupuje.

F r a n i a: Jak możesz być taką kłamczynią?

M a n i a: Ja nie jestem wcale kłamczynią. Wszyscy w domu kłamią, tylko ja nie kłamię. Mamusia także kłamie.

F r a n i a: Mamusia nie kłamie!

M a n i a: Milcz! Jeżeli ja mówię, że kłamie, to kłamie! Ty nie wiesz nic o tem, boś ty jeszcze całkiem malutka dziewczynka. Zresztą poco ja o tem z tobą mówię? Ja cię już więcej nie kocham...

F r a n i a (milczy).

M a n i a (po krótkiej chwili): Ja cię już wcale nie kocham.

F r a n i a: Ja cię także nie kocham.

M a n i a: Jeżeli mnie będziesz słuchać, to znowu będę cię kochała.

F r a n i a: A więc słucham cię! Czy mnie już kochasz?

M a n i a; Tak! Ale nie mów, że jestem kłamczynią, bo ja nigdy nie kłamię! Ja wiem wszystko. Podarki przynosi sklepikarz.

F r a n i a: Kto?

M a n i a: Sklepikarz. Mieszka przy ulicy Parowej. U niego

w sklepie, gdzie byłam raz z tatusiem kupować lalkę, jest masa różnych podarków. Tatuś daje mu pieniądze, a on nam przynosi podarki: okręty, książki z obrazkami i inne zabawki.

F r a n i a: I lalki także?

M a n i a: Wszystko!

F r a n i a: A zatem sklepikarz jest aniołkiem.

M a n i a: Tak jest! On jest naszem aniołem na imieniny, on jest aniołkiem na moje urodziny i na twoje urodziny. Sklepikarz jest wszystkiem!



W białym, miłym pokoiku siedzą w swoich łóżeczkach pięcioletnia Frania i sześcioletnia Mania.

F r a n i a: A więc sklepikarz siedzi na balkonie ukryty w drzewku?

M a n i a: Waryatka jesteś! Na balkonie niema nikogo! Sklepikarz siedzi w sklepie i pilnuje swoich towarów. Jak byłam u niego z tatusiem po lalkę, sklepikarz miał taki piękny okręt. Chciałyśmy mieć ten okręt: i na świętego Mikołaja był ten sam okręt. A kto go przyniósł? Święty Mikołaj, czy sklepikarz?

F r a n i a (z najgłębszem przekonaniem): Święty Mikołaj!....

M a n i a: Nie prawda!.. Sklepikarz! Skądżeby właśnie święty

Mikołaj wiedział, że u sklepikarza jest taki sam okręt, jaki my chciałyśmy mieć?

F r a n i a: Tatuś mu powiedział!

M a n i a: A gdzież to tatuś mógł świętemu Mikołajowi powiedzieć?

F r a n i a: W kawiarni.

M a n i a: Tatuś nie chodzi do kawiarni na pogadanki ze świętym Mikołajem; on tam chodzi grać w karty.

F r a n i a: Skąd ty wiesz o tem?

M a n i a: Ponieważ nieraz, dając mamusi pieniądze, powiada: Te piąniądze wygrałem w kawiarni w karty...

F r a n i a: A pokojówce tatuś nie daje pieniędzy?

M a n i a: Nie! Pokojówce dał tatuś ten piękny zielony pierścień. Pokojówka zakłada go na palec tylko wtedy, jak idzie z nami na przechadzkę. Gdy wracamy do domu, ściąga go jeszcze przed schodami.

F r a n i a: Dlaczego go ściąga?

M a n i a: Aby jej go kucharka nie ukradła. Kucharka kradnie wszystko: jaja, mięso, rodzynki, migdały, a potem powiada mamusi, żeśmy to zjadły. Kucharka także kłamie. (Pauza). Wszyscy kłamią, wszyscy! Jeden jedyny człowiek tylko nie kłamie nigdy!

F r a n i a: Któż to nigdy nie kłamie?

M a n i a (miękko i z drżeniem): Sklepikarz! Sklepikarz nigdy nie kłamie!

F r a n i a (bojaźliwie): Sklepikarz?...

O j c i e c, wchodząc gniewnie: Cóż wy jeszcze nie śpicie?

O b y d w i e d z i e w c z ą t k a: Tatuś, tatuś!

O j c i e c: Idę zaraz do kawiarni powiedzieć aniołkowi, by zabrał drzewko z balkonu (zmierza ostrym krokiem ku drzwiom).

F r a n i a (poczyna cicho szlochać).

M a n i a: Franiu, nie płacz, głupia! Tatuś poszedł grać w karty!

Dziewczątka naciągają na siebie kołderki, ukrywają główki w poduszkach i za kilka minut zasypiają spokojnie).

Dawne przysłowia.

Dyabeł nie chciał być kucharzem, furmanem, mamką; ale chciał być młynarskim wieprzem ekonomskim koniem i dworską kucharką.

*

Do interesów, jednego woru z pieniądzmi, a drugiego z pilnością potrzeba.

Pogadanka o kalendarzach.

Kalendarz jest dla każdego człowieka, czy to biedny czy bogaty, wieśniak czy mieszczanin, uczony czy prostaczek, prawdziwym przyjacielem i towarzyszem przez cały rok. I mało jest takich ludzi, którzyby nie mieli w swym domu kalendarza. Ale kalendarz kalendarzowi nie równy. Jedne z nich obliczone są na zysk, niedbając o to, co piszą i dla kogo piszą, inne zaś, nie zważając na koszta wydawnictwa, starają się przynieść czytelnikowi jak najwięcej wyborowej strawy duchowej. Każdy więc prawie posiada kalendarz, jedni lepszy, drudzy gorszy, ale nie wszyscy znają historyę kalendarza. Zdaje mi się więc, że najstosowniejszem miejscem na pogawędkę o kalendarzach będzie właśnie miejsce w kalendarzu.

W języku greckim *kaleo* znaczyło: przyzywam, zwołuję; że zaś u Rzymian najwyższy kapłan na początku każdego miesiąca zwoływał lud do Kapitolu i ogłaszał długość rozpoczynającej się lunacyi, stąd też pierwsze dni miesiąca nazywano *calendae*, a księga, w której zapisywano lata, dni i odmiany księżyca: *calendarium*.

Rzymianie liczyli lata od założenia Rzymu, lecz kalendarz ich w wielkim był nieporządku, czemu zapobiegł Juliusz Cezar, sprowadzając z Egiptu astronoma Sosigenosa i polecając mu zreformowanie rachuby czasu. Reforma ta nastąpiła w 708 roku od założenia Rzymu, a na 45 lat przed Narodzeniem Chrystusa Pana i dała nazwę kalendarzowi Juliańskiemu, który rachubę czasu zastosował jedynie do roku słonecznego, a obroty księżycowe całkiem z nich usunął.

Chrześcijanie porzucili jednak zwyczaj liczenia lat od założenia Rzymu, a Narodzenie Chrystusa przyjęli za początek nowej ery. Kalendarz Juliański zreformował papież Grzegorz XIII., poczem taki zreformowany kalendarz zaprowadzono niemal w całej Europie.

W Polsce kalendarze astronomiczne powstały za panowania Władysława Jagiełły, a w układaniu ich zasłynął astrolog króla prof. Henryk Czech od 1424 roku. Kalendarze krakowskie osiągnęły taką wziętość, że w Wiedniu i Heidelbergu wychodziły p. t. *Practica Cracoviensis*. Na początku XVI wieku układali je Jakób z Iłży i Mikołaj z Tuliszkowa, naturalnie po łacinie, gdyż wówczas w druku nie używano języka polskiego. W języku polskim najdawniejszy kalendarz pochodzi z r. 1516, pierwszy zaś Gregoryański ukazał się w Krakowie po łacinie 1583 r.

W XVII wieku wziętość kalendarzy przeszła do akademii w Zamościu, gdzie profesorem astronomii był Stanisław Niewieski. Ponieważ jednak nie bardzo wierzono w przepowiednie kalendarzowe Nie-

wieskiego, przeto powstało przysłowie: „Nie zgadnie pan Niewieski, co zrobi Pan Niebieski“,

Za czasów saskich wielkiego rozgłosu nabrały kalendarze, wydawane przez Duńczewskiego. Pierwszy z nich ukazał się w roku 1725 w Krakowie i odtąd wychodziły przez pół wieku z górą, stanowiąc najponętniejszą książkę dla czytelnika. Znajdowały się w nich tak, jak i w kalendarzach dzisiejszych, wiadomości i rozprawki historyczne, powiastki, wiersze, przepisy i uwagi gospodarcze, żarty, dowcipy itp. Ponieważ prawie każdy znajdował coś ciekawego w nich dla siebie, przeto były przez wszystkich mile widziane.

Prawie równocześnie z kalendarzem Duńczewskiego zaczęli wydawać kalendarzyki polityczne OO. Jezuici w Wilnie, Warszawie, Poznaniu, Kaliszu i Lublinie. Za ich przykładem poszli OO. Pijarzy, których tak zwane „Kolędy“ trwałą cieszyły się wziętością. Słynęły też w całym kraju „Kalendarze gospodarskie“, wydawane przez OO. Karmelitów w Berdyczowie od roku 1777. Wychodziły one aż do roku 1840, tj. do czasu przeniesienia drukarni karmelickiej z Berdyczowa do Żytomierza.

Z ostatnich lat przed wojną największą wziętością wśród sfer zamożniejszych, zwłaszcza krakowskich, cieszył się informacyjny kalendarz Czecha, zaś wśród ludu wiejskiego kalendarze Wojnara. Oprócz nich były najrozmaitsze kalendarze powieściowe, rolnicze, humorystyczne itp., z których niemal każdy miał własne grono miłośników i wielbicieli. Niestety, produkcyę polską, opartą na duchu religijnym i narodowym, wypierała nieraz skutecznie tandeta zagraniczna, przynosząca liche utwory w jeszcze gorszej polszczyźnie. Były to tak zwane kalendarze Steinbrenerowskie, wydawane w Niemczech w celu sączenia jadu w dusze polskie. Nakładcy ich mieli olbrzymie kapitały, które pozwalały im na rzucanie całej masy egzemplarzy na rynek księgarski, a bezkrytyczny ludek kupował zgniliznę moralną i płacił za nią milionowe sumy. Chwała Bogu, wojna wyrugowała od nas częściowo tę tandetę zagraniczną, która, jak się spodziewać należy, więcej do nas nie powróci.

Na zakończenie należy jeszcze dodać, że w ciągu tylu wieków ery chrześcijańskiej jeden tylko kraj przed przeszło stu laty w rozpasaniu rewolucyjnem, obalając religię, zniósł równierz i kalendarz, mający za punkt wyjścia Narodzenie Pana Jezusa. Stało się to we Francyi, gdzie zaczęto liczyć erę rewolucyjną, miesiące przeinaczono, niedziele skasowano, a co dziesięć dni obchodzono dekadę. Stan ten trwał jednak niedługo, poczem i we Francyi powrócono do dawnej rachuby. Obecne rewolucye, ani rosyjska, ani inne o zmianę kalendarza nawet się nie pokusiły.

Spełnione marzenia.

Ojcowie nasi, a my za nimi marzyliśmy, aby dożyć kiedyś tej chwili, że Polska nasza ukochana znowu powstała, że o jej żyzne brzegi znowu rozbijają się sine fale morskie. Marzenia te nareszcie ku naszej radości spełniły się: choć zaledwie wąskim pasem, ale dotarliśmy do morza, możemy powiedzieć, że stoimy nad polskiem morzem. Tak! Ale jakżesz mało kto z nas wie, kto tam mieszka nad tem morzem, jak żyje, czem się trudni i jak myśli. Niechże więc dla tych, którzy o tem nie wiedzą, będzie niniejsza pogadanka informacyą, niech poznają tych braci naszych, którzy przez długie lata niewoli nie zaparli się swej łączności z macierzą Polską.

Otóż polskie brzegi morza Bałtyckiego zamieszkuje wierna garść synów ojczyzny: Kaszubi. Może nie wszyscy zdajemy sobie sprawę, że jeśli te ziemie nadmorskie, najdawniej oderwane od Polski, zachowały jeszcze jakieś ślady polskości i dzięki tej okoliczności tem łatwiej do Polski wróciły, to jest to przedewszystkiem zasługą Kaszubów.

Mimo iż miasta pomorskie przybrały wygląd i charakter niemiecki, ktokolwiek zapuścił się w okolice Pucka, Helu, Kartuzów, znalazł się wśród rodowitych, najszczerzej po polsku czujących Kaszubów. Oni to, narażeni na największe prześladowania Prusaków, którzy chcieli nas za wszelką cenę odgrodzić od morza, znieśli wszystko cierpliwie i oparli się wrogim zakusom.

A lud kaszubski to niezmiernie ciekawy lud, nietylko przez rysy charakteru niezłomnego, prawość i uczciwość przy wielkiej łagodności i dobroci serca i wesołości, przeciwstawiającej się smutnemu krajobrazowi nadbałtyckiemu, ale niemniej ciekawy przez swe wierzenia i zabobony, przez swą wiarę w czary, w złe oczy i t. p.

W miarę wzrostu oświaty, która ciągle postępuje, niedorzeczne wierzenia ustępują; Kaszubi skwapliwie czytają książki i gazety polskie.

Dla uczonego językoznawcy, jak i dla amatora, interesującego się językami, niezmiernie ciekawe jest narzecze kaszubskie. Wrogowie nadaremnie próbowali wmówić w Kaszubów, że nie są Polakami że mówią narzeczem jednego z dawnych plemion pomorskich czy nadbałtyckich, które nie mają nic wspólnego z językiem polskim, ale Kaszubi nie poszli na lep owego podstępnego tłomaczenia.

Wprawdzie gwara kaszubska różni się najwięcej ze wszystkich gwar od polskiego języka książkowego, ale to jeszcze nie dowodzi, jakoby język ich nie był polskim. Narzecze Kaszubów, wskutek tego że byli oni od dawna odcięci od Polski, nie ulegało rozwojowi powszechnej mowy polskiej i zachowało dlatego właściwości językowe z bardzo dawnych czasów. Jeżeli porównamy wyrażenia kaszubskie obecne z wyrażeniami praojców naszych, to przekonamy się, że dawne wyrażenia polskie u nas zanikły, a tam zachowały się bądź niezmienione zupełnie, bądź z czasem nieco przekształcone. Natomiast wpływy niemczyzny, która przecież przez tyle lat działać musiała, są bardzo nieznaczne.

Książek, pisanych gwarą kaszubską, prawie niema, a każdy Kaszub, umiejący czytać, czyta i rozumie doskonale książki polskie, pisane językiem literackim. Bardziej znane są tylko dwie rzeczy, pisane wyłącznie dla Kaszubów, a mianowicie: Hieronima Derdowskiego kilka poematów, jak: „Kaszuba pod Widnem, na dwosetną roczeznę oswobodzenia Mniemców i krzescyjaństwa od tureckiego jarzma w r. pańscim 1683“, albo „O panu Czorlińścim, co do Pucka po sece jachoł. Zełgoł dla swojech druhów Kaszubskich“. Dla tych, którzy nigdy nie spotkali się z Kaszubami, ani nie znają ich gwary, przytaczamy poniżej wyjątek z tego ostatniego utworu, aby mogli się przekonać, jakie zachodzą różnice pomiędzy gwarą kaszubską, a językiem książkowym.

„Ciejm z kupcami we Warszawie bywał tak przed rociem,
Liczyli mnie (niechże za to Pan Bóg ich nie karze)
Do ty róždži, z chtórny wyszli ozarci łapiezkarze
I nie chcieli mnie też podać wcale bratniej dłoni;
A ja z duszą i ze sercem Polak jem, jak oni.
My Kaszuby jeż strzeżemy Polsci morskich granic,
A w Warszawie naszy braca mają naju za nic.
Ale ma li naszą mowę serdecznie kochajma
I po polsku coraz lepi gadać się starajma“.

Jak więc widzimy z przytoczonego wyjątku, narzecze kaszubskie nie wiele się różni od książkowego języka polskiego, a obecnie, po przyłączeniu tych ziem do Polski pod wpływem szkoły i kultury narodowej coraz bardziej będzie się do niego upodabniać.

* * *

Poznawszy, choć pobieżnie, lud nadmorski, kaszubski, przyglądnijmy się pokrótce tamtejszemu krajobrazowi. Polskie wybrzeże Bałtyku nie zachwyca malowniczem przeciwieństwem pięknych głębokich zatok, nie wygina się linia brzegowa w rozliczne półwyspy, nie kąpią się wyspy pobrzeżne w zielonych toniach morza. Od ujścia Odry do Pucka ciągnie się brzeg linią jednostajną, skręciwszy na

południe, zatacza dwa olbrzymie łuki, tworząc płytkie zalewy: Wiślany i Kuroński. Piasek, wyrzucony przez morze, a niesiony wiatrem, wzdyma się w wały nadbrzeżne. Te piaszczyste pola, sąsiadujące z morzem, mają piętno smutku. Na brzegu trwa walka. Pod nieustannym naporem fal morskich wybrzeże kurczy się i cofa. Korzysta wtedy władca wybrzeży, wiatr, który jest „twórcą i niszczycielem“ zarazem. Gdzie załom jest silniejszy, a zatoka głębsza, tam piasek usypuje najpierw mielizny. Z czasem usypiska wynurzają się z wody, rosną ku wschodowi, przyjmują kształt wąskich a długich kos. Są to mierzeje: Pucka, Swierzu i Kurońska. Na zagrożonych wybrzeżach rozsiadły się tu i ówdzie lasy sosnowe, gaje starych dębów i buków, szumiących do wtóru morza.

Ale gdzie brzeg jest płaski, tam obszar jest sporny; to morze nakrywa go rozigranymi falami, to znowu osycha w promieniach słońca. Nie wyrasta ani źdźbło na przepojonym solą a dartym przez wiatry gruncie. Wiatr miecie piach w głąb lądu, niosąc zniszczenie.

Dalej na południe kraj podnosi się jednak, tworząc wyżynę, jakby wał ochrony przed igraszkami tumanów piasku. Krajobraz zmienia się zupełnie. Powierzchnia podnosi się w cały szereg nierównych garbów, to znowu obniża w kotlinki torfiaste, między którymi rozsiane są zwierciadła jezior. Miejscami garby ustępują miejsca obszerniejszym równinom. Rzeki przełomami utorowały sobie przejście do Bałtyku.

Tak przedstawia się krajobraz ziemi pomorskiej, na której żyje lud kaszubski, od lat dziesiątek wyczekujący na połączenie się z resztą ojczyzny, którego nareszcie po długich latach niewoli zdołał się doczekać.

Wycieczka nad morze Bałtyckie.

Pamiętne są te dni radosne, kiedy to w lutym 1920 r. wojska polskie stanęły nad morzem Bałtyckiem, kiedy to po tylu latach niewoli odzyskaliśmy znowu sine fale Bałtyku. Radosne to były dni owe, bo też było się z czego cieszyć. Uzyskawszy dostęp do morza, otrzymaliśmy zarazem okno na świat, wolną drogę do połączenia z krainami zamorskiemi, z któremi będziemy mogli się komunikować, nie oglądając się na łaskę państw sąsiednich. Z chwilą odzyskania Pomorza Polska wstępuje na drogę rozwoju, prowadzącą do dobrobytu i prawdziwej niezależności.

Ponieważ to Pomorze staje się jedną z najważniejszych części odrodzonej Polski, warto poznać, czem ono jest dla nas obecnie, czem było dawniej i jakie są jego dzieje przeszłe. Przeto pozwól,

Kochany Czytelniku, że poprowadzę cię w tę drogą nam krainę, że ci opowiem o jej przeszłości.

Pod względem geograficznym Pomorzem nazywa się cała ta kraina nadbałtycka, pod względem historycznym Pomorze obejmowało wybrzeże między Odrą, Notecią i Wisłą. Do Pomorza powinny się również liczyć Prusy, które dzieliły się na zachodnie czyli królewskie i wschodnie czyli książęce. Jeżeli popatrzymy na mapę tam, gdzie Wisła uchodzi do morza, to na wschód od Wisły zobaczymy Prusy wschodnie, a na zachód zachodnie, zaś dalej poza nimi właściwe Pomorze. Z większych miast nad morzem Bałtyckiem zauważymy Szczecin, Kołobrzeg, Puck, Gdańsk i Królewiec. Przestrzeń kraju, na której się te miasta znajdują, stanowi pod względem geograficznym prawie jedność i taką też jedność stanowiła aż do wyzwolenia się z jarzma niemieckiego Ojczyzny naszej. Dopiero pokój wersalski rozczłonkował te krainy, dzieląc je na trzy a właściwie na cztery części.

Większość Pomorza z miastami Szczecinem i Kołobrzegiem pozostawiono przy Niemcach, dalszy pas ziemi z miastem Puckiem przydzielono do Polski, okolice Gdańska wraz z miastem uznano, jako wolne państwo gdańskie, na skrawku Prus zachodnich, w powiatach sztumskim, kwidzyńskim, malborskim i suskim zarządzono plebiscyt, a Prusy wschodnie podzielono na trzy części, z których część północną, leżącą nad morzem z miastem Królewcem, pozostawiono przy Niemcach, w południowej części, a więc w rejencji olsztyńskiej zarządzono plebiscyt, a część najdalszą na północnym wschodzie przyłączono do ziem litewskich. Tak tedy poćwiartowano brzegi morza Bałtyckiego pomiędzy różnych posiadaczy. Bo też i ziemie te zamieszkują różne narody, a więc Polacy, Niemcy i Litwini, więc w stosunku do większości ludności starano się przydzielić i odnośne ziemie, a gdzie zdaniem konferencyi pokojowej trudniej było zbadać przynależność narodową większości mieszkańców, tam zarządzono plebiscyt. Nie trzeba dodawać, że wyrok konferencyi pokojowej w wielu wypadkach był niesprawiedliwy.

Ziemia w tych okolicach, o których mówimy, jest przeważnie urodzajna, a znaczne obszary pokrywają lasy. Dobywają tam drogocenny bursztyn.

Nazwa Prus i Prusaków pochodzi od wyrazu Porussi, którym Polacy oznaczali lud, leżący na północy. Ci pierwotni Prusacy to był lud spokrewniony z Litwinami, a więc nie mieli nic wspólnego z dzisiejszymi Prusakami, którzy są właściwie Niemcami, niczem nie różniącymi się od reszty Niemców. Dopiero gdy nad morzem Bałtyckiem usadowili się Krzyżacy, którzy składali się prawie wyłącznie z Niemców, i zawojowali Prusy, wynarodowili dawnych Prusaków, przybierając z czasem ich nazwę.

Posiadanie Pomorza i Prus było jednym z głównych celów polityki państwowej polskiej już od tych czasów, gdy Polska, wstąpiwszy na widownię dziejową, stanęła na silniejszych podstawach.

Już pierwszy nasz król, Bolesław Chrobry, podbił Pomorze i Prusy, straciła je jednak Polska za jego następcy, Mieczysława II. Walki o Pomorze rozpoczął Bolesław Śmiały, prowadzili je dalej: Władysław Herman i syn jego Bolesław Krzywousty, który je dopiero zdołał podbić. Krzywousty, chcąc połączyć Pomorze trwale z Polską, krzewił tam wiarę chrześcijańską i założył biskupstwo w Wolinie. Jednak następcy Bolesława Krzywoustego nie doceniali znaczenia Pomorza dla Polski, utracili go znaczną część tak, że tylko Pomorze gdańskie czyli kaszubskie ocalone zostało dla Polski.

W wieku XIII. straciła Polska Pomorze zupełnie, a tem samem i dostęp do morza.

Syn Kazimierza II. Sprawiedliwego, Konrad książe na Mazowszu i Kujawach, nie mogąc obronić się od Prusaków, wezwał z Palestyny zakon niemiecki czyli krzyżacki, oddał im ziemię chełmińską i nieszawską w r. 1229 pod warunkiem, że go będą bronili od Prusaków. Jakoż Krzyżacy rozpoczęli z Prusakami systematyczną wojnę, w ziemiach zajętych zakładali kolonie niemieckie, pobudowali twierdze, jak Toruń, Chełmno, Elbląg i inne. W ten sposób przez usadowienie się Krzyżaków straciła Polska dostęp do morza nie tylko na obszarze między Wisłą a Niemnem, ale całe wybrzeże Bałtyku, gdyż Pomorze z powodu sporów Władysława Laskonogiego z jego synowcem Władysławem Odaniczem wyłamało się z pod władzy Polski. Wróciło dopiero do niej w r. 1295, albowiem Przemysław II. który władał całą Wielkopolską, objął także Pomorze, któremu przekazał je bezdzietny książe pomorski Mszczug czyli Mestwin.

Przemysław II. został koronowany na króla Polski i księcia Pomorza, lecz w 8 miesięcy padł pod ciosami nasłanych morderców, a Pomorzem zawładnął teraz siostrzeniec Mszczuga, Leszek Ziemomysłowicz innowrocławski. Lecz odebrał mu je wkrótce Władysław Łokietek, król polski i połączył z posiadaną przez się Wielkopolską, dzielnicami brzesko-kujawską, sieradzką i łęczycką. Władysław Łokietek stał się wówczas najpotężniejszym z książąt, lecz nie mógł pokonać króla czeskiego Wacława II. który wyparł go z kraju, a sam koronował się królem polskim 1300 r.

Po śmierci Wacława II. syn jego Wacław III. oddał Pomorze margrabiom brandenburskim, lecz gdy i ten wkrótce umarł, udało się Łokietkowi razem z innymi dzielnicami Polski odzyskać i Pomorze.

Niebawem jednak Pomorze zaczęło się wyłamywać z pod władzy króla polskiego. Jeden z najpotężniejszych rodów pomorskich, mianowicie Szwencowie wypowiedzieli Łokietkowi posłuszeństwo i na-

prowadzili na kraj margrabiego brandenburskiego Waldemara. Łokietek wezwał na pomoc Krzyżaków, którzy wypędzili wprawdzie najeźdźców, ale sami na Pomorzu się osiedlili.

Władysław Łokietek starał się odebrać Krzyżakom zagrabioną ziemię, więc gdy wszelkie środki dyplomatyczne nie skutkowały, rozpoczął z nimi wojnę, pobił ich pod Płowcami 1331 roku, ale Pomorza nie odzyskał.

Syn Łokietka, Kazimierz Wielki, na zjeździe w Wyszehradzie zawarł z Krzyżakami układ, mocą którego odstąpił im Pomorze. Układu tego jednak panowie polscy podpisać nie chcieli, przeto cała sprawa została przekazana trybunałowi papieskiemu, który przyznał Pomorze Polsce. Krzyżacy nie usłuchali atoli wyroku trybunału i ziemie pomorskie zatrzymali. Traktatem w Kaliszu Kazimierz pozostawił ziemie te Krzyżakom. Stan taki trwał do połowy XV. wieku.

Sprawę Pomorza wznowił Kazimierz Jagiellończyk, podejmując wojnę z Zakonem o Prusy i Pomorze, która trwała od roku 1454 do 1466. Polacy odnieśli szereg znacznych zwycięstw, jak pod Puckiem, Skąpem, zajęli Chojnice i Malborg. Pomiędzy Polską a Krzyżakami zapośredniczył papież, przyszło więc do pokoju w Toruniu, na mocy którego Polacy odzyskali Pomorze z ziemią chełmińską i część Prus z Malborgiem i Warmią, a tem samem dostęp do Bałtyku. Krzyżacy natomiast zatrzymali część wschodnią Prus z Królewcem, ale musieli uznać zwierzchność Polski nad sobą. Każdy wielki mistrz obowiązany był w sześć miesięcy po elekcyi złożyć królowi polskiemu hołd.

Wielcy mistrzowie jednak, mimo zobowiązania się, nie chcieli składać królom polskim hołdu. Z tego powodu przyszło do wojny między Zygmuntem Starym a wielkim mistrzem Albrechtem brandenburskim w r. 1520. Albrecht stracił prawie całe Prusy Krzyżackie, lecz przyjąwszy w kilka lat później protestantyzm, ogłosił się świeckim księciem i otrzymał z powrotem Prusy wschodnie, zwane odtąd książęcemi, a zarazem zobowiązał się ponownie do składania hołdu królowi polskiemu.

Zygmunt August utworzył nawet pierwszą flotę polską, która oczywiście do dzisiejszych potęg morskich nie była nawet podobną.

Gdy Stefan Batory został obrany królem polskim, oparły się mu miasta pruskie, a zwłaszcza Gdańsk. Pokonał je jednak Jan Zborowski pod Tczewem, a sam król zmusił Gdańsk do poddania się, zapłacenia kontrybucyi i uznania władzy królewskiej w r. 1576.

W następnych latach Polska nie dba tak, jakby należało, o dostęp do morza Bałtyckiego, zwracając baczniejszą uwagę na wschód i południe, a już najniekorzystniejsze dla Pomorza było dostanie się na tron polski rodziny szwedzkiej Wazów. Polityka tych królów,

mająca na oku sprawy swojego domu, naraziła Polskę na wojnę ze Szwecyą, w czasie których Pomorze to tracono, to odzyskiwano.

W czasie tym przyszło do połączenia się Brandenburgii z Prusami wschodnimi. Te dwie ziemie przedzielały Prusy zachodnie, podobnie jak to jest teraz po odzyskaniu Prus zachodnich przez Polskę. Odtąd wszystkie wysiłki Niemców były skierowane ku temu, aby wydrzeć Prusy zachodnie Polsce, co się im wreszcie udało podczas pierwszego rozbioru Polski w roku 1772.

Historya tych lat jest dla Pomorza i Prus bardzo smutna. Za Władysława IV. Polska otrzymała Prusy na podstawie rozejmu, zawartego w Sztumdorfie w r. 1635 ze Szwecyą, ale już za Jana Kazimierza przyszło do nowej wojny ze Szwedami. Gdy król szwedzki, Karol Gustaw opanował całą niemal Polskę, ówczesny elektor brandenburski, a zarazem książe pruski, Fryderyk Wilhelm, skorzystał z nieszczęścia Polski i zajął Prusy królewskie. Wprawdzie wkrótce musiał je zwrócić, ale został zwolniony od składania hołdu, do czego był zobowiązany. Wreszcie doszło do tego, że za panowania Augusta II. w czasie rozgrywającej się tak zwanej wojny północnej, ówczesny elektor brandenburski, Fryderyk III., koronował się w Królewcu w r. 1701, jako Fryderyk I. król pruski.

Królowie pruscy, nie mając na tyle sił, aby sami mogli odebrać Polsce Prusy zachodnie, wciągają do zmowy Rosyę i Austryę i knowaniami doprowadzają do pierwszego rozbioru Polski, czego głównym sprawcą był król pruski Fryderyk II. Prusacy zabrali wówczas całe Prusy zachodnie, prócz Gdańska i Torunia, które zostały jeszcze przy Polsce.

Następca Fryderyka II. Fryderyk Wilhelm III. chciał wydrzeć Polsce Gdańsk i Toruń zapomocą układów, a gdy się Polacy na to zgodzić nie chcieli, przyszło do drugiego rozbioru Polski, w którym Prusacy zajęli resztę Prus zachodnich.

Ale powiada przysłowie: „Bóg jest nierychliwy, ale sprawiedliwy". Długo czekaliśmy na sprawiedliwość Boską, która przyszła nareszcie ku naszej wielkiej radości, a pohańbieniu największego wroga naszej Ojczyzny i da Bóg, że nietylko odzyskane ziemie utrzymamy po wieczne czasy, ale i resztę, nieprzyznanych nam teraz, odebrać potrafimy.

Dawne przypowieści.

Chrzan się chlubi: dobry ja z miodem; a miód na to: kat cię prosi, dobry ja i bez ciebie.

*

Chłopska rzecz siła jeść, a siła pić szlachecka.

Nad sinym Dnieprem.

(Powiastka na tle walk z bolszewikami).

Zaledwie kilkanaście wiorst od Dniepru szalała zacięta walka. Oddziały bolszewickie, cofające się od dłuższego czasu przed napierającymi Polakami znalazły się w pobliżu sinych fal dnieprowych. Nie będąc jednak regularnem wojskiem, ale raczej bandą, żądną mordów i rabunku, nie przygotowali bolszewicy należycie odwrotu, nie zabezpieczyli tyłów, nie pobudowali mostów, przez któreby się mogli w razie klęski przeprawić. Wiedzieli o tem Polacy, gdyż im lotnicy zdawali o wszystkiem jak najdokładniejsze sprawozdania, postanowili więc wyzyskać sytuacyę, nie ustając w następywaniu na pięty cofającemu się przeciwnikowi.

Nareszcie cofający się bolszewicy stanęli nad szumiącą rzeką, spostrzegając, że mają odwrót odcięty. Przed nimi szumiała szeroka rzeka, poza nimi szedł niestrudzony i dzielny nieprzyjaciel. Oficerowie czerwonej gwardyi widzieli, że zginą sami i zgubią całą swą armię, jeżeli nie powstrzymają tak długo następujących Polaków, póki nie zbudują jakich takich mostów na Dnieprze, przez któreby mogli ujść z pogromu. Wskutek tego nahajem i rewolwerem zmusili do zatrzymania się na pół dzikie hordy i do stawienia czoła przeciwnikowi.

Bitwa rozszalała w całej pełni. Grzechot karabinów, kulomiotów i ryk dział polowych targał powietrzem niemiłosiernie. Bolszewickie kule, jako złośliwe osy i bąki, brzęczały koło uszu naszych żołnierzy, ukrytych poza świeżywi okopami. Na przedzie wysunięta artylerya czyniła wielkie spustoszenia w obozie bolszewików i przygotowywała dla piechoty i kawaleryi polskiej otwarte tereny do popisu z białą bronią.

Przy jednej z armat klęczał kanonier, Władek Stalony i czarną lufą celował na pewien punkt, na który komenderujący oficer kazał skoncentrować ogień swej bateryi. Pot lał mu się z czoła, ręce opadały ze znużenia, gdyż nie pierwsza to była godzina jego żmudnej pracy. Widać było, że nie wytrzyma dłużej tego olbrzymiego wysiłku, ale on nie ustępował, gdyż czuł, że od wytrwałości wszystko zależy, że przerwa w ogniu ośmieliłaby bolszewików i zachęciłaby ich do energiczniejszego następowania.

Widział zmęczenie Władka komendant bateryi, przechodząc więc około pracującego, rzekł:

— Chwilkę tylko zuchu! Przyszlę ci zaraz kanoniera, aby cię zastąpił; odpoczniesz trochę.

Władek nie odrzekł nic, ale spojrzał z taką wdzięcznością na komendanta, że ten zrozumiał mowę oczu. Nie czekając więc, podszedł do żołnierzy, pozostających w rezerwie, a wywołując jednego z nich, powiedział:

— Pójdziesz Franku zastąpić Stalonego. Zmordował się biedak, trzeba mu dać wypoczynek.

Nazwany Frankiem, słysząc to, jakby się zawahał na chwilę. Spostrzegł ten odruch komendant, a będąc raczej ojcem dla żołnierzy, niż komendantem, zapytał:

— Czyżbyś nie chciał iść?

— Ach nie! Panie komendancie.,. Tylko, że to właśnie za Władka... Ale owszem, idę...

Komendant znał Franka, jako posłusznego, dzielnego i wzorowego żołnierza. Zastanowiło go więc to zachowanie się zucha, któregoby się nigdy był nie spodziewał. Postanowił przeto zbadać rzecz całą. W tym celu poszedł zaraz za Frankiem ku bateryi.

Ten zaś, znalazłszy się obok Władka, rzekł:

— Z polecenia komendanta mam cię zastąpić... Daj!...

— Idź! — obruszył się Władek i nie ustępował z zajmowanego miejsca.

Franek stał bezradny, nie wiedząc, co począć, gdy zbliżył się komendant.

— Cóż to nieposłuszeństwo?... Bunt? – zawołał niby oburzony. — Stalony, rozkazuję ci odejść!

Władek bez słowa protestu odsunął się od armaty i stanął opodal. Przystąpił do niego komendant i zapytał:

— Powiedz mi, Władek, co wy macie ze sobą? Już ja to od dłuższego czasu widzę, że wy dwaj patrzycie na siebie, jak pies na kota. A w jednej bateryi być tego nie powinno.

— Panie komendancie... — zaczął Władek, lecz urwał.

— No, wygadaj się — zachęcał go oficer. — Może znajdę jaką radę, aby was pogodzić.

-- To się nie da, bo cierń zanadto wżarł się pomiędzy nas. Rzecz, która nas dzieli, jest zanadto ważną, aby ją nawet najrozumniejsze perswazye mogły załagodzić.

— Ejże zaciekawiasz mnie! Ale mów, jak do przyjaciela. Zapewne kobieta.

— Tak jest, panie komendancie! Ja i Franek pochodzimy z jednej wsi, obydwaj chodziliśmy do jednej klasy gimnazyalnej w Rze-

szowie, żyjąc ze sobą, jak dwóch najserdeczniejszych przyjaciół. Z klasy piątej uciekliśmy do Legionów i przebywaliśmy całą wojnę razem, prawie się nie rozłączając. A kiedy Legiony poszły w rozsypkę, wróciliśmy do rodzinnej wsi, ukrywając się przed pościgiem austryackich żandarmów. W tym czasie spostrzegłem, że Franek coś się zanadto czuli do nadobnej leśniczanki, która na mnie również wywarła niepospolite wrażenie. Pytam więc Franka po przyjacielsku: „Słuchaj, co ty myślisz o pannie Jadzi?“ Trzeba było widzieć wzrok jego, jakim popatrzył na mnie, aby zrozumieć, jakie on żywił dla niej uczucia. Zrozumiałem wszystko i chciałem mu wytłumaczyć, aby nie wchodził mi w drogę. Nie odrzekł słowa, ale tego samego jeszcze dnia znikł ze wsi. Dowiedziałem się o tem na leśniczówce, gdym tam zaszedł wieczorem. Panna Jadzia trzymała list w ręku. Już z daleka poznałem pismo Franka. A więc tak — pomyślałem — uprzedził mnie! — i chciałem odejść, nie pożegnawszy się. Spostrzegła to jednak panna Jadzia i powiada: „Wie pan co? Pisze mi właśnie Franek, że dziś odszedł do wojska polskiego pod Lwów. Żegna się ze mną, jakgdyby nigdy nie miał wrócić.“ „A pani bardzo go żałuje?“ zapytałem z pewnym odcieniem ironii, „Bądźmy szczerzy — odrzekła wtedy dziewczyna — ani dla niego, ani dla pana nie żywię takiego uczucia, żebym dziś mogła pomiędzy wami wybierać. Obaj jesteście mi mili i drodzy, i gdyby mi przyszło powiedzieć, nie wiedziałabym, co odrzec. Dziś, może być, że sympatye moje przechyliły się na stronę Franka, gdyż on pierwszy pospieszył na obronę ojczyzny“.

— Zrozumiałem – ciągnął po chwili Władek – powiedzenie dziewczyny. Zrozumiałem, że dotąd nie kochała ona jeszcze żadnego z nas, ale wiedziałem zarazem, że pokocha tego, który lepiej się spisze na polu walki. Nie zwłócząc ani dnia dłużej, zaciągnąłem się i ja w szeregi. Los zrządził, że znaleźliśmy się obydwaj w jednej bateryi i od pierwszej niemal chwili zostajemy pod komendą twoją, panie komendancie, ale żaden z nas nic takiego nie zrobił, aby mógł się tem kiedyś przed dziewczyną poszczycić. Aż dziś przyszła chwila i właśnie pan komendant nie pozwolił mi...

— Bajże baju! — rozśmiał się komendant. Gdyby czyny wasze liczyć, to zdziałaliście więcej obydwaj, aniżeli innych dziesięciu, ale gdyby mi przyszło orzec, który z was więcej uczynił, to zaiste, nie umiałbym tego powiedzieć.

Nie czas było na dłuższą rozmowę, gdyż na spienionym koniu nadleciał adjutant z krótkim rozkazem do komendanta bateryi i cwałem odjechał.

— Baterya za mną w skok, co siły w koniach.

Komendant jednym rzutem znalazł się na grzbiecie podprowadzonego konia, do armat wprzągnięto konie, a za minutę Franek

Władek pędzili na koniach w sznurze podskakujących po nierównym gruncie armat i jaszczyków.

Piechota otrzymała rozkaz rozsypania się w tyralierkę i z bagnetem w ręku pędziła do ataku Na froncie bolszewickim zapanował nieład. Bolszewicy znali z doświadczenia polski atak i wiedzieli, że gdy Polacy uderzą, nic się im nie oprze, woleli więc zmykać. Na nieszczęście odwrót zagradzał im burzliwy pas sinych wód Dniepru. Co prawda łyżwowy most był już przez rzekę przerzucony, lecz artyleryi dano piewszeństwo; za nią dopiero miały iść wojska wycofane z bitwy, a zastąpione rezerwami, które zasłaniały przeprawę.

W powietrzu widać było sunące śmiałym lotem dwa polskie samoloty w gonitwie za kilkoma nieprzyjacielskimi, które starały się wydrzeć tajemnicę ruchów wojsk polskiej armii. Inne szybowały nad cofającym się nieprzyjacielem.

Tymczasem nasza baterya pędziła jakiś czas równolegle do linii frontu ku północy, potem skręciła nagle w prawo ku linii bojowej i zajęła nowe stanowisko na niewielkiem wzgórzu.

Władek i Franek znaleźli się znowu razem przy dziale.

Na nacierające polskie szeregi nieprzyjaciel przypuścił gwałtowny ogień z kulomiotów, nasi jednak posuwali się niepowstrzymanym pędem, to padając i warcząc salwami, to pędząc naprzód rozsypani w tyralierkę.

Bolszewicy, parci naszym ogniem z dwóch stron, z zachodu i południa, starają się przeprawić przez rzekę, przerzucają więc drugi most pontonowy. Artylerya ich poczyna już słabnąć i strzela w nieładzie, bez żadnego planu. Polska artylerya ma za zadanie zniszczenie mostów.

— Czterdzieści stopni w górę i dwanaście w lewo od krawędzi lasu celuj - pada rozkaz podany przez lotnika.

Władek niezmordowanie dźwigał kule, a Franek pakował je w paszczę armaty. Obydwaj czuli się w swoim żywiole, zapominając wśród pracy o wzajemnej urazie.

— Wiesz co Władek — ozwał się po dłuższym czasie Franek. — Mam do ciebie prośbę. Czuję, że dziś przyjdzie na mnie kres. Nie wiem dlaczego, ale mam takie przeczucie.

Władek popatrzył na niego ze zdziwieniem.

— Nie dziw się, ale przeczucia nieraz się sprawdzają. Ja jestem prawie pewny, że spotka mnie coś złego.

— Cóż znowu! – przemówił poraz pierwszy jakimś serdeczniejszym głosem Władek. — Złudzenie

— Może złudzenie... Ale na wszelki wypadek mam do ciebie prośbę...

— Schowaj sobie swoje prośby na kiedy indziej — oburknął

go Władek, przypomniawszy sobie nagle dawne urazy, jakie żywił do towarzysza broni.

Franek nie odrzekł już nic, lecz tem gorliwiej podawał naboje, które Władek wysyłał w stronę Dniepru.

Nagle padł rozkaz:

— Zaprzestać ognia!

Popatrzyli zdziwieni chłopcy na komendanta, nie mogąc zrozumieć, dlaczego przerywa im tak miłą pracę. Ten, jakby zrozumiał nieme pytanie, rzekł:

— Mosty nieprzyjacielskie spłynęły już Dnieprem, piechota nasza siedzi już na karkach bolszewickich, kawalerya pędzi na dokończenie krwawego żniwa. Ogień nasz więcej szkodziłby obecnie naszym, niż nieprzyjacielowi.

— Panie komendancie! — rzekli prawie równocześnie Władek i Franek. — Panie komendancie pozwól i nam.

Komendant skinął tylko głową na znak przyzwolenia. Obydwaj chłopcy w tej sekundzie doskoczyli koni i pomknęli cwałem w stronę zmagających się wojsk. Bolszewicy prawie ostatkami sił bronili się do upadłego. Może niejeden byłby chętnie poprosił o pardon i poszedł w niewolę, ale żal im było nagromadzonego mienia, jakie w czasie długich rabunków zdołali zgromadzić. Padali więc jak snopy pod ciosami polskiej piechoty i polskiej kawaleryi, która wzdłuż prawego brzegu Dniepru uganiała za niedobitkami.

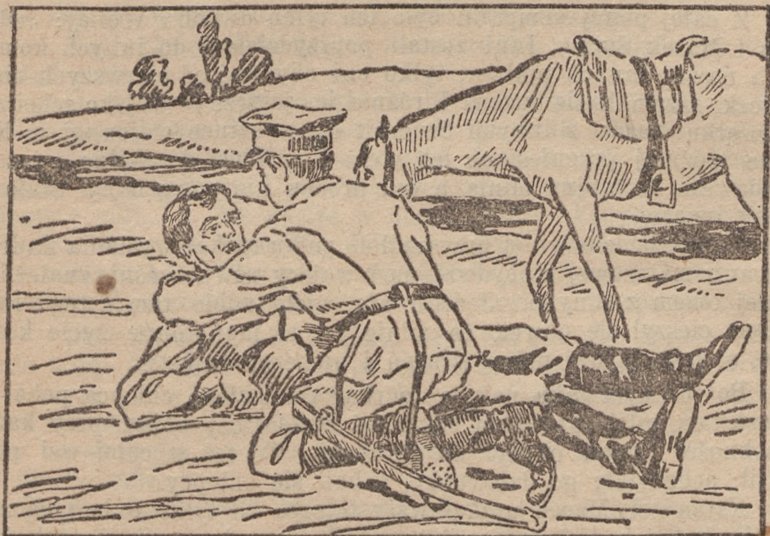
Już prawie na sam koniec pogromu przybiegli nasi chłopcy na pole walki. Jeszcze tu i ówdzie trzymała się garść zrozpaczonych bolszewików, którzy trwożni o swoje mienie, bronili się z prawdziwem bohaterstwem. Na jeden z większych oddziałów wpadli Władek z Frankiem. Władek silnem uderzeniem powalił najbliższego i zwarł się z drugim, Franek tymczasem rozdzielał ciosy na prawo i lewo. Bolszewicy poczęli ustępować, robiąc pośrodku niejako wolne przejście, którem Franek coraz dalej wdzierał się w ich szeregi. Władek pozostał daleko w tyle, gdyż nie mógł zmódz olbrzyma, z którym się zmierzył. Pomogła mu wtem jakaś przyjacielska kula, która, świsnąwszy tuż koło jego ucha, wżarła się w ciało napastującego go bolszewika.

Aliści w tej samej prawie chwili z pośród skłębionych niemal ciał ludzkich nad brzegami Dniepru posłyszał Władek głos nawołujący go po imieniu. Poznał głos Franka. Nie pomnąc na dawne urazy, skierował konia w kierunku dochodzącego go głosu, a po małej chwili zobaczył Franka, zmagającego się z kilku odrazu bolszewikami. Dał ostrogę koniowi, przejechał po łbach jednego i drugiego bolszewika, zastępującego mu drogę i przypadł tam, gdzie Franek już ostatkiem sił oganiał się swoim przeciwnikom. Napadł na nich

z tyłu, więc nie mogli odbić ciosu. Już trzech położył trupem, gdy jeden niespostrzeżenie podskoczył ku Frankowi i utopił mu bagnet pod żebrami. Nieszczęśliwy chłopak zsunął się z konia...

Spostrzegł to Władek i jak szalony rzucił się na zabójcę Frankowego. Jednem uderzeniem szabli rozwalił mu głowę, a potem błyskawicznie zsunął się z konia i przypadł do towarzysza.

— Franuś!... Franuś!... — jękał drżącymi usty, ale Franuś wodził tylko obłędnym wzrokiem, nie mogąc słowa przemówić. Nareszcie wyszeptał:



...a potem błyskawicznie zsunął się z konia i przypadł do towarzysza.

— Powiedz jej, żem zginął z myślą o niej,., powiedz jej, żem kochał ją, jako brat tylko, powiedz jej, żebyście... żeby z tobą była szczęśliwą...

— Franuś... Franuś — jąkał Władek, usiłując podnieść konającego towarzysza — Franuś ty mi nie mów o tem.

Chciał jeszcze coś rzec, gdy w tem około jego uszu dał się słyszeć jakiś syk, coś zaświdrowało mu w głowie, oczy zasnuła ciemność, a on zwalił się na martwe zwłoki Franka. Pogrzebano ich później we wspólnym grobie nad brzegami sinego Dniepru, który im po wieczne czasy miał nucić swym szumem smętne dumki o miłości i o sławie.

Pierwszy chrzest ogniowy.

(Powiastka z wojny polsko-bolszewickiej).

Z całej piątej kompanii było ich tylko dwóch z Wolicy: Jędrek Ozga i Marek Surma. Inni zostali poprzydzielani do innych kompanij, a nawet innych pułków, tylko oni obydwaj od pierwszych chwil wojaczki trzymali się razem. I różnie im jeszcze to wojsko schodziło; z początku razem z innymi ćwiczyli się w sztuce wojennej w Krakowie, później przeniesiono ich wraz z pułkiem do Wilna i już się im zdawało, że wojna minie, a oni prochu nie powąchają. Stało się jednak inaczej.

Najniespodziewaniej przyszedł do pułku rozkaz wysłania na front kompanii marszowej i obydwaj nasi wojacy równocześnie znaleźli się w niej razem z innymi. Jędrek nie wiele sobie tam z tego robił; owszem cieszył się nawet, że minie już to monotonne życie koszarowe, a nastaną dni pełne wrażeń i niebezpieczeństw.

Bo już była taka natura Jędrka. Od małego chłopca pchał się zawsze tam, gdzie gotowała się jakaś zwada, czy bójka, przy każdej sposobności szukał okazyi do zaczepki. To też w całej wsi prym wodził; podziwiały go dziewuchy, a bali się chłopcy.

Natomiast Marek unikał wszystkiego, co tylko było połączone z jakiemkolwiek niebezpieczeństwem. Skoro w karczmie przychodziło do bójki, jak to często bywało po jednym i drugim kieliszku, Marek nasuwał kapelusz na głowę i wynosił się cichaczem do domu. Wprawdzie siły mu nie brak było, ale już taka była jego natura, że nie chciał zwady, a do bitki czuł wstręt. A nietylko to, lecz lęk go brał na samo wspomnienie możliwości rozlewu krwi. Był tak wrażliwy, że kiedy zagrzmiało, ciałem jego wstrząsały dreszcze i najchętniej byłby się schował gdzieś, dokądby ani głos grzmotu nie dochodził. Śmiali się z niego towarzysze, lekceważyły dziewczęta. Nazywano go powszechnie babą.

Z tych powodów nie lubił go też Jędrek i nierad się z nim wdawał. Natomiast Marek podziwiał odwagę i roztropność towarzysza i zazdrościł mu jej. Przy wojsku stosunki tak się ułożyły, że Jędrek poza służbą objął niejako władzę nad Markiem, który wszystko czynił, co ten mu polecił.

Na wiadomość, że iść trzeba na front, na trudy i niebezpieczeństwa, oblicze Jędrka zajaśniało radością, podczas gdy Marek stracił resztę humoru i prawie słowa się nie odzywał. Ale cóż było robić: rozkaz jest rozkazem i każdy wypełnić go musi. To też i Marek ani nie próbował wykręcić się z kompanii marszowej, bo wiedział, że na nicby się mu to było zdało. A gdyby nawet, to przez prostą ambicyę byłby nikomu nie wspominał, że czuje strach pewien przed tym nieznanym frontem i przed jego niebezpieczeństwami.

— No i cóż, Maruś, boisz się? — zagadnął go Jędrek.

Marek nie chciał udawać przed towarzyszem, gdyż wiedział, że ten zna go doskonale, więc odpowiedział szczerze:

— No jakżeby! Przecież to nie zabawka i niewiadomo, co się tam stać może.

— Oczywiście, oczywiście! Ale ja ci powiadam, że dla mnie to szczęście prawdziwe. Skończy się to: W pochód!... Stać!... Padnij!... i tym podobne głupstewka. Na froncie, to tak, jak na polowaniu. Zasadzisz się i czekasz. Ukaże się zwierzyna, przyłożysz karabin do ramienia i paf!... a tam gdzieś w oddali zaryje kopytami twój nieprzyjaciel. Albo na bagnety... Pomyśl tylko. Idzie na ciebie cała chmara bolszewików. Chwycisz w dłoń karabin, jednego pod żebro, drugiego w brzuch, trzeciego przez łeb, a reszta zmyka, gdzie pieprz rośnie...

— Chciałbym tak, ale ty wiesz, że ja nie potrafię. Może i śmierci się nie boję, ja nie wiem, ale za nic w świecie nikogobym nie zabił... Jeszcze tak z daleka kulą, to kto wie. Człowiek mierzy i strzela, ale mu nie wiadomo, czy trafił, czy nie. Jakoś wtedy chyba nie tak ciężko na sumieniu, ale tak bić w żywe oczy, z bliska... nie, nie, ja tego nie potrafię...

Podobne pogadanki powtarzały się często pomiędzy obydwoma chłopcami, które przeważnie kończyły się drwinami, jakimi Jędrek obsypywał swojego kolegę. Ten jednak nic sobie z tego nie robił i nie szukał odwetu na swoim przyjacielu.

Na trzeci dzień, po przydzieleniu do kompanii marszowej, nadszedł rozkaz odjazdu. Marszówka wsiadła do pociągu i po kilku godzinach jazdy znalazła się w Mołodecznie, skąd po dwudniowym postoju ruszyła już pieszo przez Mińsk ku frontowi.

Im bliżej byli chłopcy nasi frontu, tem dokładniej do ich uszu dochodził huk dział, grzmiących gdzieś nad Berezyną. Wreszcie usłyszeli suchy terkot karabinów maszynowych i pojedyncze strzały piechoty.

— To już! — szepnął Marek, sam dobrze nie wiedząc, co chce przez to powiedzieć.

— Chwała Bogu, że już — odparł Jędrek — bo dalibóg, że wszystko mi się to już uprzykrzyło. Włócz się całymi dniami, jak

ten cygan, ani nie wiedzieć za czem i poco. Teraz człowiek troch odetchnie.

— Albo całkiem przestanie oddychać! — zawołał rozgniewan trochę Marek.

Nie było jednak czasu na dłuższą pogawędkę, gdyż rozległ si rozkaz: „Baczność!“ a wiadomo, że wtedy ani mruknąć nie woln

W kompanii zarządzono spoczynek, który nie trwał jedna długo, gdyż już nazajutrz wieczorem przyszedł rozkaz pogotowia (wyruszenia do okopów. Ten i ów pisał listy do rodziny, spowiadał się powszechnie, gdyż nie wiadomo, co jutro przynieść może i cz niejeden z wyprawy już nie wróci. A nie można oznaczyć, kog kulka żywota pozbawić może. Najdłużej ze wszystkich spowiadał si Marek, który naprawdę żegnał się z tym światem i ze wszystkiem co mu kiedykolwiek drogie było. Miał jakieś przeczucie, że to ost tnie dni jego żywota, chciał więc rozstać się z tym światem, jak n prawdziwego chrześcijanina przystało.

Poszedł i Jędrek do spowiedzi, ale nie przykładał do niej wi kszego znaczenia, gdyż, jak powiadał, i na wojnie niema tego zw czaju, aby tak zaraz na wstępie ginąć. Na to, zdaniem jego, będz dość czasu choćby po kilku miesiącach wojowania.

Było to jakoś pod wieczór, gdy do komendanta kompanii prz pędził na koniu oficer służbowy i oddał mu jakiś papier. Komenda przebiegł szybko napisane wyrazy, schował papier do kieszeni i wy dał rozkaz gotowania się do natychmiastowego wymarszu. Zroz mieli chłopcy, że teraz już nieodwołalnie idą do pierwszej lin gdzie oko w oko trzeba będzie zmierzyć się z wrogiem.

Pod Markiem ugięły się kolana, całe ciało poczęło drżeć, ja liść. Spostrzegł to komendant i trochę rozgniewany na tchórzliwe żołnierza, rzekł:

— Ty fujaro jakaś, miałbyś mi dawać zły przykład żołnierzo to raczej zostań w rezerwie. Wolę dziesięciu zuchów, aniżeli s tchórzów.

W pierwszej chwili Marek chciał usłuchać dobrej rady prze żonego, ale popatrzywszy na kolegów i zoczywszy, że ci z pewn politowaniem patrzą na niego, szepnął nieśmiało:

— Panie poruczniku! ja takoj i pójdę i będę się starał strzyma

Porucznik odwrócił się z lekceważeniem, a chłopcy tymczase przygotowywali się do drogi.

Nie trwało to jednak długo, gdyż po kilkunastu minutach pa rozkaz, uszykowały się szeregi w długą tyralierę i ruszono naprz

Niebo skryło się już w ciemnościach, na całym odcinku fron zaległa jakaś złowroga cisza. Tylko gdzieś w znacznej oddali pow

rzały się rzadkie, ale donośne odgłosy strzałów armatnich. Starzy żołnierze, którzy już niejedną bitwę przebyli, wiedzieli, co to mogło znaczyć. Tłumaczyli więc nowicyuszom, że nieprzyjaciel na pewne na najbliższy czas gotuje atak generalny.

— Bodaj skisł! — szepnął Marek, usłyszawszy to.

Nareszcie doszli do miejsca przeznaczenia. Każdy z żołnierzy wsunął się do okopów i w myśl polecenia natychmiast zajął wyznaczone stanowisko. Jedynie Marek tak był tem wszystkiem wzruszony, że nie mógł ustać na nogach. Osunął się więc na ziemię i usiadł na rozmokłej glinie. Szczęściem dla niego było, że miał przy sobie Jędrka, który choć często drwił z niego, ale i litował się często, gdy widział strapienie swego towarzysza. Tak było i teraz.

— Spocznijże sobie niedołęgo — rzekł. — A gdyby przyszła potrzeba, to ja ci już dam znać.

Marek i bez tej rady niepotrafiłby był wówczas nic innego uczynić. Siedział więc najspokojniej na ziemi, podrzemując chwilami, podczas gdy jego towarzysze śledzili bacznie, czy od nieprzyjacielskiej strony nie da się zauważyć jaki podejrzany ruch. Ale nic nie było widać, a wokół trwała dalej niczem niezamącona cisza.

Dopiero około północy gdzieś za Berezyną ryknęła jedna armata i rozniosła huk na wsze strony. Pochwyciły go drzewa lasu i podały pagórkom, a te przerzuciły fale głosu na dalsze i dalsze okolice. Zerwał się Marek na głos strzału, przetarł oczy, przeżegnał się wystraszony i znów usiadł na dawnem miejscu. Nie siedział jednak długo w spokoju, bo po małej chwili ryknęła druga armata, a za nią w ślad trzecia, czwarta i dziesiąta. Rozkołysało się powietrze hukiem, świstem i łomotem. W górze rozpryskiwały się szrapnele, w ziemię łomotały granaty, żłobiąc bruzdy i wyrwy. Jedne padały tuż przed okopami, drugie przenosiły daleko poza nie. Odpowiadały im zwolna pojedynczo polskie działa. Bój się zaczął, ale piechota była bezczynna. Z żołnierzy żaden nie strzelał, gdyż nie było do kogo, a na darmo zabroniono psucia nabojów.

Pojedynek na armaty trwał aż do świtu, ale żołnierze, znajdujący się w ziemiankach, nie wiedzieli zgoła, po czyjej stronie przewaga. Czekali tylko cierpliwie, co im najbliższa przyszłość przyniesie.

Oczekiwania ich miały się jednak wnet skończyć, bo jakby na dany znak artylerya nieprzyjacielska ucichła w jednej chwili, a z poza niedalekich nasypów poczęły się wyłaniać ludzkie postacie, pędząc ku naszym chłopcom.

Padł rozkaz, chrzęsnęły karabiny i grad kul posypał się na przeciwnika. Biegnący przypadli do ziemi. Po chwili podnieśli się znowu, ale nie wszyscy, gdyż wielu z nich miało już nie powstać więcej. I znowu biegli kilka kroków naprzód i znowu sypał się na

nich grad kul polskich, zbierając obfite żniwo z pośród atakującego przeciwnika. Z okopów polskich sypały się gęste pociski i już się zdawało, że przeciwnik nie zdzierży, że będzie musiał się cofnąć z powrotem. Przewidywania nie sprawdziły się jednak, bo bolszewicy podnieśli się ponownie i widocznem było, że tym razem nie spoczną już, póki nie dopadną polskich okopów. Tak sądzili wszyscy i gotowali się na godne ich przyjęcie, tego samego zdania był Jędrek, który z niecierpliwością czekał tej chwili, kiedy zmierzy się z nimi twarzą w twarz. Jedynie Marek nie brał w całej tej walce udziału. Każdy był zajęty sam sobą, więc też nikt na niego nie zwracał uwagi. Wskutek tego przytulił się do ściany okopów i drżąc cały, stał bezmyślnie. Natomiast Jędrek nie mogąc się doczekać na nieprzyjaciół, jednym skokiem znalazł się nad ziemianką i popędził naprzeciw biegnących ku niemu nieprzyjaciół. Za jego przykładem wyskoczyli inni i nim się spostrzegli bolszewicy, wpadli na ich karki i poczęli kłuć bagnetami, a walić kolbami. Zrobił się krzyk nie do opisania, który dopiero potrafił wyprowadzić z apatyi bojaźliwego Marka.



Wskutek tego przytulił się do ściany okopów i drżąc cały, stał bezmyślnie.

Marek, zobaczywszy, co się dzieje, pomimo ogromnego strachu ciekaw był niezmiernie, jak się to wszystko skończy. Stanął więc

przy otworze ziemianki i śledził rozgrywającą się bitwę. Widział więc, jak Stach Majkut z trzeciego plutonu wsadził bagnet bolszewikowi pod pępek, a drugiemu kolbą łeb rozwalił; widział, jak jakiś żółty Chińczyk wytrącił z rąk karabin Wawrzkowi Ogonkowi i jak ten złapał swojego przeciwnika za czuprynę i kark mu skręcił; widział wreszcie, jak kaprala z drugiego plutonu czterech równocześnie bolszewików na wylot bagnetami przedźgało. Ale to wszystko jakoś na nim większego wrażenia nie zrobiło. Zresztą co mu tam, kiedy on był narazie bezpieczny i nic mu chwilowo nie groziło.

Począł wreszcie szukać Jędrka, który przecież był mu najbliższym ze wszystkich towarzyszy. Szukał dość długą chwilę i nigdzie nie mógł zobaczyć. Aż nareszcie spostrzegł go uganiającego się z dwoma jakimiś olbrzymimi drabami. W pierwszej chwili przyszło mu na myśl: „Dobrze ci tak, skoroś się tak rwał do wojaczki!“ Ale później żal mu się zrobiło kolegi, gdy poznał, że ten nie zdzierży dwom przeciwnikom. Lecz Jędrek oganiał się i wywijał jak lis. Już kilka razy to jeden to drugi z przeciwników zamierzył się na Jędrka, ale karabin trafił w pustkę, a równocześnie Jędrek podbiegał ku nim, chcąc którego z nich dosięgnąć. Jakoż po dłuższych usiłowaniach udało mu się to w końcu i jeden z przeciwników Jędrkowych wypuścił karabin z ręki i rozciągnął się na ziemi. Ale fakt ten miał wyjść na niekorzyść Jędrka, gdyż bolszewicy, zobaczywszy porażkę swych kolegów, rzucili się ku Jędrkowi. Ten, widząc co się święci, począł się wycofywać ku ziemiankom, mając nadzieję, że zagłębieniami jakoś się mu uda zniknąć im z oczu. Lecz napastnicy nie chcieli do tego dopuścić; rzucili się za nim i już koło jego głowy świsnęła kolba karabinu.

Widział to wszystko Marek i poznał, że kres dla Jędrka zbliża się szybkim krokiem. Tak serdecznie żal się mu zrobiło towarzysza swoich lat dziecinnych, że odrazu gdzieś odleciał strach od niego, a Marek jednym skokiem znalazł się na powierzchni ziemianki. Wyskoczywszy z ukrycia, ujął karabin za lufę i z podniesioną ku górze kolbą popędził w stronę, gdzie opędzał się Jędrek. Nim się napastnicy Jędrkowi spostrzegli, już jeden z nich leżał rozciągnięty na ziemi, nim pomyśleli o obronie, już drugi wił się w boleściach.

Spostrzegł pomoc Jędrek i omal nie oniemiał ze zdziwienia. Ale nie czas było na zastanawianie się.

— Wal porządnie, gamoniu! — krzyknął tylko i sam uwijał się, jak osa.

A tymczasem i inni nie próżnowali. Jeżeli brakło miejsca do użycia karabinu, walono pięściami, jeżeli pięść dostała się w uściski przeciwnika, kopnięciem w brzuch wyswobadzało się ją. Spostrzegli bolszewicy, że z żołnierzem polskim walka nie łatwa, więc najpierw

jeden, potem drugi i trzeci, a wreszcie każdy, który tylko mógł, poczęli uchodzić ku swym okopom.

Nasi, jako że byli pomęczeni srodze, nie następowali zbytnio, ale ten i ów ujął karabin i puścił za nimi jedną i drugą kulę, póki nie znikli poza nasypami ziemnymi.

Wtedy dopiero Jędrek, cały zbroczony krwią, rzucił się ku Markowi. Rżnął karabinem o ziemię, a roztwierając ramiona:

— Maruś, toś dopiero bohater! — zawołał. — Gdyby nie ty i mnieby nie stało. A ja cię zawsze za tchórza miałem. Daruj kolego!

I uściskali się obydwaj chłopcy serdecznie.

Taki był pierwszy ich chrzest ogniowy.

Polski piechur w niebie.

(Legenda).

Jakoś już tak się zdarzyło, że polski piechur, nawysyławszy setki bolszewików na łono Abrahama, sam w końcu musiał się pożegnać z tym światem i choć o jednej nodze udać się na tamten świat. Wprawdzie nie poszedł cały odrazu, ale wysyłał swe grzeszne członki, jak powiadał, mając jeszcze nieco tchu w sobie, po kawałku. Najpierw więc posłał kawał prawej ręki, nieco więcej jak poza łokieć, aby się przekonała, jak to tam jest na tamtym świecie, czy menaż jest dobra i czy jest czem gardło zwilżyć. Ale gdy kawał ręki nie wracał i nie chciał mu zdać żadnej relacyi, posłał resztę prawicy. Gdy i to jednak nie skutkowało, wyprawił lewą nogę. Wszystko jednak na darmo, bo ani noga, ani ręka nie powracały, aby mu oznajmić, jak to tam jest w królestwie niebieskiem. Wybrał się więc wreszcie sam z resztką ciała pozostałego, tembardziej, że poczynał już krwią pluć, a łapiduchy przygotowywać go jęli na długą podróż. Ale jeszcze i na ostatku wypłatał im figla, gdyż niespostrzeżony przez nikogo opuścił ten padoł płaczu i walk z bolszewikami.

Swięty Piotr co tylko wstał i zaspany chodził koło bramy niebieskiej, więc piechur niespostrzeżenie przesunął się koło niego i stanął obok Majestatu Bożego.

— A ty tu skąd? — zapytał Pan Jezus.

— Z nad Berezyny, z nad Berezyny, Najświętszy Panie — jąkał biedny piechur, onieśmielony Majestatem Boga.

Tymczasem Pan Jezus zwrócił się do jednego z aniołów z rozkazem, aby przywołał świętego Piotra, a gdy ten nadszedł, zapytał surowym głosem:

— Jak mogłeś wpuścić tego obwiesia za niebieskie podwoje?

Czy ty wiesz, co to za ziółko? Czy ty wiesz, ile on zbereześstw na ziemi popełnił.

Święty Piotr stał zmieszany, nie mówiąc nic, gdyż rzeczywiście nie wiedział, jakim się to sposobem stało, że ten żołnierz przemknął mu się przez bramę niebieską. Tymczasem piechur jął mówić:



Tymczasem Pan Jezus zwrócił się do jednego z aniołów z rozkazem...

— Panie, daruj mu, albowiem on tu nic nie winien. Wszak wiesz Panie, że dla polskiego żołnierza niema nic niemożliwego. Wiedziałem, że mnieby święty staruszek nie puścił przed Twe najświętsze oblicze, więc też nie trudziłem go swymi prośbami. Skoro przecierał swe zaspane oczy, to ja kuśtyk, kuśtyk poza jego plecami i już byłem tu, aby Cię, Panie, błagać o zmiłowanie. Ja wiem, żem tam niejedno przeskrobał, ale cóżby to był za żołnierz, gdyby żył, jak zakonnik.

— Oj wieleś ty, wiele przeskrobał — rzekł smutno Pan Jezus — i dlatego właśnie nie masz dla ciebie zmiłowania. Musisz biedaku odcierpieć, na coś zasłużył.

— Już ja to widzę, że i tu w niebie tak samo, jak na ziemi, mężczyźnie trudno się z mężczyzną dogadać, dlatego też... — i tu

zwrócił się do Najświętszej Panienki, która się mu z ciekawością przyglądała.

— Ratuj mnie Ty, Najświętsza Pani! Wszak Tyś Królowa Polski, a ja za Twoją dziedzinę łba nadstawiałem. A że mi łba nie odcięli, jeno ręki i nogi pozbawili, to już nie moja wina. Nie chowałem ci ja go nigdy, ale już się tak składało, że bolszewiki w głowę trafić nie mogli. Ratujże mnie Ty, Królowo moja.

Oblicze Najświętszej Panienki oblewał smutek niewymowny, ale na słowa biednego piechura wystąpiło na nie bezmierne uczucie litości.

— Radabym ja ci pomódz, rada — ale sam wiesz najlepiej, żeś był obwieś okrutny, więc jakżeż ja mam za tobą prosić?

— A widzisz! — ozwał się święty Antoni Pustelnik, który ogromnie wszelkich grzeszników nie lubił.

Piechur odczuł, że wszystkich w niebie ma przeciwko sobie i nie dziwił się temu bardzo, gdyż życie jego było takie, po którem nie mógł się spodziewać dla siebie litości. I każdy inny na jego miejscu byłby ustąpił bez dalszej próby przebłagania sprawiedliwego majestatu, ale piechur polski nie przyzwyczajony był bez walki ustępować z placu. Więc też i teraz, choć widział, że sprawa jego źle stoi, postanowił wysunąć najważniejsze argumenta, przemawiające na jego korzyść.

— Wszak powiedziałaś Najświętsza Panienko, — zaczął więc —, że jeżeli się kto pod Twą obronę ucieknie, to zginąć mu nie pozwolisz. A ja właśnie Twej łaski błagam i wiem, że mi nie dasz krzywdy zrobić.

— To prawda, to prawda — przytaknęła Panienka Marya, a żołnierz nabrał nieco otuchy. Jakoż nie zawiódł się, gdyż Najświętsza Panna zwróciła się do Pana Jezusa i zaczęła go błagać o zmiłowanie nad piechurem.

— Daruj mu, daruj, Synaczku mój! Broił ci on, prawda, co nie miara, ale nie zapominał przy tem nigdy o mnie. Nie było dnia, aby nie zmówił przynajmniej jednego Zdrowaś Marya!... Zawinił ci on wiele, ale przecież są jeszcze gorsi od niego, którzy całe życie broją, a Ty, Synu Mój, na łożu śmierci im przebaczasz. Wszak ci i on przed skonaniem grzechów ciężkich się pozbył, a Ty mu te drobiazgi, jakie ze sobą przyniósł, daruj.

Ale Pan Jezus, nie chcąc żadnego zła puścić bezkarnie, nie ustępował. Wtedy Najświętsza Panienka, jako że Jej żal było okrutnie rycerzyka, który krew przelewał w obronie ziemi, zwącej ją swą królową, rzekła:

— Synu mój, dopokąd prosiłam ja Ciebie, jako służebnica Twoja, teraz zasię, jako matka, proszę i polecam: Daruj temu rycerzykowi.

A na głos Ucieczki grzesznych, chóry anielskie ozwały się jednogłośnie:

— Daruj mu, Panie, daruj!...

Skinieniem dłoni uciszył Pan Jezus proszących aniołów, a podniósłszy się na tronie, taki wydał wyrok:

— Zważywszy, iż syn pod żadnym pozorem nie może się sprzeciwić rozkazowi swej rodzicielki i ja temu rycerzykowi przebaczam i jeszcze raz powtarzam; że kto się ucieknie pod obronę Matki mej, nie zginie. Odejdź synu w spokoju.

Usłyszawszy to piechur polski, choć na jednej nodze, pognał czemprędzej z aniołami w przestworza niebieskie.

Okup krwi.

(Powiastka z ubiegłej wojny).

Było to podczas ubiegłej wojny. Dnia już nie pomnę, a zresztą nie dni ani godziny zajmują tu pierwsze miejsce, ale czyny, jakich dokonali nieznani nieraz lub zapomniani już bohaterowie. Wystarczy więc powiedzieć, że wypadek, który zamierzam opowiedzieć, miał miejsce pod Ypern, w Belgii, w chwili, gdy Prusacy z największą zaciętością nastawali na przerwanie frontu belgijsko-francuskiego, rozciągniętego na wschód od tego miasta cienką linią.

Od kilku dni ziemia drżała od huraganowego ognia armat niemieckich, pociski krajały żyzne pola belgijskie, ścinały lasy, przemieniały kraj żyzny w jedną pustkę i rumowisko. Dowódcy francuzcy spodziewali się, że lada chwila nieprzyjaciel ruszy do generalnego ataku, a na myśl tę lica ich zasępiały się troską i obawą, gdyż żołnierz już od dłuższego czasu, zmęczony i wynędzniały, stał na zajmowanych stanowiskach.

Troskę reszty oficerów podzielał również stary jenerał Ribot, który jechał w chwili rozpoczęcia naszego opowiadania w towarzystwie swego syna skrajem wioski, będącej pod największym ogniem nieprzyjaciela. Niebezpieczeństwo było dla jeźdźców nadzwyczaj groźne, lecz obydwaj zdawali się go nie spostrzegać, gdyż rozmawiali spokojnie, jakby się znajdowali na przechadzce.

— Jeżeli przetrwamy jeszcze dzień jeden, nic nam wróg nie zrobi — mówił ojciec. — Dostałem właśnie przed chwilą wiadomość, że posiłki wysłane i jutro już nadejdą, ale właśnie ten dzień jeden...

— Przetrwamy! — odpowiedział syn stanowczo. — Przetrwamy, choćbyśmy wszyscy poginąć mieli.

— Wiem, — rzekł smutno ojciec — że ty i reszta oficerów nie ustąpicie, ale czy jesteś pewny żołnierza, który znosi wprost nadludzkie wysiłki.

Syn milczał, gdyż rzeczywiście nie mógł zaręczyć, czy żołnierz pod naporem świeżych sił nieprzyjacielskich nie ustąpi wreszcie.

— Ha, trudno! — szepnął ojciec. — Cokolwiek żołnierz uczyni, nam wytrwać wypada, nam cofać się nie wolno! Mam polecenie wytrwać za wszelką cenę i wytrwam. Myślę, że i ty to samo uczynisz dlatego wierzę, że dziś widzimy się już po raz ostatni. Żegnaj mi więc i spełnij swój obowiązek.

Ojciec z synem podali sobie dłonie i każdy z nich zawrócił w swoją stronę.

Młodszy Ribot, który pomimo młodego wieku był już pułkownikiem, zawrócił w stronę swojego pułku, stojącego w owej chwili w rezerwie, jenerał natomiast pojechał dalej wzdłuż frontu, aby wszystko przygotować na spodziewany atak.

Pułkownik, przybywszy do swych żołnierzy, zasępił się jeszcze bardziej. Oto grupkami lub pojedynczo leżeli żołnierze, podobniejsi raczej do nędzarzy, aniżeli do regularnego wojska. Mundury ich postrzępione, powalane błotem, podobniejsze były do strojów żebraka, aniżeli do ubrania bohaterskiej armii. Lica wychudłe, oczy błędne mówiły, że ci ludzie uczynili więcej, aniżeli byli do tego obowiązani. Pułkownik czuł, że tym ludziom należy się teraz dłuższy odpoczynek, a on tymczasem idzie im zapowiedzieć, że może jutro, a może jeszcze dziś przyjdzie im znowu ruszyć na wroga. Wiadomość ta nie mogła mu przejść przez usta. Musiał się jednak nią podzielić.

Ten i ów, zamiast odpowiedzi, spojrzał na swojego komendanta, jakby mu chciał powiedzieć: „Czy dziś, czy jutro, wszystko mi jedno! I tak wiem, że żyw nie wyjdę z tego piekła!“

I pułkownik był tego samego zdania, a mimo to żal mu było tych ludzi, których miał wieść nazajutrz na pewne stracenie.

Ale powiódł.

Niemcy, zaledwie tylko świtać zaczynało, przypuścili generalny atak do okopów francuskich. Pierwsze szeregi, znajdujące się w rowach strzeleckich, padły pod naporem świeżych sił nieprzyjacielskich. Pułkownik Ribot skrzyknął swój pułk i rozkazał pochód ku następującemu nieprzyjacielowi. Ale żołnierze, postąpiwszy zaledwie kilka kroków, iść dalej nie mogli. Pułkownik spostrzegł, że nie pospieszy z sukursem pierwszym szeregom; postanowił więc zatrzymać ich choć na chwilę na swoich trupach.

— Okopać się! — krzyknął.

Żołnierze próbowali robić zasłony z miękkiej ziemi, ale łopatki wypadały im z rąk omdlałych. Zaledwo niektóry zdołał usypać przed sobą niewielki kopczyk ziemi, inni pokładli się na ziemi bez żadnej zasłony i czekali na przybycie nieprzyjaciela.

Nie czekali długo. Po pewnym czasie z poza pobliskich pagór-

ków poczęły się wyłaniać najpierw pojedyncze pikelhauby, a wnet przybywało ich coraz więcej. Francuzi podnieśli karabiny do oczu i sypnęli ku zbliżającym się salwą ołowiu. Ten i ów z następujących zwalił się na ziemię, ale inni z okrzykiem: hurra! byli coraz bliżej,

Pułkownik Ribot widział, że idzie pewna śmierć dla niego i jego podwładnych. Wiedział, że jedynie poddanie się do niewoli może im uratować życie. Lecz do tego nie chciał dopuścić, gdyż ojciec wydał mu polecenie, by za wszelką cenę powstrzymał wrogów jak najdłużej. A jakże ich powstrzymać, kiedy oni nietylko zbliżali się do jego



...na spienionym koniu ukazał się stary Ribot, jenerał..

pułku z przodu, ale zachodzili mu z lewej i z prawej strony. Trzeba było zginąć, nie było innego wyboru. A jeżeli już mu tak było pisane, to niechże przynajmniej śmierć nie czeka na niego. Wyjdzie naprzeciw niej, ale na drogę poprosi kilku towarzyszy ze sobą.

Ribot pochwycił pierwszy lepszy karabin ze ziemi.

— Kto jeszcze choć krztę tchu ma w sobie, za mną! — krzyknął i poskoczył na następującego nieprzyjaciela.

Lecz wtedy, jakby się cud stał jaki. Nawpół martwi żołnierze zerwali się w jednej chwili z ziemi i ostatnim wysiłkiem pognali za

swym wodzem. Starły się dwa nieprzyjacielskie wojska. Francuzi bili się, jak lwy, a jeśli który padł, przeszyty kulą wroga, to jeżeli tylko odrazu nie uleciała zeń dusza, i jeżeli mógł władnąć choćby jedną ręką, to z ziemi kłuł następującego przeciwnika. Byli i tacy, którzy w braku broni zębami chwytali za łydki walczących Prusaków. Ale, niestety, zamało ich było, aby mogli byli pokonać przewagę przeciwnika. To też po niedługiej walce z rzadka tylko widać było mundur francuskiego żołnierza z pośród przytłaczającej fali niemieckiej. Już, już cała falanga wroga miała runąć na Ypern, a potem dalej i dalej ku sinemu morzu i na tyły walczących w sąsiednich odcinkach.

Ale nim się to stało, na spienionym koniu ukazał się stary Ribot, jenerał, a za nim kawalerya francuska, przybywająca z sukursem. Jenerał z oddali widział, jak syn jego, otoczony ze wszystkich stron wrogami, nie prosi o pardon, ale ostatkiem sił usiłuje powstrzymać go. Stary Ribot widział, jak wreszcie jeden z Niemców wystrzałem z rewolweru pozbawił jego jedynaka żywota. Stary Ribot widział to i postanowił pomścić śmierć ukochanego syna, a potem sam zginąć. Nie oglądając się nawet poza siebie, jak huragan pędził w stronę nieprzyjacielskich szeregów.

Dopadł. Szabla jego wykonała młynka, a na ziemię runęło jedno i drugie ciało. Za jenerałem szli żołnierze, którzy widzieli, co się działo przed nimi. Rozpoczęła się rzeź okrutna. Niemcy, którzy stali dalej od środowiska walki, poczęli tył poddawać, inni atoli nawet czasu nie mieli na ucieczkę. Walka nie trwała dłużej nad pół godziny, a już, prócz poległych, żywego Niemca nie było na pobojowisku. Podczas gdy żołnierze popędzili w pościg za uchodzącym nieprzyjacielem, jenerał odszukał zwłoki jedynego syna. Zoczywszy je, rzucił się na martwe ciało pułkownika i zaszlochał, jak małe dziecko. Garść żołnierzy, jaka pozostała przy jenerale, pozdejmowała czapki i szeptała „Wieczne odpoczywanie“, a gdy jenerał czas dłuższy nie podnosił się z ziemi, zbliżył się ku niemu jego adjutant i chciał mu zwrócić uwagę, że czas odejść do dalszej pracy. Lecz usiłowania adjutanta były bezskuteczne. Jenerał leżał martwy na zwłokach syna: serce pękło mu z wielkiej żałości.

Stare przypowieści.

Czapką, chlebem i solą, ludzie sobie ludzi niewolą.

*

Ciężka boleść, gdy się chce jeść: jeszcze cięższa kiedy jedzą a nie dadzą.

Wycieczka na Śląsk Cieszyński.

Tak niedawno przeżyliśmy dni trwogi i dni nadziei, tak niedawno byliśmy świadkami walk o ziemie polskie i o dusze polskie na kresach naszych. Nie czas jeszcze przypominać to wszystko, cośmy przeżyli w czasie walk plebiscytowych na zachodzie tak z Niemcami, jak i z Czechami. Tkwi nam to bowiem wszystko dobrze w pamięci i na długie lata pozostanie pamiętnem. Każda wiadomość, dochodząca z ziem plebiscytowych, gdy była pomyślna, napawała nas radością, gdy niepomyślna, przejmowała żalem i obawą. Kochaliśmy te ziemie polskie i tych braci naszych, którym walczyć przyszło o przynależność do wspólnej matki-ojczyzny, choć ani tych krain, ani ludzi, zamieszkujących je, nie znaliśmy tak, jak znać powinniśmy. A nie znaliśmy i dziś jeszcze dobrze nie znamy ziemi najbliższej nam i ludu sąsiadującego z nami, tak, jak znać powinniśmy, to jest Ślązaków i Śląska Cieszyńskiego.

A przecież Śląsk Cieszyński to kraina, godna poznania, a bracia nasi Ślązacy, to Polacy nie tylko z nazwy, ale Polacy z duszy i serca, czego tylokrotne dali dowody w obronie swej ziemi i mowy.

Cały Śląsk Cieszyński od Bielska aż po kraniec Zagłębia i po Mosty nie różni się prawie od krajobrazu, spotykanego w zachodniej Małopolsce. Te same wadowickie i andrychowskie pagórki na północy, te same żywieckie wzgórza w środkowej części kraju, ten sam Beskid na południu, tutaj swój kres mający. Ten sam gatunek ziemi, te same krajobrazy.

Wisła, Olza i Ostrawica spływają z gór i biegną niemal równolegle, tocząc się bystro po prześlicznych dolinach. Ziemia wymarzona dla stacyj klimatycznych, klimat podgórski, jakby przez Boga umyślnie stworzony na zakładanie uzdrowisk dla chorych.

Na wzgórzach i po dolinach osiedla. Mało bardzo skupionych i zwięzłych wsi. W budownictwie wiejskim wszystkie typy chaty, od prastarej drewnianej do obszernego domu z dużymi oknami. W górach przeważa budowa drewniana, wszędzie znać dostatek. Dworów niewiele, bo przeważna część większej własności należy do jednego właściciela, byłego wodza armii austryacko-węgierskiej, arcyksięcia Fryderyka.

Ale rolnictwo stanowi tylko cząstkę dobrobytu ziemi Piastowskiej. Głównym skarbem Śląska są potężne kopalnie węgla kamiennego w Zagłębiu, huty żelazne w Trzyńcu, wapienniki i cementarnie po drodze z Bielska do Cieszyna, sieć tartaków, przerabiających drzewo beskidowe, fabryki chemiczne, wreszcie słynny przemysł tkacki w Bielsku.

Śląsk zamieszkuje lud uczciwy i godny, o wysokiej, swoistej kulturze. Od święta ubrany w swój strój charakterystyczny. Cechuje go powaga i pewność siebie, przez co wygląda raczej na jakiegoś arystokratę polskiego. Ale serce u niego, jak na dłoni. Pracowity i zapobiegliwy, nie lubi tracić grosza na marnostki, ale w potrzebie chętnie spieszy bliźniemu z pomocą. Oświata wśród ludu stoi bardzo wysoko; niema prawie chaty na Śląsku, gdzieby nie było jednej lub więcej gazet. To też, choć przez tyle wieków oderwany od pnia macierzystego, nie zatracił poczucia swej narodowości, dochował wierności Polsce. Język jego niejednokrotnie został zeszpecony naleciałościami germańskimi, ale równocześnie posiada moc słów i zwrotów przepięknych, odwiecznie polskich.

Od Cieszyna, który leży niemal w matematycznym środku księstwa, ku północy krajobraz zmienia się niemal zupełnie. Znikają z horyzontu wioski i łany uprawne, przed oczyma wyrasta las kominów, kolejek powietrznych, czerwonych murów, okopconych gmachów, zwałów węgla, i rumowisk. Drogi czarne od miału węglowego, niebo zasłonięte dymami, do ucha dochodzi znamienny huk maszyn i zmęczone sapanie kół obrotowych. Kilka tysięcy robotników pracuje w podziemiach dzień i noc. Trud i zmęczenie wypisane na twarzach spotykanych górników. Poza polskim językiem innego tu prawie nie słychać. Gdzieś tam zrzadka odezwie się jakiś czeski „pepiczek", lub zaszwargoce Niemiec przybłęda, ale ogół, to Polacy z krwi i kości, potomkowie tych, którzy od wieków z Piastami dzierżyli te ziemie.

Karwina! Stolica Zagłębia węglowego, którą statystyki austryackie podawały za osiedle zmieszanych narodów. A tymczasem ta sama Karwina była przykładem dla innych w ubiegłym roku, jak kochać Polskę należy. O upór górnika polskiego rozbijały się wszystkie szykany czeskie od stycznia ubiegłego roku. Ci spracowani i strudzeni pracownicy podziemni z niesłabnącym uporem powtarzali zawsze: „Jesteśmy Polakami i do Polski chcemy!"

Z Karwiny droga prowadzi do Dąbrowy, która leży na górze. Cała okolica wygląda, jakby sztuczna, jakby ją dopiero jakaś siła wyższa stwarzała z czarnych nasypów, nieporosłych jeszcze niczem.

Jadącemu tą drogą zdaje się, że jakiś przepotężny przedsiębiorca rozpoczął tu dopiero budowę nowej krainy. W powietrzu rozwieszona gęsta sieć kolejek, po których wędrują na linach wagoniki.

Niestety, tu już Czesi, popierani przez lat wiele przez Austryę, zdołali się wcisnąć w większej liczbie. Ale jeszcze liczebnością nie przewyższyli Polaków, choć im prawie dorównują.

Jak wiadomo, pod względem politycznym Śląsk Cieszyński dzieli się na cztery powiaty, z których dwa zamieszkałe są w swej większości olbrzymiej przez Polaków z małą tylko domieszką Niemców i żydów.

Są to powiaty bielski i cieszyński. Trzeci powiat, leżący w południowo zachodniej części kraju, frydecki, jest prawie wyłącznie zamieszkały przez Czechów, natomiast czwarty, frysztacki, tu gdzie Karwina, Dąbrowa, Bogumin itd. stanowi mieszaninę narodowości i języków. W powiecie tym są gminy, zamieszkałe przez Polaków z mniejszością niemiecką lub czeską, są też przeważnie czeskie lub niemieckie.

Skądże się tu wzięła taka mieszanina? Otóż za czasów austryackich rząd forytował na każdym kroku Niemców, sprzyjał Czechom, a gnębił Polaków. Stąd posiadaczami kopalń, dzierżycielami wszelkiej władzy byli Niemcy, zaś inżynierowie, urzędnicy, sztygarzy, dozorcy, drobni funkcyonaryusze rekrutowali się z Czech i zaśmiecali ziemię polską swą obecnością. Dół społeczeństwa, ci najbiedniejsi pracownicy, to byli Polacy. Ale niestety, Polska, rozdarta na trzy części, nie miała dość sił, aby zająć się swymi braćmi na Śląsku, gdyż na swoich rubieżach miała dość pracy, aby bronić się przed przemocą wroga. Lud śląski został pozostawiony własnemu losowi. Przygnieciony falą zakusów czeskich i niemieckich łamał się i zatracał swe poczucie narodowe. Wiele rodzin, tak niedawno jeszcze polskich, wyparło się swej mowy i przynależności do Polski i przemieniło się w Niemców i Czechów, najzażartszych wrogów polskości. Do tej przemiany dopomagały w wielkiej mierze szkoły czeskie i niemieckie, popierane na każdym kroku przez rząd austryacki.

Na pociechę jednak stwierdzić należy, że mimo wszystko większość mieszkańców ziemi frysztackiej jest polską i świadomie polską. Ba, co jeszcze ważniejsza, to to, że ci, którzy jeszcze przed wojną uważali się za Czechów, pod wpływem zdarzeń lat ostatnich powracali do polskości i kajali się w duchu za swe zaprzaństwo. Takie zdarzenia, jak pokój brzeski, jak przejście brygady Hallera, bitwa pod Kaniowem, proces Hallerczyków w Marmarosz-Szigeth, a przedtem postoje Piłsudczyków na Śląsku, wszystko to uderzyło w serca śląskich górników i u tych, którzy wyparli się byli swej narodowości, budziło uświadomienie, budziło przypomnienie, czem byli ich ojcowie i czem oni być powinni. Sczechizowani i zniemczeni Polacy nawracali się i utwierdzali w swem poczuciu narodowem.

A jeżeli Ślązacy przez lat setki wytrwali w polskości, pomimo że Polska, jako państwo niepodległe od przeszło stu lat nie istniała, to dziś można mieć tę błogą nadzieję, że nawet ci Polacy, którzy po wielkiej wojnie znaleźli się poza granicami swej ojczyzny, nie wyprą się swej narodowości, ale owszem zachowają ją, jako skarb najdroższy i budzić ją będą wśród tych, którzy o niej chwilowo zapomnieli, aby byli gotowi na chwilę, która jeszcze przyjść może, gotującą im połączenie się z swą macierzą.

Jak to bywało w Zielone Świątki?

Inaczej to bywało, inaczej! Głód i drożyzna nie prześladowały ludzi, to też prędzej chciało się im myśleć o uroczystościach narodowych, związanych z dawnymi zwyczajami. Dziś czasy się zmieniły, Jedni, napchawszy swe trzosy groszem, nieraz w niebardzo szlachetny sposób zdobytym, zadzierają nosa, nie chcąc się wdawać z pospólstwem, inni myślą o kawałku chleba codziennego, a tak pierwsi jak i drudzy zapominają o pięknych zwyczajach, jakie do niedawna w naszej ojczyźnie obchodzono. Na pamiątkę więc dla młodych pokoleń należy napisać, jak to nasi praojcowie święcili niektóre uroczystości.

Po Bożem Narodzeniu i Wielkiejnocy najuroczyściej obchodzono u nas Zesłanie Ducha Świętego, czyli Zielone Świątki. Wiele bowiem starożytnych lechickich zwyczajów, składających się niegdyś na uroczystości wiosenne, rozpoczynające każde „Nowe lato", przyłączył naród polski do święta kościelnego, obchodzonego w tej samej porze roku. Wszystkie podwórza, domy, chaty i kościoły majono drzewkami brzozy, jesionu, lipy lub świerka, ustawianymi i zatykanymi przy ołtarzach, gankach, wrotach, sieniach i wejściach. Podłogi i ziemię wysypywano zielonym tatarakiem a nawet kwiatami.

Zwyczaj „majenia" na Zielone Świątki w wielu okolicach został zupełnie zaniechany; w niektórych utrzymuje się jeszcze po dziś dzień.

Ciekawy obchód „z królewną" urządzano dawniej na Podlasiu. Dziewczęta z całej wioski wybierały podczas Zielonych Świątek jedną z młodszych na królewnę, oraz 6 do 8 starszych na jej marszałków. Ubieranie królewny rozpoczynano śpiewem.

Ubierano ją w jasną, przeważnie różową sukienkę, przepasywano niebieską lub czerwoną wstęgą, dokoła głowy zatykano „czuby" z ruty, barwinku i lilii, tworzące rodzaj korony, całą zaś głowę przykrywano chustką tak, żeby oblicza królowej nikt nie widział. Dziewczęta, które były marszałkami, przywdziewały białe spodnice, ciemne kapoty i czapki męzkie, przepasywały się czerwonymi pasami, a czapki swoje ubierały we wstążki, rutę i barwinek. Orszak taki, złożony z samych dziewcząt, otaczając królewnę z zasłoniętą twarzą, obchodził granicę pól swojej wioski. Podczas tego obchodu śpiewano: „Gdzie królewna chodzi".

Zwykle w czasie takiego obchodu na drogę wybiegała gromada chłopaków, aby zobaczyć królewnę. Wtedy marszałkowie śpiewali żartobliwie: „Ja myślałam, żeś ty panic, kazałabym kura nabić, a ja widzę, żeś ty rura: pożal Boże mego kura"!

Starsi chłopcy zbierali się w dniu tym w gromadę, a wziąwszy flaszkę miodu i skrzypce, wychodzili na powitanie królewny z mu-

zyką. Spotykali się gdzieś na smugu, gdzie następywały tańce i zabawa, która kończyła się wieczorem we dworze, lub u któregoś z zamożniejszych gospodarzy.

Na Kujawach, w okolicy jeziora Gopła i leżącej nad nim Kruszwicy panował stary zwyczaj, że który z pasterzy w pierwszym dniu Zielonych Świątek przypędził na miejsce bydło najwcześniej, ten zostawał królem pasterzy. Jeżeli to zaś była dziewczyna, robiono ją królową. Kto przypędził bydło ostatni, ten musiał przez trzy dni sam pilnować wszystkiego bydła, podczas gdy inni oddawali się zabawom. Ponieważ wszyscy starali się, aby jak najwcześniej znaleźć się na miejscu z swojem bydełkiem, przeto zdarzało się często, że



...na czele szedł marszałek, opasany ręcznikiem przez ramię, z biczem w ręku...

dwóch i trzech przybywało równocześnie. Aby uniknąć sporu, kto ma być obwołany królem pasterzy, urządzono gonitwę. Kto pierwszy przybiegł do oznaczonej mety, temu godność królewską przyznawano.

Skoro już oznaczono, komu przypadła godność królewska, wszyscy znosili wybrańcowi kwiaty, wstążki, świece, pawie pióra i pierścionki. Z kwiatów wiły dziewczęta wieńce dla królewskiej pary i bukiety dla wszystkich. Król mianował urzędników dworu królewskiego, a mianowicie marszałka, zwanego pułkownikiem, kuchmistrza i podczaszego czyli piwnicznego. Na biesiadę wszyscy znosili jadło, a więc pierogi, sery, jaja, mleko, mąkę, plastry miodu i powierzali to urzędnikom królewskim, którzy polecali rozpalić wielkie ognisko.

Czas do południa schodził wesoło na zabawie w gry, śpiewie i graniu. Kucharz tymczasem przy pomocy swej czeladzi przyrządzał obiad. Marszałek zaścielał na trawie obrusy, krajał chleb i zastawiał misy. Skoro już wszystko było gotowe, wzywał pobudką na fujarce do uczty, usadzał króla i królową na pierwszem miejscu, potem ich dwór, a na ostatniem miejscu tego, który przybył rano ostatni, strojąc mu w dodatku głowę w wieniec słomiany.

Po obiedzie następował chwilowy wypoczynek, a potem znów wesoła zabawa, która przeciągała się aż do wieczora. Pod wieczór wszyscy pasterze przewdziewali świąteczne stroje i wybierali najokazalszego wołu, przybierając go całego w zieleń, a łeb i rogi w kwiaty, poczem ruszano w uroczysty pochód do wioski. Na czele szedł marszałek, opasany ręcznikiem przez ramię, z biczem w ręku. Królowę prowadziły pod rękę dwie najurodziwsze pasterki, a króla dwóch najstarszych pasterzy. Inne dziewczęta sypały pod nogi pary królewskiej kwiaty. Następnie szedł ustrojony wół, prowadzony na kraśnych wstążkach, a za nim cały orszak pasterzy.

Pieśni i muzyka nie ustawały ani na chwilę. Przed wrotami wioski marszałek dworu strzelał z pistoletu, a pasterze trzaskali z bicza. Wieś cała wybiegała z okrzykami na powitanie orszaku i towarzyszyła mu w pochodzie od chaty do chaty. Wkońcu odprowadzano wołu do jego właściciela, który wykupić go musiał podarunkiem na ucztę. Dziewczęta i chłopcy ze wszystkich domów znosili też poczęstne do obranej gospody lub obranej chaty z obszerną izbą, gdzie biesiadowano wesoło, tańczono i śpiewano w noc późną.

Opisaliśmy powyżej dla przykładu dwie najcharakterystyczniejsze zabawy w czasie Zielonych Swiątek; jest ich jednak znacznie więcej w różnych okolicach Polski. Jedne z nich poszły już w zapomnienie przed latami, drugich zaniechano podczas obecnej wojny, a tylko niektóre utrzymały się do dni ostatnich. Wprawdzie bez zwyczajów tych i zabaw świat istniał będzie, ale przecież szkoda ich puszczać w zapomnienie, boć wszelkie odrębne zwyczaje narodowe przyczyniają się do zachowania naszej odrębności narodowej.

Stare przypowieści.

Co na sercu u trzeźwego, to na języku u pijanego.

*

Cztery nogi białe, piąta łysina, jeśli koń dobry, wielka nowina.

*

Co się radzi zalecają, nie radzi się ożeniają.

Jak wygląda Europa?

W chwili, gdy to piszemy, nie wiadomo jeszcze dokładnie, jak będzie wyglądała Europa wtedy, gdy nasze pisanie dojdzie do rąk czytelników. Wypadki bowiem pędzą od lat kilku z taką zawrotną szybkością, że chcąc opowiedzieć o czemś, trzeba je niejednokrotnie uprzedzać, aby czytelnik w danej chwili miał potrzebne źródło informacyi. Więc, jak powiedzieliśmy, chociaż przez czas od napisania niniejszych słów do czasu czytania ich przez naszych przyjaciół wiele zmienić się może, gdyż wówczas i granice Polski będą ostatecznie ustalone i plebiscyty rozstrzygną o przynależności niektórych ziem, nie wachamy się umieścić tej trochy zdań, gdyż wiemy, że będą one miłą wskazówką dla niejednego.

Aby poznać zmianę, jaką spowodowała wielka wojna, trzeba przedewszystkiem przypomnieć sobie, jak wyglądała Europa przed tą wojną. Otóż powierzchnia Europy, wynosząca około 10 milionów kilometrów kwadratowych powierzchni, a zamieszkała przez 380 milionów ludności, dzieliła się na szereg państw, niejednolitych nieraz narodowościowo.

Do wybuchu wojny do mocarstw zaliczano tylko sześć państw, a mianowicie: Anglię, Francyę, Niemcy, Austro-Węgry, Rosyę i Włochy. Reszta były to państwa drobniejsze, z którymi się wielkie mocarstwa prawie nie liczyły. Już od roku 1871, kiedy to Niemcy zadali Francuzom wielką klęskę i zagrabili dwa ich cenne kraje Alzacyę i Lotaryngię wiedziano powszechnie i spodziewano się tego, że pomiędzy tymi państwami, wcześniej czy później, musi przyjść do krwawej rozprawy. Jedni wierzyli w to, że Francya pokonana wówczas, pokusi się kiedyś o odebranie zagrabionych jej ziem, inni byli pewni, że Niemcy postarają się ją uprzedzić, aby przeciwniczkę swą zdruzgotać ostatecznie i zapewnić sobie znów na długie lata, jeżeli nie na zawsze, spokój z jej strony. Obydwie strony czuły, że między nimi w blizkiej przyszłości musi rozegrać się walka na śmierć i życie.

Do walki tej więc przygotowywały się od lat wielu obydwie strony w sposoby najrozmaitsze, to zbrojąc się na lądzie i morzu, to szukając sojuszników do pomocy w razie zbrojnego konfliktu. W taki sposób powstały dwa trójprzymierza. Po jednej stronie stanęły: Anglia, Francya i Rosya, po drugiej: Niemcy, Austro-Węgry i Włochy i tak ugrupowane państwa zastał wybuch wielkiej wojny.

Ale ugrupowania te wojna wkrótce zmieniła. Od Niemiec i Austro-Węgier odpadły wkrótce Włochy, a przyłączyły się natomiast do nich: Bułgarya i Turcya. Natomiast po stronie przeciwnej stanął niemal świat cały, nie wyłączając nawet Włoch, które do niedawna stały po przeciwnej stronie.

Historyi wojny nie będziemy opisywali, gdyż czyniliśmy to na tem miejscu w latach ubiegłych, wiadomo więc każdemu, jaki miała przebieg, jak i to że skończyła się pogromem jednej strony, a zwycięstwem drugiej. Niemcy, Austrya-Węgry, Bułgarya i Turcya musiały klęskę swą przepłacić bolesnym okupem. Ale nietylko one same, bo przed nimi, a przez nich została pokonana również Rosya, która, choć sojuszniczka państw przeciwnych, została wskutek szerzenia się w Rosyi anarchii przez nie opuszczona i zdana własnemu losowi.

Z państw, pokonanych w czasie wojny, nie mówiąc o Rosyi, największe straty powinny były ponieść Niemcy, jako główni sprawcy okrutnej wojny. Stało się jednak inaczej, bo najciężej odpokutowały to Austryo Węgry, które losy swe związały z losami Niemiec. Austryo-Węgry przestały istnieć.

Na gruzach Austryo-Węgier, oraz na ziemiach, posiadanych do wojny przez Niemcy i Rosyę, popowstawały nowe państwa, lub też ziemiami ich powiększyły się państwa sąsiednie

Z państw nowo powstałych, lub przywróconych do dawnego życia, na pierwsze miejsce wybiła się odrazu Polska, powracająca po przeszło stu latach niewoli do dawnego życia i do dawnej chwały. Polska powstała na gruzach trzech państw zaborczych, wskutek czego miała najtrudniejsze warunki urządzenia się na odzyskanych ziemiach. Polska musiała nietylko z niczego tworzyć olbrzymią armię, potrzebną jej do opędzania się od wiarołomnych sąsiadów, ale musiała z niczego powoływać do życia i skarb polski i wszystko, co w życiu państwowem jest dla każdego narodu niezbędne. A nietylko to, ale Polska musiała trzy rozerwane dotychczas szczątki swego organizmu zlepiać w jedno, kitować je i umacniać, aby się pod jakimkolwiek naciskiem, czyto zewnętrznym, czy wewnętrznym, nie rozleciały ponownie. Polska dokonała tego dzieła sprawnie i dobrze ku podziwowi całego świata Polska od pierwszych dni swego zmartwychwstania stanęła na silnych i pewnych nogach.

Na południowej granicy Polski, na gruzach dawnych Austryo-Węgier, powstał twór nowy: Rzeczpospolita czesko słowacka. Już terytoryalnie kraj ogromnie nie skomasowany, a narodowo nadzwyczaj niejednolity. Terytoryalnie Rzeczpospolita czesko-słowacka podobna jest do zbójeckiej maczugi, której pałkę stanowi dawne królestwo czeskie, a trzon Słowaszczyzna, rękojeść Ruś podkarpacka, zaś narodowo posiada zbiór narodów, często wrogo do siebie usposobionych,

wśród których rodowici Czesi stanowią tylko mniejszość. Same właściwe Czechy tylko w środku kraju są zamieszkałe przez Czechów, wśród których znajdują się gęste wyspy niemieckie; Niemcy też otaczają zbitą masą pogranicze czeskie. Dalej ku wschodowi mieszkają Słowacy, którzy jednak nie są przyjaciółmi Czechów, a językowo może więcej nawet są podobni do Polaków, aniżeli do Czechów. Tak samo Rusini podkarpaccy nie pragnęli nigdy połączenia z Czechami, a zostali do tego zmuszeni tylko podstępem. Gdy dodamy, że w Rzeczypospolitej czesko-słowackiej mieszka także duży odsetek Polaków, będziemy mieli obraz narodowej mieszaniny czeskiej. I wątpić nie można, że wcześniej czy później Czechy staną się siedliskiem walk narodowościowych, które wreszcie muszą je doprowadzić do upadku. Postarają się o to Niemcy i ta znaczna liczba Węgrów, która najniesprawiedliwiej w świecie została od pnia macierzystego oderwana, a do Rzeczypospolitej czesko słowackiej przyłączona.

Z dawnych Austryo Węgier pozostały, jakby na pamiątkę niejako, dwa nieduże kraiki, niczem ze sobą niezwiązane: Austrya i Węgry. W skład nowej Austryi wchodzą zaledwie: dawna Austrya Dolna i Górna, Solnogród, większa część Styryi, część Karyntyi i północna część Tyrolu. Całe to nowe państwo liczy obecnie około 10 milionów mieszkańców, a więc niewiele więcej, jak dawna Galicya, która miała 8 milionów ludności, lub Londyn z 7 milionami mieszkańców.

Taki sam los spotkał i Węgry. Traktat pokojowy poobkrawywał je wprost do niemożliwych granic. wcielając rodowitych Węgrów bądź do Rumunii, bądź do Czech a nawet Jugosławii. Wskutek tej, niesprawiedliwości państwo czesko-słowackie wcisnęło się prawie aż pod mury stolicy Węgier: Budapesztu.

Kosztem dawnych Austryo-Węgier rozrosły się także sąsiednie państwa, a więc przedewszystkiem Rumunia, która zagarnęła cały Siedmiogród wraz z znacznym szmatem właściwych Węgier, a nadto całą Bukowinę. Dalej kosztem ich rozrosła się Serbia, która zagarnąwszy: Kroacyę i Slawonię, Krainę, Dalmacyę, Bośnię i Hercogowinę, poczęła odtąd figurować, jako Jugosławia, pochłonąwszy nadto wbrew woli mieszkańców, niepodległą dotychczas Czarnogórę.

Mniejszą znacznie zdobycz otrzymali Włosi, którzy, prócz przyłączenia do ich ziem części Tyrolu i Pobrzeża, musieli toczyć długie walki dyplomatyczne o posiadanie Rjeki.

Mniej znacznie od dawnych Austryo-Węgier ucierpiały wskutek przegranej wojny Niemcy, które straciły tylko zagrabione podczas rozbiorów Polski ziemie polskie, i to nie wszystkie, oraz Alzacyę i Lotaryngię, wydarte Francyi w roku 1871. Resztę ziem, zamieszkałych w większości przez Polakow, jak Śląsk Górny lub Prusy Wschodnie, albo przez Duńczyków, poddano plebiscytowi.

Zupełnie zmieniony wygląd przybrały również olbrzymie tereny dawnej carskiej Rosyi, choć konferencya pokojowa przez długi czas swych obrad nie chciała się zająć losami swej dawnej sojuszniczki. Siłą rzeczy odpadły od Rosyi ziemie byłego Królewstwa Polskiego Kongresowego, zamieszkałe wyłącznie przez ludność polską. Bohaterstwo żołnierza polskiego zajęło dalsze ziemie ku wschodowi i północy i wyswobodziło je z pod anarchii bolszewickiej. Jak się ukształtują nasze granice na wschodzie, to, pisząc te słowa, jeszcze nie wiemy, ale już dzisiaj tego można być pewnym, że znaczna część ziem wyswobodzonych z pod przemocy rosyjskiej, nie wróci więcej pod panowanie knuta i nachajki.

Na dalekiej północy, na ziemiach, dzierżonych dotychczas przez Rosyę, powstały trzy nowe państewka: Łotwa, położona po obydwu brzegach dolnej Dźwiny, nad zatoką Ryską, z głównem miastem Rygą; Estonia z stolicą Dorpatem, rozciągająca się od zatoki Ryskiej na południe, do morza Fińskiego na północy, i po Narew i jezioro Pejpus na wschodzie; i Finlandya na północ od morza Fińskiego aż w górę w pobliże morza Lodowatego z stolicą Helsingsforsem.

Na ziemiach dawnej Rosyi poczęła też kiełkować myśl o niepodległości u innych narodów, jak Litwini, Ukraińcy, Białorusini itp.

Mniej jeszcze strat terytoryalnych od Niemiec poniosła po przegranej wojnie Bułgarya. Najboleśniejszą może dla niej było odcięcie jej od morza Egejskiego przez przyznanie wąskiego pasa ziemi Grecyi, mimo to pozostała ona większą, aniżeli była przed wojną w 1912 r.

Kończąc tych parę uwag o dzisiejszej Europie, zastrzegamy się jeszcze raz, że do chwili, gdy to nasze pisanie dojdzie do rąk naszych czytelników, niejedno się jeszcze zmienić może, gdyż, jak wiadomo, wypadki lat ostatnich mkną z taką szybkością, iż nieraz niepodobieństwem jest za nimi podążyć.

Jak się narody witają.

(W różnych narodach rozmaicie się ludzie witają ze sobą. U nas się mówi „moje uszanowanie“ albo „jak się macie?“ — a gdzieindziej panują inne zwyczaje. Przytaczamy tu powitania w dosłownem brzmieniu przetłumaczone na język polski).

Angielskie: Jak wy czynicie?
Włoskie: Jak pan stoi?
Holandzkie: Jak pan jedziesz?
Egipskie: Jak się pan poci?
Rosyjskie: Jak wy żyjecie?
Francuskie: Jak się pan niesie?
Niemieckie: Jak się panu powodzi?
Szwedzkie: Jak pan może?
Chińskie: Jak jest z twym żołądkiem? Czy zjadłeś swój ryż?
Perskie: Oby twój cień nigdy nie był mniejszy.

Cygańska miłość.

(Powiastka).

Po wsi gruchnęła wieść, że przyjechali cyganie i wieczór będą grali w karczmie u Mośka. To też co rychlej dziewuchy pomyły nogi, chłopcy poglancowali buty, a kiedy wieczór się zbliżał, ze wszystkich stron wioski spieszyła młodzież ku Mośkowej karczmie.

Za szynkfasem stał żyd i z zadowoleniem gładził swą ryżą brodę, obliczając spodziewane zyski z tego wieczoru. Wiedział bowiem, że młodzież, gdy się rozochoci w tańcu, a jeszcze popije nieco, to wtedy nie uważa na żydowskie rachunki, ale płaci, ile szynkarz zażąda.

Na ławie pod ścianą usiadło pięciu cyganów, ten trzymając skrzypki w ręku, ów basy, a jeszcze inny klarnet lub flet. Dwóch z nich byli to już starsi mężczyźni ponad pięćdziesiątkę, jeden jeszcze młody wyrostek, a ten, co basy dzierżył, był ułomnym, gdyż jedną nogę w młodszych latach gdzieś w bójce mu przytrącono. Natomiast piąty, choć o dobrze ciemnej cerze, ale wyglądał na schwał, kieby rumak rasowy. Płową twarz jego otaczały pukle kruczych włosów, spadając kędziorami na kark i skronie, oczy błyszczały, by dwa rozżarzone węgle, a kiedy odetchnął, można było sądzić, iż lokomotywa przygotowuje się do jazdy. Rosły był i gibki, a taki urok potrafił rozsiewać koło siebie, iż nie było dziewczyny, którаby raz nań spojrzawszy, mogła od niego oczy odwrócić.

Toteż dziopy, wszedłszy tylko w progi szynkowni, wpatrywały się w urodziwego cygana, nie mogąc od niego oczu odwrócić, a choć chłopcy wsiowi do nich przemawiali i śmieszki stroili, to zdawały się nic nie słyszeć, bo jedno tylko miały na myśli, to jest urodziwego cygana. Ten jednakowoż nie zwracał na nie wcale uwagi. Trzymał skrzypki pod pachą, rozmawiając po cichu z swymi towarzyszami. Znać było, że on jest przewodnikiem swych towarzyszy, a oni jego pomocnikami.

Kiedy już izba napełniła się przybyłymi, Wańko, bo tak się nazywał nasz cygan, podniósł skrzypki ku górze przyłożył do piersi i pociągnął raz jeden i drugi po strunach. A w ślad za tem odezwał się cichy pomruk basów. Był to niejako odzew, że czasby było zacząć robotę. Jakoż zadrżały łydki dziewuch, chłopacy rzucili głowami, spoglądając ku sobie, który z nich ma zacząć mozolną pracę.

Ale nie poszedł żaden, gdyż brakło im śmiałości wobec dorodnego cygana. Cygan, widząc nieśmiałość chłopaków, zachęcił ich do czynu tak ognistą polką, że już dłużej strzymać nie mogli.

Pierwszy poskoczył Karol Brózda, ująwszy w pół Baśkę Witosównę, zakręcił nią w koło, a za nim poszli inni i zabawa potoczyła się ochoczo, jak tylko toczyć się może wśród młodych i niefrasobliwych. Dźwięczały skrzypki, jak echo wtórowały im drugie, podrzeźniał im się bas, wyprawiał wrzaski klarnet, wyśpiewywał flet. Pary wirowały to w lewo, to w prawo, zakręcały koła, wymijały się, a nad nimi królował Wańko, bo wszystkim musiały tak nogi biegać, jak on im wskazał swoim smyczkiem. A Wańko królował i rozkazywał to szybsze, to wolniejsze tempo. Polka trwała długo, boć tancerze byli niepomęczeni, młodzi i ochotni do zabawy, a Wańko nie przestawał grać, choć mu dotychczas żaden z chłopaków nie rzucił ani grosza do basów. Ale wkońcu co słabsi poczęli ustawać. Usiadł już Stach Pokrzywka, przystanął pod ścianą Franek Niemczyk, aż wreszcie poustawali i inni z wyjątkiem Karola Brózdy, który prawie nosił w powietrzu urodziwą Baśkę, i Adasia Koguta, który dzierżył w swych silnych dłoniach Marysię Urbańczykównę.

Wańko, widząc pomęczenie par, a może mając na względzie swe własne korzyści, przerwał grę. Wtedy poskoczył ku niemu Karol Brózda, a sypnąwszy garść groszy do basów, zaśpiewał:

Graj, cyganie, graj mi zasię,
Bo ja w taniec wiodę Basię.

I znów cygan pociągnął smyczkiem po strunach, które, jakby rozumiały słowa śpiewki, powtarzały raz za razem: „Zasię“, a gdy pary okrążyły kilka razy do około izbę, Adaś Kogut podjął melodyę skrzypek, śpiewając:

Mój Karolku, nie chwalże się,
Bo ci Basia zginie w lesie!

I tak co chwila inny przyśpiewywał w takt muzyki, pary wirowały, zabawa szła ochoczo. A kiedy cygan grać przestawał, podchodzili ku niemu chłopcy, żądni wesołej zabawy, a więc to Kogut, to Niemczyk, to inni i rzucali obficie grosz w basy, tak, że te od tego obżarstwa coraz słabiej buczały.

Wiadomo, że w tańcu bez słów można nieraz więcej powiedzieć, aniżeli kiedy indziej wypowiedziawszy setki słów. Jeden uścisk ręki, jedno silniejsze ujęcie kibici, jedno czulsze spojrzenie zastępują w tańcu miłosne wyznania i często niewolą ku sobie dwa serca na wieki. Rozgorączkowane oczy i twarze silniej sypią skrami, aniżeli w innym czasie, oszołomiona wyobraźnia podatniejszą jest do wzmożonych uczuć. W tańcu najłatwiej można poznać, jakie uczucia żywi

tancerka do swego tancerza, czy mu jest chętną, czy obojętną. To też i na owej zabawie baczny widz byłby mógł poznać, że Karolek, który najwięcej tańczył z Basią Witosówną, był w niej rozmiłowany powyżej uszu Natomiast dziewczyna jakoś nie bardzo garnęła się ku niemu. Spostrzegł to wreszcie i tancerz, a nawet wprost zapytał ją o powód obojętności.

— Basiu! — mówił wśród tańca - jakoś ty inna jesteś dziś dla mnie, niż kiedyindziej.

— Zdaje ci się — szepnęła, spoglądając równocześnie w stronę Wańki, jakby się obawiając, czy cygan wyrzeczonych słów nie słyszał.

Spostrzegł ruch ten Karolek, ale nie rzekł nic. Dopiero po niejakim czasie, gdy Basia od czasu do czasu zerkała okiem na grającego cygana, ozwał się znowu:

— Ej, Baśka! Coś ty znowu za często spoglądasz ku tym włóczęgom.

— Nie podoba ci się, to se weź inną — szarpnęła się Baśka i chciała wyrwać się mu z objęć.

Nie puścił jej jednak, a nawet jeszcze serdeczniej otoczył jej kibić ręką i zamaszyściej zakręcił koło siebie.

Ale taniec już nie szedł tak, jak poprzednio. To Karol jej, to ona jemu następowała na nogi, to obydwoje potrącali innych.

— Puść mnie, spocznę! — rzekła wkońcu dziewczyna.

— Z Panem Bogiem! — wycedził przez zęby Karol, a puściwszy spoconą Basię, poskoczył ku Justynce Pilchównie, już postarzałej i ospowatej dziopie. Chciał dać poznać Baśce, że o nią nie stoi, że mu wszystko jedno, z kim tańczy, bo czy ta, czy tamta, byle tylko parę zdrowych nóg miała Zawinął Justynką, na Baśkę ani spoglądnął.

A szkoda, bo nie widział, jak Wańko szepnął coś do klarnecisty, który natychmiast odłożył klarnet, a ująwszy zapasowe skrzypce w ręce, podjął melodyę, graną dotychczas przez Wańkę. Ten zaś odrzucił swe skrzypki na ławę, aż zajęczały żałośnie, i poskoczył na środek izby, a potem ku ławie, gdzie spoczywała Baśka. I nim się dziewczyna spostrzegła, już ją miał w swych objęciach i unosił niemal w powietrzu, by piórko jakie. Na ten widok ten i ów zaprzestał tańca, a ci, co siedzieli i stali pod ścianami, podnieśli się, aby lepiej widzieć oryginalną parę. Bo też obydwoje cudnie wyglądali. On ciemny o kruczych włosach, ona jasna, jakby na blichu bielona, z pozłocistym włosem i niebieskiem wejrzeniem, odbijała od niego, jak drogocenna perła od ciemnego aksamitu.

Przystanęli tańczący, podnieśli się siedzący na ławach i wpili oczy w dorodną parę, która wirowała po żydowskiej izbie, by huragan po pustynnym stepie. Spostrzegł wreszcie i Karol, co się dzieje, ale wtedy taki żal i taka złość przepełniły jego serce, iż udał, że nie

spostrzega tego wszystkiego, a gdyby mu było wypadło nawet z samym djabłem tańczyć wówczas, byłby go z swych objęć nie wypuścił.

A muzyka grała coraz zawzięciej, boć muzykanci przygrywali swemu władcy, który za każdy fałszywy ton gotów był im łby porozbijać. Baśka prawie nie czuła, co się z nią dzieje. Najniespodziewaniej znalazła się w objęciach tego, który od pierwszej chwili uczynił na niej bezkresne wrażenie. A kiedy Wańko tulił ją w tańcu do swych szerokich piersi, poddawała się jego uściskom bez najmniejszego oporu, gdy ściskał jej dłoń w rozognionej swej ręce, nie znajdowała odruchu protestu.

Poznał Wańko moc swą nad dziewczyną. Pochylił więc kruczą swą głowę nad jej jasną twarzyczką i szepnął rozkazująco:

— Baśka! Posłuchaj.....

Zaciekawiona, w słuch cała się przemieniła. Co jej powie ten mocarz, który dzierży nad nią całą swą moc nieprzepartą?

— Baśka! słuchaj! — mówił Wańko. — Tyś moja i będziesz moja, boś ty mi droższa nad skarby świata, nad świat cały. Baśka, pamiętaj, coć mówię, i rób, co rozkażę...

I coś jej szeptał do ucha, a ona odpowiadała jeno co chwilę:

— Dobrze!... Zrozumiałam!...

A kiedy skończyli tańczyć i Baśka osunęła się na ławę, nie mogła czas dłuższy przyjść do siebie. Przez mózg przewalały się jej słowa Wańki, ciężarne w następstwa. Odpowiadała mu: „Dobrze!“, ale zostawszy sama, nie wiedziała, co jej czynić wypada.

Muzyka zagrała znowu, prym wiódł Wańko. Posunęły się pary, ale Baśka odmówiła każdemu, kto ją chciał brać do tańca. Jedynie z Karolkiem byłaby poszła w pląsy, ale ten, obrażony, nie zbliżył się do niej. Rozsierdzona na chłopaka, postanowiła nie tańczyć więcej, choć teraz tańce szły najlepiej, gdyż w izbie, z powodu zbyt późnej pory, przerzedziło się znacznie. Jeszcze jeden krakowiak, jeszcze jeden oberek i znowu polka, a potem już karczmarz zapowiedział, że więcej tańczyć nie pozwoli.

Nareszcie nadszedł taniec ostatni. Wańko oddał skrzypce klarneciście, sam zaś, kiedy się taniec rozpoczął, skierował się ku wyjściu. Nim jednak wyszedł, dał znak Baście, która po chwili, gdy wszyscy byli tańcem zajęci, wysunęła się niespostrzeżenie z szynkowni.

Jeszcze chwilę trwała zabawa, poczem wszyscy porozchodzili się do domów, i nikt nie zwracał uwagi na zniknięcie cygana i Baśki. Dopiero z rana, gdy wieś przebudziła się z nocnego odpoczynku, rodzice Baśki przestraszyli się, nie ujrzawszy Baśki w domu. Ojciec pobiegł do karczmy, sądząc, że młodzi zbyt długo przeciągnęli może zabawę, gdy jednak zastał karczmę zamkniętą, zatrwożył się naprawdę o los swej jedynaczki. Pobiegł więc co tchu do Karolka, o którym

wiedział, że miłuje jego dziewuchę, ale Karolek nie mógł go w niczem objaśnić. Opowiedział tylko, jak to Baśka stroniła niemal noc całą od niego, jak to szła z cyganem w tany i jak sama z karczmy się oddaliła.

— Tak, tak — mówił — sama poszła, a jeszcze przed nią odszedł Wańko.....

— Jezus, Marya! — krzyknął ojciec — Jezus, Marya! Uciekła z cyganem...



Wańko tulił ją w tańcu do swych piersi.

Karolek w pierwszej chwili słowa rzec nie mógł. Dopiero po pewnym czasie wykrztusił:

— Rany Boskie, czyż to możliwe?...

Niestety, było to zupełnie możliwe i tak było w rzeczywistości. Wańko namówił w tańcu Basię, aby, kiedy on izbę opuści, poszła za nim, gdzie on ją poprowadzi. Dziewczynę tak opanował urok cygana, że choć jej rozum przedstawiał całą ohydę czynu, nie potrafiła się oprzeć namowom cygana. Ale i cygan był olśniony pięknością dziewczyny. Wiedział jednak, że legalną drogą nie zdobyłby jej nigdy, bo za nic w świecie rodzice nie byliby jej oddali cyganowi, czekać na inną sposobność nie mógł, gdyż ta nie byłaby mu się może

trafiła. Postanowił więc wykorzystać chwilę i uprowadzić dziewczynę. Gdyby nawet była nie posłuchała jego rozkazu, to przecież i później mógłby był popróbować szczęścia. Nad jego jednak spodziewanie Baśka nie oparła mu się już od samego początku. Czekał na nią na skraju poblizkiego lasu zaledwie chwil kilka. Zjawiła się przed nim drżąca, cała, ale szczęśliwa, że znów widzi przed sobą tego, który dzierżył nad nią jakąś moc niewytłómaczoną.

Wańko, choć była ledwo kilka kroków od niego, nie wybiegł na jej spotkanie. Witał ją jedynie rozradowanym wzrokiem, a dopiero, kiedy stanęła obok niego, ujął ją za drżące ręce i podniósł je ku rozpalonym ustom.

— Moja ty, moja — szeptał — okrywając jej dłonie pocałunkami. — Moja ty i nikt mi cię nie wydrze!

Baśka popatrzyła na niego z trwogą.

— Tak — mówił cygan, pociągając ją za sobą w głąb lasu — wszystko obmyśliłem, wszystko ułożyłem. Za cygana rodzice by ci pójść nie dali, więc musimy uchodzić daleko, daleko. Mam ja grosz i dostatki: bieda nic ci nie zrobi. Wiem, żebyś ty po cygańsku żyć nie potrafiła, więc zakupię i pole i chatę. Osiądziemy tam oboje i żyć będziemy tylko dla siebie i zawsze dla siebie.

Mówił jej tak długo, tłómacząc swe plany i zamiary. Baśka postępowała za nim, przytakując jego wywodom. Wyczuwała ze słów jego, że mówi prawdę, że mu zaufać może. Poza uczuciem, jakie spadło na nią tak niespodziewanie, zrodził się w niej szacunek dla tego mocarza, który ją miał w swym ręku w odludnym lesie, a przecież nie starał się wykorzystać doskonałej sposobności do bezecnego czynu. Nabrawszy tego przeświadczenia, wiedziała, że uczyni już teraz wszystko, co on rozkaże. Nie sprzeciwiała się więc, gdy ją poprowadził na stacyę kolejową, nie wyrzekła słowa protestu, kiedy zakupił bilet i skierował się z nią do nadjeżdżającego pociągu.

W wagonie kolejowym oparła główkę na jego ramieniu i na pytania, czy jego jest, odpowiadała:

— Twojam ci, Wańko, twoja na zawsze! – dopóki nie zasnęła strudzona wielce i tańcem i drogą.

Pociąg pędził dzień i noc, stawał i znowu gnał dalej w świat nowy, w świat nieznany dla Baśki. Wieczór był, kiedy wjechali w lesiste Karpaty, a już słońce było wysoko, gdy znaleźli się gdzieś na węgierskich równinach.

Wysiadłszy z pociągu, Wańko powiódł ją do jakiejś gospody.

– Żoną mi jesteś – mówił jej przez drogę i za taką się powiadaj. Pozostaniemy tu dni kilka, póki się nie rozglądnę za czemś i nie kupię jakiej posiadłości.

— Żonam ci twoja — powtarzała Baśka — postępując obok Wańki i przytulała się do jego ramienia.

Zamieszkali w pierwszej napotkanej gospodzie. Wańko, zostawiwszy sporą sumkę Baśce na codzienne potrzeby, ruszył sam niezwłocznie na poszukiwanie cichego kącika dla swojego szczęścia, jak powiadał.

Wrócił po trzech dniach nieobecności, rozpromieniony i szczęśliwy, gdyż znalazł to, czego pragnął: gospodarstwo z inwentarzem i zasiewami. Wprowadził doń Baśkę, jako panią i królową i był jej najmilszym panem i towarzyszem.

Minęło lato, przeszła jesień, ubiegła zima, nastała rozkoszna wiosna. Nic nie zamąciło spokojnego żywota dwojga kochanków, chyba jeno myśl jedna w główce Baśki, że przecież źle uczyniła, rzuciwszy dom i rodzicieli bez słowa pożegnania. Ale troskę tę osładzała jej dobroć i troskliwość Wańki. Więc choć nieraz smutne myśli przychodziły jej do głowy, nie żałowała swego czynu, bo żywot jej był tak szczęśliwym, że ani o nim marzyćby przedtem nie mogła.

Była szczęśliwą, ale... Szczęście jej skończyło się prędzej, niż jeszcze wczoraj przypuścić mogła. Bo oto jednego dnia rozbiła swe namioty opodal ich chaty banda cyganów. Od tej chwili Wańko zmienił się nie do poznania. Chodził smutny i zamyślony. Wziąwszy łyżkę do ręki dla spożycia strawy, odkładał ją, nie tknąwszy jedzenia. Aż pewnego ranku znikły namioty cygańskie, ale razem z nimi znikł i Wańko. Biedna Baśka, jako całą pamiątkę po swym ukochanym, znalazła list na stole, w którym ją przepraszał za to, że ją opuścić musi, ale nie sposób cyganowi usiedzieć na jednem miejscu. On, Wańko, idzie w świat z braćmi swoimi, aby już nigdy do Baśki nie wrócić. Za boleść, jaką jej sprawiał swym postępkiem, zostawiał jej na wieczystą i niepodzielną własność całe mienie, jakie posiadał.

Dar ten jednak nie pocieszył Baśki. Odczytawszy okropne słowa listu, skłoniła głowę na piersi i poczęła serdecznie szlochać. Myśli jej wirowały, jak huragan po bezbrzeżnem morzu, szum jakiś złowrogi powstawał w jej umyśle. Początkowo nie rozumiała, co się to właściwie stało i dlaczego się tak stało. Nareszcie poczęła rozumieć ogrom swojego nieszczęścia i poznawać, że nie da ono się już niczem odwrócić. Zerwała się z siedzenia i chciała gdzieś biedz, aby jeszcze pochwycić swą niepowetowaną zgubę.

Nogi jednak ugięły się pod nią, a biedna Baśka osunęła się na ziemię.

Nazajutrz znaleziono martwe jej zwłoki na środku cygańskiej izby.

Serce jej pękło z bezmiernej żałości.

Kobieta a kobieta.

Nieraz słyszy się, iż ktoś o jednej kobiecie powiada: „Ona nie jest stworzona do małżeństwa“, a o drugiej natomiast mówi: „Ona urodzona na żonę“! Cóż to znaczy? Czyżby do małżeństwa trzeba było mieć jakieś specyalne, od natury dane zdolności?

Niby tak, a niby nie. Z natury swej Pan Bóg stworzył każdą kobietę na żonę i matkę, a przecież w rzeczywistości nie wszystkie odpowiadają temu celowi. I nie jestto, broń Boże, ich wina. To wina tej siły wyższej, tych właściwości, jakie otrzymały już od chwili swego urodzenia.

Aby to lepiej zrozumieć, przyjrzyjmy się bezstronnie kobietom.

Kobieta, stworzona do małżeństwa, nie musi być ani piękną, ani zbyt pociągającą, ale mimowoli potrafi ona około siebie i swoich zakreślać czarodziejski krąg, gdzie ogniskują się myśli jej, siły i pragnienia. Ma ona w sobie, że tak powiemy, jakiegoś wabika, który, by magnes, przyciąga ku niej mężczyzn, a nietylko przyciąga, ale potrafi ich przy niej utrzymać. Kobieta, stworzona na żonę, przystosowuje się do mężczyzny, przetwarza się pod jego wpływem, stara się czyny swe upodobnić jego czynom. Nie wysuwa nigdy swego ja na czele, ale pragnie być poszukiwaną i znajdywaną. Kobieta, stworzona na żonę, musi być w jednej osobie i rozkoszną i kochanką, i sympatycznym przyjacielem, i dobrą matką i gospodynią. Jeżeli kobieta łączy w sobie te wszystkie zalety, to wtedy jest ona stworzona na żonę. A piękność to tylko maleńki dodatek do poprzednich zalet.

Gdy to zważymy, nie będziemy się dziwili, że często nawet szpetne dziewczęta wychodzą szybko za mąż, podczas gdy urodziwe nieraz pozostają starymi pannami.

Jeżelibyśmy zbadali przeszłość starych panien, to przekonalibyśmy się, że niemal każdej z nich brakowało jednego warunku, potrzebnego nieodzownie, aby być dobrym materyałem na żonę. Pomijamy tu już te, którym przyroda poskąpiła zewnętrznej urody, bo co do tych to niejednokrotnie szpetota ich odstręczyła od małżeństw z nimi mężczyzny, ale chcemy pomówić o tych, które z powodu swej przystojności nie zasługiwały na staropanieństwo.

Otóż, jeżeli zobaczymy przystojną starą pannę, to poznawszy ją bliżej, przekonamy się wkrótce, że mimo swej urody nie posiadała ona tego wdzięku niewieściego, który zniewala ku sobie mężczyznę. Niewiasta taka podobna raczej jest do malowanego obrazka, na który godzinami patrzyć można, bo zimny będzie, jakoby marmur.

A choćby i wdzięk niewieści był, jeżeli braknie tego przyjacielskiego przywiązania, jeżeli braknie odczucia pragnień i upodobań

mężczyzny, jeżeli braknie wyrozumiałości na jego wady i ułomności, to taka kobieta nie jest dobrym materyałem na żonę.

A gdyby nawet wdzięku i wyrozumiałości nie brak było, a jeżeli niema w kobiecie zamiłowania do pracy, choćby nie tej wytężającej, ale do pracy drobnostkowej, gdy w kobiecie brak pociągu do dziatwy, to na nic się zdadzą wdzięk i inne przymioty, gdyż ona nigdy dobrą żoną nie będzie.

Dlatego też, jak powiedzieliśmy wyżej, nieraz dość szpetna panna wychodzi za mąż, gdy natomiast urodziwa musi pędzić żywot w samotności i staropanieństwie.

Zdania i myśli.

Narzekasz na twe cierpienia,
Przeklinasz losy człowieka,
Jak gdyby chwila ulżenia,
Tak była od nas daleka.
Dzień twego życia tak krótki,
I twoje słońce już nisko;
Na cóż więc żale i smutki,
Kiedy do kresu tak blisko.

Zagadka obrazkowa.



Gdzie jest drugi chłopiec?

Jak powstało państwo pruskie?

Wynikiem wojny światowej, jakąśmy tak nie dawno przeżyli, był upadek trzech cesarstw, które przed przeszło stu laty ojczyznę naszą pomiędzy siebie rozdarły, a dla jej mieszkańców przez długie lata były katami i posiepakami. Dzieje Austryi są dobrze znane, szczególniej mieszkańcom ziem polskich, którzy byli pod jej panowaniem w byłej Galicyi i na Śląsku Cieszyńskim, o powstaniu wielkiej Rosyi wiemy również dość dużo z dziejów polskich, gdyż były one ściśle związane z dziejami Rosyi przez lat setki. Natomiast najmniej szerszemu ogółowi znane są dzieje Prus, które, opanowawszy wszystkie niemal ziemie niemieckie, świat cały chciały opanować. Warto więc przypomnieć historyę tego państwa, które, chcąc innych pogrążyć w niemoc, samo znalazło się nad przepaścią.

W dawnych czasach w kraju, leżącym po prawej stronie Wisły aż do Niemna, mieszkali Prusacy, naród pokrewny Litwinom. Byli oni poganami, a gdy św. Wojciech chciał ich nawrócić na wiarę chrześcijańską, zamordowali go okrutnie. Prusacy byli jednej krwi z Polakami, ale mimo to często napadali na Polskę. Zwłaszcza cierpiało od ich najazdów sąsiadujące z nimi Księstwo Mazowieckie. Pierwszy książę mazowiecki, Konrad, brat Leszka Białego, chcąc zabezpieczyć posiadłości swoje od napaści złych sąsiadów, powołał z Niemiec rycerzy, zwanych Krzyżakami, i dał im Ziemię Chełmińską w posiadanie, oraz ziemie, które na Prusakach zdobędą. Stało się to w 1226 r.

Krzyżacy stanowili zakon rycerski, który miał za zadanie obronę grobu Chrystusa Pana w Jerozolimie. Krzyżacy byli to zarazem zakonnicy i żołnierze, a nazwa ich poszła od krzyżów, wyszywanych na płaszczach. Osiedliwszy się w ziemi Chełmińskiej, przez 50 lat walczyli z Prusakami, aż cały kraj zajęli pod swoje panowanie. Do zdobytego kraju sprowadzili osadników z Niemiec.

Krzyżacy, jako lud chciwy, nie poprzestali na zawojowaniu Prus. Krwiożercze swe pazury wyciągali ku Polsce i zdradą zagarnęli Gdańsk i całe Pomorze wschodnie.

Król polski Władysław Łokietek, oburzony na zdrajców, rozpoczął z nimi wojnę, ale choć ich pobił na głowę pod Płowcami (w 1331 r.), nie mógł odebrać im ziem zabranych. Używali oni bowiem różnych cygaństw, odwoływali się do Papieża i cesarza niemieckiego, łamali przyrzeczenia, nie spełniali zobowiązań, byle tego nie oddać, co ukradli. Łączyli się z wrogami Polski, aby jej tylko szkodzić. Nie było podłości, którejby się nie dopuścili względem Polski.

Zarówno jak Polskę, dręczyli również Krzyżacy i Litwę. Początkowo udawali przed światem, że chcą ją nawrócić na wiarę

chrześcijańską, ale chociaż i tam została przez Władysława Jagiełłę zaprowadzona wiara chrześcijańska, nie zaprzestali swych napadów. Aby temu kres położyć, wyruszył przeciw nim Władysław Jagiełło z bratem swoim stryjecznym Witołdem i w walnej bitwie pod Grunwaldem pobili na głowę zastępy Krzyżaków. W tej bitwie, stoczonej 15 lipca 1410 roku, złamana została potęga Zakonu, a kilkadziesiąt tysięcy trupów krzyżackich zakryło pole walki.

Ale niestety, Polacy, powodowani szlachetnością, nie skorzystali z tego zwycięstwa należycie i nie zmietli z powierzchni ziemi wiarołomnego Zakonu, wskutek czego musieli później oganiać się od nich, jak od psów.

Jednak wkońcu miarka się przebrała. Na prośby poddanych krzyżackich wydał wojnę Zakonowi król polski, Kazimierz Jagiellończyk, która ciągnęła się 13 lat. Polacy zajęli ówczesną stolicę krzyżacką Malborg i znaczną część ich posiadłości. Za wstawieniem się Papieża zgodził się król na zawarcie pokoju w Toruniu w 1466 r., wskutek którego musieli Krzyżacy oddać Polsce Pomorze, Ziemię Chełmińską i Michałowską, oraz część Prus z Malborgiem i Warmią. Wielki mistrz, czyli naczelnik Krzyżaków, zobowiązał się składać hołd królowi polskiemu i słuchać go we wszystkich sprawach, jako swego zwierzchnika.

Za Zygmunta I został wielkim mistrzem siostrzeniec jego Albert z rodu margrabiów brandenburskich. Ci margrabiowie osiedlili się w ziemi polskiej w mieście, które się nazywało Braniborem, a które oni z niemiecka przezwali Brandenburgiem, później zaś przenieśli stolicę swego państwa do Berlina, założonego na gruntach wsi Kolno. W XV wieku jeszcze w Brandenburgii była ludność polska bardzo liczna i nawet na dworze margrabiów po polsku mówiono. Margrabiowie Brandenburgii do spółki z Krzyżakami na Polskę napadali, a państwo ich rosło na zdradzie.

Z takiego rodu pochodził Albert, który żył, gdy w Niemczech poczęła się szerzyć wiara luterska. Albert przyjął tę wiarę wraz z innymi Krzyżakami, złamał śluby zakonne, ożenił się, a uczynił to dlatego, aby z posiadłości krzyżackich utworzyć księstwo dziedziczne. Słaby i dobroduszny król Zygmunt zgodził się na to, a Albert przybył za to do Krakowa w 1525 r. i złożył hołd królowi na rynku.

Poddanych swoich zmusił Albert do przyjęcia wiary luterskiej, a mimo przysiąg, składanych na rynku w Krakowie, zmawiał się ciągle z nieprzyjaciółmi Polski na jej szkodę.

Srogo go też Bóg ukarał, gdyż już wnuk jego umarł bezpotomnie w obłąkaniu.

Stosownie do ugody kraj ten powinien był wrócić do Polski, ale Zygmunt III pozwolił krewnym ostatniego księcia, margrabiom

brandenburskim odziedziczyć jego posiadłości pod tym warunkiem, że będą składali hołd Polsce. Brandenburgia, połączona z Prusami, stała się wkrótce niebezpieczną dla Polski.

Gdy za panowania Jana Kazimierza napadli na Polskę Moskale, Szwedzi, Kozacy i inni, gdy cały kraj był zniszczony ogniem i mieczem, skorzystał z tego elektor brandenburski, Fryderyk Wilhelm, zwany Wielkim. Zamiast bronić Polski, sprzymierzył się z jej wrogami. Upokorzył się wprawdzie później, ale od składania hołdu został uwolniony.

Następcy Alberta i Fryderyka Wilhelma, najprzód elektorowie brandenburscy, a później królowie pruscy, szli w ślady Krzyżaków. Najchytrzejszy z nich Fryderyk II, zwany Wielkim, podmówił carycę moskiewską, Katarzynę II, do rozbioru Polski w 1772 r. Jego następcy obłowili się przy podziale Polski.

Potomkowie hołdowników, którzy niegdyś z pokorą całowali rękę króla polskiego, panowali długo nad narodem naszym i odmawiali nam prawa do życia. Ale przyszedł dzień sądu i sprawiedliwości boskiej — padła w proch potęga pruska. Polska zajaśniała znów potęgą i sławą. Dziś potomkowie tych, którzy naród nasz gnębili, muszą błagać o zmiłowanie u zwycięzców wielkiej wojny europejskiej.

Na przykładzie Prus sprawdziło się przysłowie: Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Zagadka obrazkowa.



Gdzie jest myśliwy, co idzie za sarną, a chce dostać dziewczynę?

Sąsiedzi.

(Zdarzenie prawdziwe).

— Zabiję! Jak mi Bóg miły, zabiję! — powtarzał rozgniewany Onufry, chodząc po środku izby.

I miał zupełną słuszność, unosząc się gniewem na swego sąsiada, który, kiedy tylko mógł, wyrządzał mu na każdem kroku szkodę. Wyszła kura na sąsiedzkie obejście, pewno powracała z przetrąconą nogą, wyjechał Bartłomiej orać w pole, niezawodnie uorał kawał miedzy. I tak zawsze, i tak na każdym kroku. Więc też nie dziw, że Onufry, pełen oburzenia, klął na czem świat stoi, gdy mu dzisiaj Bartłomiej potrącił dwumiesięcznego byczka, który, jako bezrozumne stworzenie, wlazł na sąsiedzki konicz.

— Tatusiu! Nie gniewajcie się, bo wybyście to samo zrobili, gdyby wam cudze bydle wlazło do szkody — starała się uspokoić ojca Jagusia.

— Pewno! Niechby pilnował gadzinę, aby nie robiła szkody.

— A widzicie...

— Co widzę?.... Nic nie widzę!.... Ja co innego, a on co innego... I powiadam, że gdy tylko mi się nawinie, to ubiję, jak psa...

Wtem otwarły się drzwi chaty i do izby wszedł dorodny parobczak. Zwrócił ku niemu ze zdziwieniem Onufry wzrok, popatrzyła się na chłopca zarumieniona Jagusia.

Parobczak, pochwaliwszy Pana Boga, skłonił się gaździe i zamierzał usiąść opodal na ławie. Zerwał się z siedzenia Onufry, podskoczył ku drzwiom, a otwarłszy je, zawołał:

— Precz z mojej chaty! Precz!... Ja cię tu nauczę smarkaczu...

Parobczak jednak nie spieszył się z posłuchaniem rozkazu. — Odgarnął z czoła płową czuprynę i począł spokojnie:

— Panie ojcze, nie sierdzcie się, póki mnie nie wysłuchacie. Wiem ja, że macie słuszny żal do mojego tatusia, ale to jeszcze nie racya, abyście mnie za drzwi wyrzucali, zwłaszcza, że przyszedłem całą sprawę jakoś załagodzić. Patrzę ja od dawna na wasze kłótnie sąsiedzkie i serce mnie niewymownie boli. Bo przyznajcie sami, że nie tylko mój tatuś, ale i wyście w tem winni. Obydwaj staracie się sobie nawzajem dokuczyć, choć z obydwóch was najlepsi ludzie. Ale...

— Widzisz go! Będzie mi tu kazania prawił, smyk jakiś — przerwał Onufry już nieco łagodniej.

— O nie, nie, to nie to... To nie żadne kazania, ale jabym chciał najlepiej. Ja już dawno patrzę na wasze spory i wiem, że wyście obydwaj nie tacy źli, za jakich chcecie uchodzić. Owszem, tak wy, jak i mój tatuś macie złote serca, ale zakradła się do nich jakaś zawiść sąsiedzka, wskutek której staracie się szkodzić sobie na każdym kroku, i sami przyznajcie, że szkody, wyrządzone wam przez mojego tatusia, nie są większe od tych, jakie wyście rodzicowi memu wyrządzili. A wyrządzacie sobie je nawzajem nie ze złości, ale raczej dlatego, aby wasze było na wierzchu... Jabym to chciał jakoś załagodzić. Was dziś spotkała krzywda, więc tatuś mój górą. Niechże się pocieszy!... Lecz byście i wy nie byli stratni, to ja wam dzisiejszą krzywdę wynagrodzę. Mam nieco oszczędzonego grosza, przyjmijcie za szkodę waszą i darujcie memu rodzicielowi. On będzie zadowolony, że jego na wierzchu i poniecha dalszych napaści. — Wszystko się uspokoi a wy będziecie żyć ze sobą po sąsiedzku, jak Pan Bóg przykazał...

Chciał jeszcze Antek, bo tak było na imię parobczakowi, coś mówić, ale Onufry przyskoczył ku niemu, a ująwszy za kołnierz, wytrącił go za drzwi. Wprawdzie gdyby się chłopak chciał był opierać, byłby to uczynił bez trudu, bo silny był i młody, ale postanowił ustąpić, nie wątpiąc, że powoli uda mu się przecież pogodzić poważnionych sąsiadów. Bez słowa więc protestu dał się wyrzucić za drzwi i nie próbował tym razem wcale powrócić do izby. Nie chciał się sprzeciwiać Onufremu i dlatego, że oddawna upodobał sobie Jagusię i radby ją był pojął za żonę, gdyby nie stała temu na przeszkodzie zawiść rodzicielska.

Tymczasem Onufry usiadł z powrotem na ławie.

— Ha, smyk! — wysapał. — Nauczę ja go rozumu!...

— Cóż wam tatusiu Antek winien?

— Co winien? Niech się nie miesza do nieswoich rzeczy. — A że nic nie winien, to też i ja mu nic nie zrobiłem. Niechby tak starego dostałem w ręce: poszedłby z połamanymi gnatami...

— A przecież, tatusiu, Antek ma słuszność: lepsza słomiana zgoda, jak złota wojna...

— Jak komu... Ale ja mu nie daruje, o nie daruję...

Zacisnął pięści, jakby się gotował do zadania ciosu przeciwnikowi, a potem tak dalej mówił:

— Jeśli chcesz wiedzieć, to ci powiem, że już dość mam tego wszystkiego i choćby mi przyszło zgnić w kryminale, to nie spocznę póki tej szelmowskiej ręki mu nie przetrącę, która mi tyle szkody wyrządziła!

Jagusia, widząc zaciętość ojca, nie próbowała więcej przemawiać do jego rozsądku, gdyż wiedziała, że toby go jeszcze bardziej rozdrażniło. Zakrzątnęła się więc koło roboty, przyrządziła wieczerzę i nie poruszała już więcej tej drażliwej kwestyi, choć jej niezmiernie smutno było, że jej rodzic żyje w takiej nieprzyjaźni z rodzicem Antka, który był jej milejszym od wszystkich chłopaków we wsi.

Jagusia tej nocy nie mogła zasnąć. Po główce jej krążyło tysiące myśli, w jakiby sposób załagodzić ten nieszczęśliwy spór sąsiedzki, który ją oddalał od umiłowanego. Ale nie widziała żadnego



Zerwał się z siedzenia Onufry, podskoczył ku drzwiom, a otwarłszy je, zawołał:

sposobu. Znała swojego ojca i była przekonaną, że nic go nie skłoni do ustępstw na rzecz Bartłomieja, a wiedziała również, że i Bartłomiej nie był więcej ustępliwy. Czasem ponure jej myśli rozjaśniała nadzieja, że może Antek znajdzie jaki sposób pogodzenia przeciwników, lecz po głębszym namyśle spostrzegła, że to było prawie wykluczone. A jednak nie chciała tracić zupełnie nadziei.

Ale i Onufry miał tej nocy sny niespokojne. Całą noc widział przed sobą sąsiada Bartłomieja, to orzącego jego miedzę, to spasającego mu najlepsze siano na łące, to czyhającego na jego chudobę.

Przewracał się po pościeli, a nawet zrywał z niej, aby pochwycić w swe dłonie znienawidzonego przeciwnika i kości mu połamać. — Uspokoiwszy się na chwilę, znowu powracał do dawnych zwidzeń. Pomiędzy jednym snem a drugim snuł plany postępowania. Czuł, że dłużej tego wszystkiego nie ścierpi, że raz musi z tem skończyć. — I wśród takich chwilowych przebudzeń ułożył plan, zdaniem jego doskonały. Oto zasadzi się w stodole którego wieczora, może jutro nawet a skoro zobaczy przechodzącego Bartłomieja, poczęstuje go śrótem z dubeltówki... Nie kulką, boby mógł zabić na miejscu, ale śrótem, gdyż wtedy nie zczeźnie, a wylizawszy się, popamięta do śmierci, co to znaczy z Onufrem zaczynać.

Ułożywszy plan cały, dopiero zasnął spokojnie.

Nazajutrz, podczas gdy Jagusia chodziła jakaś zadumana i łzy rękawem ocierała, Onufry był pełen dobrej myśli, a nawet czasami podśpiewywał wesoło. Kogo innego byłby może w błąd wprowadził, ale Jagusia znała ojca dobrze, więc przeczuwała, że knuje coś złego. Starała się odgadnąć, coby to mogło być takiego, lecz na nic były wszelkie jej domysły. Postanowiła więc przy najbliższej sposobności powiedzieć o tem Antkowi i z nim się naradzić, jakby zamysłom ojca przeszkodzić. Nie mogła tego jednak wcześniej uczynić, jak chyba wieczorem, gdy Antek będzie wracał ze dworu z roboty, do którego chodził robić drzwi i okna do nowo budującego się pałacu. Był bowiem doskonałym stolarzem.

Kiedy więc miało się ku wieczorowi, Jagusia zarzuciła chustkę na ramiona i wysunęła się z izby. Onufry ani jej nie przeszkadzał, ani nie pytał, dokąd idzie. Owszem był zadowolony, że się oddaliła, bo teraz mógł przystąpić do wykonania swego planu. Popatrzywszy oknem i stwierdziwszy, że Jagusia odeszła już dość dalego od chaty, przyniósł z komory dubeltówkę, poszukał prochu i śrutu i jął nabijać strzelbę. Gdy już było wszystko gotowe, zarzucił płaszcz na ramiona, a ukrywszy pod nim strzelbę, wyszedł z chaty.

Ostrożnie przebiegł kilkadziesiąt kroków, rozdzielających chatę od stodoły, a przekonawszy się, że go nikt nie widzi, wsunął się na boisko. Tu przystanął przy drzwiach, wybiegających ku drodze i czekał z zapartym tchem.

Drogą przechodzili różni ludzie, wracający to z pola z roboty, to spieszący do sklepu Kółka rolniczego po towary, to powracający zeń. Onufry czekał jednak na jednego, na swego przeciwnika Bartłomieja, który również tędy musiał przechodzić, gdyż tak, jak syn, chodził do dworu, gdzie pracował przy budowie, jako cieśla. Upływały minuty, ale Bartłomieja nie było widać. Onufry jednak nie ustępował, gdyż wiedział, że innej drogi nie było do domu Bartłomiejowego.

Może upłynęło już pół godziny takiego czekania, gdy od strony dworu poczęły się zbliżać dwie postacie. Poznał je natychmiast Onufry. gdyż była to Jagusia, a obok niej Antek. Zawrzała na ten widok krew w Onufrym; w jednej chwili podniósł strzelbę do oka, lecz natychmiast ją opuścił.

— Nie, nie, nie jego mi potrzeba — szepnął. — On mi przecież nic złego nie uczynił.

— Czego ona chce od niego? — dodał po chwili.

Tymczasem młodzi zbliżali się coraz bardziej ku stodole. Antek trzymał w swej silnej dłoni zgrabną rączkę Jagusi, a ona co chwilę zwracała ku niemu wzrok, jakby o coś pytała, czy coś odpowiadała. Onufry był ciekaw, co ci dwoje ze sobą mówią. Zapomniał więc na chwilę o celu swego przybycia i zmienił się cały w słuch.

Młodzi byli już obok stodoły. Przystanęli tuż przy drzwiach.

— Biedni my, Antku, biedni, ale inaczej być nie może — mówiła Jagusia. — Tatusia mego nic nie zmieni, nic ich nie przekona. Wszelkie twoje starania, aby rodzicieli naszych pogodzić, na nic się nie zdadzą. Ale nie trap się, bo ja ci tu ślubuję uroczyście, że niczyją żoną nie będę, gdy ciebie nie dostanę.

— Jagna! — krzyknął Antek, podnosząc jej rękę do ust. — Jagna, takim ci wdzięczy za to kochanie, taki wdzięczny... I powiadam ci, choćby mi do starości przyszło czekać na ciebie, to innej nie pojmę.

— Takiś to zacięty? – próbowała uśmiechnąć się Jagna. — Lecz dziś mi nie o to idzie. Dziś umyślnie wyszłam, aby cię przestrzedz, że mój tatuś zamyśla coś złego uczynić twojemu. Sama nie zaradzę... Będę pilnowała tatusia, aby się nie dał skusić dyabłu, ale ty bacz na swego.

— Jezus, Marya! Coby to było, gdyby tak który porwał się na czyn zły?... Grzech śmiertelny, a dla nas hańba wieczna... — dodała, gdy Antek nic nie odpowiadał.

— Życiebym dał własne, żeby ich pogodzić — odezwał się po chwili Antek — życiebym dał...

Chciał coś jeszcze rzec więcej, gdy nagle otwarły się drzwi stodoły i stanął w nich Onufry. Ręce mu drżały, nogi uginały się pod nim. Wyciągnął ramiona przed siebie, ale czas dłuższy nie mógł przemówić słowa. Wreszcie jakimś zmienionym głosem, jakiego młodzi nigdy przedtem nie słyszeli, zawołał:

— Dzieci moje, niech was Bóg błogosławi! Słyszałem wszystko i teraz dopiero poznałem złość swoją. Dzieci moje, uczynię wszystko, abyście były szczęśliwe. A zacznę od tego, że jeszcze dziś, gdy tylko Bartłomiej wróci z pracy, pójdę do niego i poproszę o przebaczenie wszelkich uraz. Przemówcie za mną, a on mi daruje i będziemy odtąd żyć ze sobą w zgodzie, jak winni żyć sąsiedzi.

Z dawnych czasów.

Pomimo większej chciwości na majątek dziś, aniżeli dawniej mniej jednak mamy nazw na oznaczenie tego, co od drugich otrzymujemy, niżeli mieli nasi przodkowie. Dla nas są znane zaledwie takie wyrażenia, jak: posag, spadek, a zapomnieliśmy o dawnych, powszechnie wyrażanych słowach, jak: gierarda, hergewet, wiano, dziedzictwo itp.

Najdłużej, bo do czasów obecnych, utrzymała się nazwa posagu. Jak wiadomo, jest to dar, jaki przy ślubie żona wnosi mężowi do domu. Posag miał służyć w myśl naszych przodków „ku znoszeniu i pociesze przypadłych ciężkości w małżeństwie“. Obecnie pod nazwą posagu rozumiemy również majątek, jaki wnosi żona mężowi na nowe gospodarstwo.

W niektórych okolicach posag nazywają wianem. Jest to jednak błędna nazwa, gdyż wiano był to dar, do którego mąż zobowiązywał się wobec żony przy ślubie. Żona mogła się o wiano upominać jeszcze za życia męża, gdyby ten prowadził był utracyuszowskie życie, co mogłoby było zagrażać utrzymaniu jej i dzieci. Z reguły wiano należało się żonie zawsze po śmierci męża. Były jednak powody, na podstawie których żona mogła utracić prawo do wiana, „jeśliby jaką przewrotność albo zdradę przeciw Rzeczypospolitej okazała, przeciw państwu, zwierzchności swojej co radziła, albo porozumienie miała, jeśliby też za żywota męża świętość małżeństwa dobrowolnie złamała, na cudzołóstwie złapana była, nadto jeśliby mężowi o gardło stała lub w podobnym wypadku nie przestrzegła go. Jeśliby, krom przyzwolenia mężowego, z innym biesiady stroiła, z obcymi się w łaźni myła, albo w wannie kąpała, społeczność z nieuczciwymi miewała, na miejscach nieuczciwych przy grach przebywała; jeśliby jej w domu przez noc nie było, alboby się kiedy niepoczciwie zabawiła. Z tych przyczyn niewiasta wiano straci“.

Jak widzimy, były to przepisy dość ostre, ale przecież słuszne.

Dzisiejszy spadek nazywano dawniej dziedzictwem. Prawo spadku przechodziło po największej części na najstarszego syna, podczas gdy inni, stosownie do majątku, otrzymywali mniejsze lub większe spłaty. Przyczyny do wydziedziczenia dzieci były najrozmaitsze, a więc:

1. Jeśliby się syn targnął na rodziców i bił ich.

2. Jeśliby im krzywdę wielką uczynił.

3. Jeśliby im na gardło nastawał w sprawie, którаby nie była przeciw królowi, albo Rzeczypospolitej.

4. Jeśliby się zadawał ze złoczyńcami, albo się około czarnoksięstwa lub czarów bawił.

5. Jeśliby ojca zdradliwie chciał otruć.

6. Jeśliby z macochą albo miłośnicą ojcowską miał złączenie.

7. Jeśliby syn ojca oskarżał, tak, iżby go swoim oskarżeniem w wielkie szkody przywiódł, albo jeśliby rodzice z jego utracania wielką szkodę ponieśli.

8. Jeśliby syn ojca z więzienia rękojemstwem wedle możności swojej nie wyzwolił, choćby się rękojemstwo na osobę ściągnęło, choć na dług; a to tylko do synów, nie do córek należy.

9. Jeśliby ojcu wzbraniał, aby jałmużny nie dawał, albo testamentu nie czynił.

10. Jeśliby, prócz woli rodziców, z graczami, z błazny, z ludźmi lekkimi towarzyszył i w tym trwał, wyjąwszy, by sami rodzice takimi byli.

11. Jeśliby ojcu bronił córki za mąż wydać wedle możnej majętności swojej, i owszem i córka, jeśliby ją ojciec za mąż chciał dać, a ona się tego wzbraniała, a na cielesność się udała, ma być wydziedziczona. A jeśliby jej rodzice do 25 lat nie wydali, a stąd się snać na swą wolę udała, albo też jeśliby bez przyzwolenia rodziców za dobrego człowiega szła, to jej nie ma być ku niewdzięczności poczytano, albowiem ona się tego za winą rodziców dopuściła.

12. Jeśliby syn heretykiem, to jest odszczepieńcem od Kościoła katolickiego był.

13. Jeśliby zabiciu swych rodziców nie zapobiegł.

14. Jeśliby mienie za żywota rodziców posiadł. Albowiem niegodna jest, aby ten temu dobra zostawić miał, od kogo jest przedtem obrażon.

Przytoczyliśmy dawne przepisy w języku, w jakim były spisane, aby okazać całą ich powagę. Dodać należy, że wiele z nich przydałoby się zastosować i dzisiaj, aby pohamować rozpasanie naszej młodzieży.

Gierarda, był to majątek, pozostały po śmierci matki, a który ona jako wyprawę, idąc za mąż, otrzymywała. Liczono więc do niej wszystkie szaty niewieście, sukna i płóta ku ubiorowi niewieściemu przykrojone, które zwykle były własnością kobiet. Do gierardy liczono nadto książki, na których się matka modliła; gęsi, kaczki, kury, owce itp. zwierzęta, około których matka przy gospodarstwie się krzątała.

Spadek gierardy szedł w podział na córki, niewyposażone jeszcze i w domu pozostałe, a w braku dopiero córek brała gierardę najbliższa krewna. Gdyby jednak był w domu syn, któryby był klerykiem, to wtedy jemu a nie krewnej należała się gierarda.

Hergewetem nazywały się rzeczy, do wyprawy wojennej ojcu służące, które po śmierci rodziciela dla synów pozostawały, a do których córki żadnego prawa nie miały. Spadek hergewetów szedł

tym porządkiem, że najstarszy z synów brał miecz, resztą zaś wszyscy inni synowie się dzielili. Gdy nie było synów, dopiero dziedziczyła córka.

Do hergewetu należały: miecz, koń dobry osiodłany, tarcza, zbroja co lepsza, na jednego człowieka, którą za żywota swojego miał, sząty powszednie, pościel wojenna, to jest łóżko z poduszką, dwa prześcieradła, miednica, obrus jeden, ręcznik, kocieł jeden, albo temu coś podobne. Rzemieślnicy i mieszczanie, którzy zbroi nie mieli, pozostawiali, jako hergewet, coś ze swoich narzędzi, albo jakikolwiek inny przedmiot.

Jak wiele innych rzeczy, tak i te wszystkie spadki czy darowizny poszły w niepamięć, a jeśli z nich które się utrzymały, to przepisy, przywiązane do nich, bądź zupełnie znikły, bądź też zostały zastąpione innemi przepisami. A szkoda, bo wiele z nich dzisiajby się przydało dla naszych córek i synów. Iluż to bowiem jest takich wyrodków, którzy starego ojca za nic mają, poniewierają nim, czekając, rychłoli oczy zamknie, aby się spuścizną po nim dzielić. Dawne prawa pod grozą utraty spadku nakazywały cześć dla ojca i staranie o nim. Odwodziły młodych ludzi od złych czynów, a jeżeli w nie popadli, to prawo je karało utratą spadku.

Taksamo prawo brało męża w obronę przed lekkomyślnem życiem żony i nawzajem, a jeżeli mu już całkiem zapobiedz nie zdołało, to przynajmniej ograniczało do najmniejszych rozmiarów.

Dziś takie prawa są prawie niemożliwe, bo gdyby kto wystąpił z projektem zaprowadzenia ich, okrzyczanoby go, jako wstecznika i zacofańca. A powiadamy, szkoda tych praw dawnych, gdyż przy ich zastosowaniu moglibyśmy uniknąć niejednego złego.

Dawne przypowieści.

Dwa razy żona męża biła: raz że ogórki łupił, drugi raz, że jabłek nie łupił.

*

Dla przyjaciela najlepiej kukiełkę kupić, bo jeśli mu się nie spodoba, tedy ją sam zjesz.

*

Furman w złym razie, odrzeka się stanu swojego, a przyjechawszy na nocleg, znowu wóz smaruje.

*

Gdzie miło tam oczy, gdzie boli tam ręce.

Zaczarowana łania.

(Bajka).

Było to dawno, bardzo dawno, że ani najstarsi ludzie nie pamiętają owych czasów, kiedy to jeszcze na tej ziemi, gdzie my obecnie żyjemy, rozciągały się olbrzymie lasy, pełne zwierza dzikiego i ptactwa najrozmaitszego. — W czasach owych nie było ani takich wsi, ani miast, jak obecnie, lecz ludzie żyli rozproszeni w pojedynczych osadach leśnych, trudniąc się przeważnie polowaniem na grubego zwierza. Tak żyli kmiotkowie ówcześni, tak samo żyli rycerze, którzy jeno tem różnili się od pospólstwa, że mieszkaniem ich były obszerne i obwarowane dworki, z których czynili wyprawy na grubego zwierza, a jeszcze częściej na najbliższych sąsiadów.

Takim myśliwcem-rycerzem był Sławko, młodzieniec-jedynak, mieszkający w dostatnim dworku wśród czarownego uroczyska. — Sławkowi na niczem nie zbywało, a jeno nie miał mu kto osładzać samotnych chwil życia, gdyż pomimo stosownego wieku nie znalazł dotychczas odpowiedniej połowicy, któraby z nim dzieliła smutki i radości życia. Ale jakżeż mu było znaleźć coś odpowiedniego dla siebie, kiedy poddanki z pośród służebnych brać nie chciał, a w sąsiedztwie żony szukać nie mógł, albowiem z sąsiadami swymi był ciągle na wojennej stopie z powodu częstych wzajemnych najazdów. Zresztą, o ile mógł znać najbliższe dziewice, nie było między nimi godnej, którejby mógł żywot swój poświęcić.

Aliści pewnego razu zdarzyło się, że do borów tamtejszych zjechał na łowy król i władca całej ziemi wraz z dworem i rodziną. Myśliwcy-rycerze zaniechali sporów wzajemnych i pospieszyli na dwór królewski towarzyszyć monarsze w jego łowach. Tam dopiero spotkał to, o czem marzył od najwcześniejszej młodości. Wśród dziewic o przecudnej piękności była jedna przewyższająca je wszystkie krasą i wdziękiem. Podobną była raczej do jakiegoś zjawiska nadziemskiego, a nie do zwykłej istoty z krwi i kości.

Na jej widok Sławko zapłonął taką ognistą miłością, że od owej chwili ani jadło, ani polowanie, ani sen mu nie smakowały. Godzinami całymi błądził po leśnych ostepach i marzył o cudownej królewnie. A gdy powracał do namiotów królewskich, usiłował za wszelką cenę zbliżyć się do wybranki swojego serca i dać jej po-

znać, co się w głębi jego uczuć dzieje. Niestety, mijały dni za dniami, a usiłowania jego pozostawały bezowocne. Aż nareszcie nadszedł dzień, w którym spełniły się jego marzenia.

Król z całym orszakiem zebranych rycerzy i dworzan wyruszył na łowy na grubego niedźwiedzia. Sławko tak manewrował, iż wkońcu udało mu się pod jakimś pozorem pozostać wśród namiotów królewskich i zbliżyć do najpiękniejszej wśród pięknych.

Królewna, zoczywszy go stojącego opartego o drzewo, przysłoniła oczy dłonią i długo wpatrywała się weń, zdziwiona również smagłością i niezwykłą urodą młodzieńca. Ośmielony tem Sławko postąpił żywo ku królewnie, a ukląkłszy na prawe kolano, rzekł:

— Sam nie wiem, kogo mam przed sobą: czy boginkę niebieską, czy nadziemskie zjawisko. To jeno wiem, że bez ciebie żyć mi więcej nie można, żem ci twój na wieki!

— Rycerzyku! Wiem ci ja, że od czasu naszego przyjazdu wzrok twój bez ustanku błądzi za mną, wiem ci ja, żeś mnie wielce umiłował. Ale jeżeli dziś z rozmysłem tutaj przyszłam, widząc, iżeś pozostał a na łowy nie ruszył, tom przyszła nie po to, aby ci nieść słowa nadziei, ale by ci powiedzieć, że twe marzenia marzeniami jedynie pozostać muszą.

Sławko, jak rumak, odrzucił głowę w tył, ręką miecz za rękojeść ujął.

— Nic tu nie pomoże odwaga, nic tu nie pomoże junactwo. — Ja bez woli rodzica z nikim żywota swojego nie zwiążę. A rodzic mój przeznaczył mnie na połowicę królowi-wdowcowi z za sinej rzeki. Ani prośby, ani płacz nie wzruszą ojca mojego, a ja muszę być posłuszną.

— Co robić, co robić? — zajęczał Sławko.

Jeszcze echo słów jego nie przebrzmiało, gdy przed młodą parą stanęła czarownica Sitnica.

— Pogardzacie, młodzi, staruchą — ozwała się — a ona jedna rady dobrej udzielić wam może.

— A więc radź! — krzyknął Sławko.

— Rada ma dobra i jedyna, ale wykonanie jej bardzo niebezpieczne, bo niepowodzenie w wykonaniu może pociągnąć dla was zgubne skutki. Albo, albo! Jeżeli ci się uda, spełnią się wasze marzenia, jeżeli nie, ja będę miała bal wówczas.

— Mów prędzej! — zawołał Sławko zniecierpliwiony, poznając z drwiącego uśmiechu czarownicy, że zamiary jej są niezupełnie przyjacielskie. A czarownica tak dalej ciągnęła:

— Królewna bez zezwolenia ojca ręki nikomu nie odda. Otóż ja przemienię królewnę w łanię. Król, pragnąc odzyskać córkę, zgodzi się na wszystko, co poprowadzi do przywrócenia jej dawnej po-

staci. Postawię mu warunek, że jeden z rycerzy, przezemnie wybrany, ugodzi łanię strzałą w samo serce, a wtedy łania przybierze z powrotem postać dziewiczą, lecz wówczas król musi oddać córkę owemu rycerzowi. Tym rycerzem będziesz ty. Ale pamiętaj, jeżeli się zgodzisz na to, gdyby ci przy strzale ręka zadrżała i nie trafiłeś od pierwszego razu, tak was obydwoje przeznaczę dla siebie na obiad.

Młodzi popatrzyli na siebie takim wzrokiem, który zamiast słów mówił, że jedno dla drugiego wszystko uczynić gotowe.



— Pogardzacie, młodzi, staruchą — ozwała się — a ona jedna rady dobrej udzielić wam może.

Jakoż stało się tak, jak pragnęła czarownica. Kiedy król powrócił z łowów, nie zastał w swych namiotach umiłowanej córki, a natomiast spostrzegł przechadzającą się gibką i zręczną łanię. Na pytania, gdzieby być mogła jego córka, nikt mu odpowiedzieć nie umiał. Dopiero czarownica Sitnica objaśniła go, że jedynaczka jest właśnie tą łanią, przechadzającą się wśród namiotów. Król zawrzał

najpierw okrutnym gniewem i chciał śmiercią karać sprawcę nieszczęścia jego córki, ale Sitnica wyjaśniła mu, że przeciwko wyższym mocom człek nie znajdzie sam w sobie żadnej rady, jeżeli mu moce nadziemskie nie pomogą. Oznajmiła mu przytem, że ona jedna może przemienić królewnę z łani w dawną dziewicę, podając przytem swoje warunki.

Król początkowo nie chciał się zgodzić na warunki czarownicy, ale widząc, że z wyższymi mocami niema żartów, przystał na wszystko i kazał szukać owego rycerza.

Nie szukano go długo. Stanął przed królem piękny, jak herubin. Monarcha, zobaczywszy go, był zadowolony, że nie byle chłystkowi zdecydował się oddać swą jedynaczkę, ale młodzieńcowi, który jej był godzien.

Sitnica podeszła do Sławka i szepnęła mu:

— Pamiętaj o warunku i strzelaj uważnie! Jeżeli trafisz w samo serce, weźmiesz ją sobie, jeżeli chybisz, zjem ciebie i ją natychmiast.

Zrozumiał młodzieniec, w jakiem trudnem znalazł się położeniu. Choć był strzelcem, jakiego może drugiego nie było w całem królestwie, mógł chybić, bo przecież strzał miał być wymierzony w serce jego umiłowanej. Obawiał się, aby mu w ostatniej chwili nie zadrżała ręka, przez co nietylkoby sam postradał życie, ale pozbawiłby go również ukochanej.

Nie było jednak wyboru. Ufny w swoją siłę i wprawę, nie wątpił, że ją ugodzi śmiertelnie. Już, już miał strzałę wypuścić, gdy w tem ręka mu zadrżała i łuk upadł pod nogi.

Sitnica z iskrzącymi ślepiami rzuciła się ku niemu. Sławko momentalnie podniósł łuk z ziemi i nim się obecni spostrzegli, przeszył ostrą strzałą piersi czarownicy, która w tej chwili przemieniła się w kałużę cuchnącej mazi.

Ale Sławko nie zwracał na to uwagi. Powtórnie naciągnął łuk, aż struna zadźwięczała i wypuścił zeń wartką strzałę. Pocisk zawarczał w powietrzu i wbił się swem ostrzem w samo serce łani.

W tym momencie ugodzona łania przemieniła się w nadobną dziewicę, która z rozpostartymi ramiony przybiegła do młodzieńca, aby mu podziękować za wybawienie z rąk czarownicy i połączyć się z nim na zawsze.

Dawne przypowieści.

Gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle.

*

Baba z wozu, koniom lżej.

Zmyslność zwierząt.

Człowiek jest panem i władcą wszelkiego stworzenia i najczęściej zdaje się mu, że nie masz nic ponad niego. Wskutek tego po największej części nie zadaje sobie trudu, aby poznać naturę i życie innych stworzeń, aby uczyć się od nich tego, w czem one człowieka przewyższają. Już widzę na ustach niejednego z czytelników uśmiech politowania po przeczytaniu słów powyższych, twierdzących, że zwierzęta w niejednem przewyższają człowieka. A jednak nie cofam mojego twierdzenia.

Aby to udowodnić, pominę potentatów świata zwierzęcego, a dam przykład na drobnem stworzeńku, jakiem jest pszczoła. Wiadomo, że dążeniem powszechnem ludzkości jest ukształtowanie życia ludzkiego na teoryach socyalistycznych, bez względu, czy one będą oparte na zasadach kosmopolitycznych, czy chrześcijańskich; czy się to będzie nazywał demokratyzm, czy liberalizm, czy jakkolwiek inaczej. Z małymi wyjątkami wszyscy pragniemy takiego ukształtowania świata, aby wszyscy ludzie byli sobie w rzeczywistości braćmi, aby jeden pracował dla wszystkich, a wszyscy dla jednego, aby na całym świecie zapanowała miłość ogólna i zgoda. Dążymy do tego, ale mało jest takich idealistów, którzyby wierzyli w spełnienie się tych marzeń. Znane bowiem jest przysłowie łacińskie, które powiada: „Homo homini lupus“, co znaczy: Człowiek człowiekowi jest wilkiem, czyli że człowiek, jeżeli tylko może, stara się szkodzić swojemu bliźniemu na każdym kroku. Tak jest, niestety, i tak będzie pomimo najpiękniejszych teoryj różnych marzycieli, boć wiadomo, że człowiek skłonniejszym jest do złego, aniżeli do dobrego.

A przecież te piękne teorye stały się rzeczywistością, ale nie u... ludzi. Przykład idealnego ustroju socyalistycznego znajdujemy natomiast u skrzydlatych żyjątek, to jest u pszczół. Kto zna życie pszczół, ten nazazdrościć się im nie może, że one potrafiły tak idealnie urządzić swą społeczność, o czem człowiek ani marzyć nie może. Kto zna życie pszczół, ten wie, że w pszczelem gospodarstwie jest tak, iż jedna pszczółka pracuje dla wszystkich swych towarzyszek, a wszystkie dla jednej; że każda z nich w obronie wspólnego dobra gotowa w każdej chwili śmierć ponieść i często bardzo ją ponosi. Każda pszczoła od świtu do nocy uwija się po kwiatkach, zbierając słodycz na wspólny pożytek, choć, żyjąc bardzo krótko, prawie nigdy z owoców swej pracy nie korzysta.

A z drugiej strony jakże ta maleńka pszczółka przewyższa przemądrego człowieka w szacunku dla swej matki i królowej. Wiadomo, że pszczoła wobec swej najwyższej władzy znajduje się z całą

rewerencyą. Ona nie odwróci się do swej matki tyłem, ale owszem zwykłe pracownice otaczają ją przez dzień cały, zwrócone ku niej główkami, gładząc jej tułów i skrzydełka i za zaszczyt sobie mają, gdy królowa od której z nich przyjmie pożywienie.

A królowa-matka nawet nie rządzi nimi. Pszczoły rządów, ani rozkazów nie potrzebują; one same własnowolnie wykonują wszelką pracę; matka tylko panuje nad nimi i króluje im. A mimo to, skoro ją utracą, powstaje wśród nich żal nie do opisania; powstaje w ulu jęk i płacz żałośliwy, ustaje wszelka praca, zalega powszechna żałoba. I mimowoli na samą myśl o tem przychodzi porównanie człowieka z pszczołą. Jakże mu daleko do tego!

Kto chce stać się prawdziwym socyalistą, nietylko z nazwania, ale z czynu, kto chce uszlachetnić sam siebie i społeczeństwo, niech nie szuka błędnych teoryj w dziełach, pisanych przez ludzi, ale niech bada życie pszczół i naśladuje je, a stanie się człowiekiem, którego nie potępi ani Kościół, ani żaden człowiek rozumny.

A jeżeli pszczoły mają stanowić wzór życia ludzkiego, to nie można im zaprzeczyć posiadania jakiegoś instynktu, jeżeli nie przewyższającego rozum ludzki, to w każdym razie posiadającego jakąś odmienną własność, której człowiekowi brak.

Może być, że inne zwierzęta nie dorównują pod tym względem pszczole, ale i one posiadają pewną dozę zmyślności, która może dać człowiekowi wiele do myślenia.

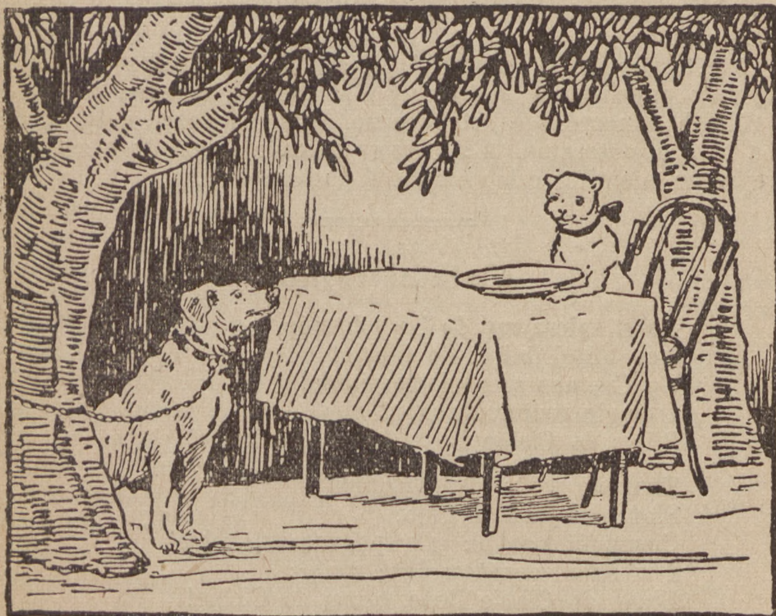
Nie chcę tu przytaczać rozlicznych przykładów na udowodnienie, że zwierzęta posiadają coś, co wprawdzie nie da się nazwać rozumem w ścisłem tego słowa znaczeniu, co jednak może zadziwiać i zastanawiać badacza życia zwierzęcego. Z opisów i własnych spostrzeżeń znamy tyle przykładów zmyślności zwierząt i ich pojętności, że zadalekoby nas to zaprowadziło, gdybyśmy chcieli przytaczać dowody na istnienie jakiegoś specyalnego zmysłu u zwierząt. Że pojętność u tych stworzeń jest nieraz zdumiewającą, przytoczę fakt, jaki zdarzył się mi widzieć przed kilkunastu laty w pewnym teatrzyku we Lwowie.

Otóż przyjechała tam w towarzystwie gromady psów i kotów pewna artystka, aby dać szereg przedstawień, polegających na zmyślności tych zwierząt. Pomimo, że od tej chwili lat kilkanaście upłynęło, produkcye jej, a właściwie jej psów i kotów po dziś dzień stoją mi żywo w pamięci, i nieraz przytaczam je, jako dowód wysokiej „kultury“ tych stworzeń.

Wśród licznych numerów programu, jakie obserwowałem wówczas, jeden szczególniej utkwił mi w pamięci. Oto scena przedstawiała ładny ogródek kwiatowy, wśród którego stał stolik niewielki w otoczeniu kilku krzeseł. Do drzewa, rosnącego po jednej stronie

sceny, był przywiązany na łańcuchu olbrzymi pies, po drugiej stronie sceny siedział mały, biały kotek, przewiązany czerwoną wstążeczką.

Po podniesieniu się kurtyny weszła na scenę artystka i usiadła przy stoliku, nakrytym do obiadu. Na odgłos dzwonka na dwóch łapkach, w czerwonym fraczku wszedł piesek, spozierając posłusznie w stronę swej pani. Artystka poleciła mu, aby jej przyniósł kawałek pieczeni. Piesek, jakby zrozumiał polecenie, skinął łebkiem i oddalił się poza kulisy. Wnet jednak powrócił, niosąc na łapkach ta-



Do drzewa, rosnącego po jednej stronie sceny, był przywiązany na łańcuchu olbrzymi pies, po drugiej stronie sceny siedział mały, biały kotek, przewiązany czerwoną wstążeczką.

lerz z apetytnym kawałkiem mięsiwa. Podawszy swej pani talerz, oddalił się z powagą za kulisy. Aliści artystka spostrzegła, że brak jej do spożycia posiłku widelca i noża. Dzwoni niecierpliwie na niesfornego lokaja, ale gdy ten nie przybywa, rozgniewana wychodzi sama po niezbędne nakrycie.

Wtedy następuje scena prawdziwie dowcipna. Oto pies łańcuchowy wysuwa zręcznie głowę z łańcucha, zbliża się ostrożnie ku stołowi i najspokojniej zjada pieczyste. Po skończonym jednak po-

siłku spostrzega, że cała odpowiedzialność i kara za popełniony czyn może spaść na niego. Aby tego uniknąć, podchodzi do Bogu ducha winnego kotka, ujmuje go delikatnie za opasującą go wstążeczkę i sadza na stole obok talerza. Sam zaś najspokojniej powraca na dawne miejsce, wsuwa głowę w obrożę i oczekuje bez obawy powrotu swej pani.

Jakoż artystka powraca niebawem. Zobaczywszy siedzącego kotka obok pustego talerza, nie wątpi nawet, kto był sprawcą złego uczynku. Kot dostaje parę klapsów za niepopełniony czyn, podczas czego oblizujący się jeszcze pies uśmiecha się złośliwie z głupoty ludzkiej.

Nie trzeba chyba dodawać, że podobną komedyę zwierzęta te odgrywały niezliczoną ilość razy i że długich ćwiczeń trzeba było, aby ról ich nauczyć, ale już to samo, że się nauczyć dały, dowodzi chyba tego dostatecznie, iż zwierzęta posiadają dużą dozę zmyślności, którejby im niejeden człowiek mógł pozazdrościć.

Ostatni Hymn.

Boże, spieszymy do Twych stóp,
Ach bliżej, bliżej do Ciebie!
Do Cię nas wznosi cierpienie!
I ciągle rozbrzmiewa pienie:
Bliżej do Ciebie Boże, bliżej do Ciebie!

Znużone wędrówką dzienną
Słońce zapada w głąb:
Ciemność naokół: tak spocznę w grobie!
I w śnie pogrążon dążę wciąż:
Bliżej do Ciebie Boże, bliżej do Ciebie!

Patrz, tam droga wiedzie w niebiosa!
Cokolwiek ześlesz mi
Przyjmę, och zawsze wdzięczen Ci,
Anieli wołają mnie.
Bliżej do Ciebie Boże, bliżej do Ciebie!

Zdania i myśli.

Zapomnij błędów bliźnich, gdy jesteś z bliźniemi.
A kiedy sam zostaniesz — rozmyślaj nad twemi;

Młodzi bohaterowie.

(Powiastka na tle wojny światowej).

Ucieczka na wojnę.

Jurek już od małego dziecka lubił czytywać ogromnie książki, szczególniej takie, w których były opisy bitew, rycerskich pochodów i wogóle życia żołnierskiego. A już za powieściami Sienkiewicza poprostu przepadał. „Ogniem i mieczem“, „Potop“ i „Pana Wołodyjowskiego“ przeczytał najmniej po dziesięć razy. A jak on to czytał! Nie tak, jak to czyni przeciętny człowiek, który po każdem zdaniu ziewnie, który po przeczytaniu kilku kartek, książkę odkłada, aby ją wziąć do ręki dopiero po kilku dniach znowu.

Jurek żył razem z bohaterami powieści, działał z nimi, płakał z nimi i cieszył się z nimi. Gdy raz późno w noc przy bladem świetle lampki czytał barwny opis burzy, mimowoli sięgnął po parasol i rozpostarł go nad sobą. Kiedy indziej znowu, czytając opis, jakto pułkownicy rzucali swe buławy pod stopy księcia Radziwiłła, porwał kałamarz ze stołu i rozstrzaskał go u podstaw pieca. W profesorze do historyi naturalnej widział Zagłobę i wszystkie jego powiedzenia brał ze strony humorystycznej, to też choć z innych przedmiotów stał zawsze dobrze, z naturalnej nie mógł sobie dać rady i często piątki obrywał.

Trapili się tem zachowaniem syna jego rodzice, obawiając się, aby ta nadzwyczajna wrażliwość nie zwichnęła chłopcu życia.

Obawy ich sprawdziły się wcześniej, niż się spodziewali. Oto zaraz w początkach sierpnia 1914 roku, gdy nadeszła wieść o formujących się oddziałach Piłsudskiego do ciężkiej walki z Moskalem, Jurek znikł z domu. Rano znaleźli rodzice tylko list na biurku, donoszący im, że Jurek, obawiając się, aby mu rodzice nie czynili przeszkód, opuścił dom rodzicielski po cichu i udał się na plac boju. Dokąd pojechał, nie wspominał nic, dodał tylko, że powróci znów, jako bohater, albo nie powróci wcale. Pod listem podpisał się: Jurek Kmicic rzeszowski, jako że mieszkał z rodzicami w Rzeszowie, gdzie ojciec jego był urzędnikiem.

Jurek, oprócz listu do rodziców, pozostawił jeszcze list do córki profesora W., Sławci, w którym zawiadamiał ją, że podczas walk, na które idzie, jej imię przyświecać mu będzie na każdym kroku, że

pamięć o niej zachowa na zawsze, a jeżeli kiedyś powróci, to wawrzyny swe i serce złoży u jej stóp.

Ucieczka Jurka nietylko zasmuciła jego rodziców niepomiernie, ale zdziwiła jeszcze bardziej, gdyż chłopak był wątły, liczył dopiero lat szesnaście, więc nie przypuszszali, aby się odważył na czyn tak szalony, żeby iść z względnych wygód na nieznaną tułaczkę, na trudy i cierpienia. Mieli tylko tę nadzieję, że wątłego chłopaka nigdzie nie przyjmą, i że lada dzień, jak tajemniczo uciekł, również tajemniczo powróci. Najbardziej jednak dziwiła się panna Sławcia, która Jurka zaledwie kilka razy widziała zdaleka, a nigdy w życiu z nim nie rozmawiała. Co prawda, to i Jurek również prawie jej nie znał, a cała znajomość ograniczała się do spotykania jej na ulicy, gdy ona spieszyła do szkoły, a on szedł do gimnazyum. Dla wyjaśnienia trzeba bowiem dodać, że Jurek był uczniem szóstej klasy gimnazyalnej, a Sławcia uczęszczała zaledwie do trzeciej wydziałowej.

Sławcia, choć Jurka nie znała prawie zupełnie, przyjęła list całkiem poważnie, tembardziej, że było to w jej życiu pierwsze wyznanie miłosne, wystosowane pod jej adresem. I choć wobec rodziców udawała zagniewaną na Jurka, to przecież w głębi duszy postanawiała sobie kochać go wiecznie, to jest do czasu, póki od kogoś innego podobnych słów nie usłyszy. I ona spodziewała się również, że Jurek lada dzień powróci, ale powrót ten dla niej nie byłby najmniejszą przyjemnością, gdyż cały urok tej niecodziennej miłości musiałby wówczas zniknąć dla niej, była bowiem pewną, że Jurek po powrocie nietylkoby jej nie powtórzył swych wyznań miłosnych, lecz zapewne starałby się jej unikać wszelkimi sposobami.

Ku jej jednak prawdziwemu zadowoleniu Jurek nie wracał, choć już upłynęło kilka tygodni, a wywiady ojca, co się z chłopakiem dzieje, poszukiwania w Krakowie, gdzie się formowały Legiony, nie doprowadziły do niczego: chłopak znikł, jak kamfora.

Wobec tego matka Jerzego już opłakała stratę jedynaka, ojciec zaciął się w sobie i nie chciał ani słyszeć, aby mu wspominano o „niewdzięcznym“ chłopaku.

Zresztą na wszystkich przyszły nowe strapienia. Oto ze wschodu z dniem każdym przychodziły coraz smutniejsze wiadomości; po upadku Lwowa i oddaniu go Moskalom dochodziły słuchy, że nieprzyjaciel jest już pod Przemyślem, a wreszcie na ulicach Rzeszowa ukazały się rozbite masy wojsk austryackich. Kto mógł i gdzie mógł, uciekał przed Moskalami. Do ich liczby należeli rodzice Jurka i profesorstwo. W. wraz ze Sławcią. Nie uciekali jednak daleko; zatrzymali się, jak mogli najbliżej, to jest w Krakowie.

Urzędnicy i profesorzy podostawali wkrótce zajęcia w krakowskich biurach i szkołach, zaś młodzież starała się znaleźć pracę w rozmaitych instytucyach humanitarnych. Sławcia zgłosiła się, jako

pielęgniarka chorych i rannych, i została przyjęta do jednego z szpitali krakowskich.

Jakkolwiek jeszcze bardzo młoda i wątła, spieszyła codziennie do szpitala, gdzie podawała chorym żołnierzom lekarstwa, przewijała im rany, lub czytała głośno gazety i zajmujące opowiadania. Żołnierze lubili ją bardzo i czekali z upragnieniem, kiedy ich jasna panienka się zjawi i rozświetli im swą obecnością długie godziny męki.

Sławcia miała szczególny dar rozweselania ludzi. Sama usposobienia pogodnego, rozweselała samą swą obecnością wszystkich, z którymi się tylko spotykała. Ranni i chorzy lubili ją tembardziej, że spełniała chętnie wszystkie ich życzenia, słuchała cierpliwie nieraz nudnych i długich opowiadań. A nietylko słuchała, ale i pytaniami je wywoływała. Spodziewała się, że może gdzieś kiedyś, dowie się coś o Jurku. Bo jakkolwiek uczuć jej nie można było nazwać miłością wobec Jurka, to przecież to, że on ją z pomiędzy wszystkich wybrał, że do niej a nie do żadnej innej napisał list pożegnalny, imponowało jej i budziło w młodem serduszku dziewczęcia dużo wdzięczności dla chłopaka, który w ostatniej chwili o niej jeszcze myślał.

Kobieta prędzej dojrzewa, aniżeli mężczyzna. Są mężczyźni, którzy w trzydziestej „wiośnie“ życia nie rozumieją jeszcze miłości, natomiast prawie każda kobieta, gdy tylko przestaje być dzieckiem, pojmuje miłość i rozumie ją. Prędzej rozumie miłość, choć rzadziej pozwala się jej owładnąć; ona przeważnie kocha i liczy, gdy natomiast mężczyzna pod pierwszem wrażeniem miłości gotów nawet na największe głupstwo. Dlatego też częściej mężczyźni zawierają związki małżeńskie z miłości, aniżeli kobiety. Tak i Sławcia: ona nie kochała jeszcze Jurka, gdyż go prawie nie znała, a już rozumowała.

A z jej rozumowania wynikało, że przecież to wszystko możliwe. Co miało znaczyć owo to, nad tem jeszcze się nie zastanawiała; czy miała to być tylko miłość, czy może małżeństwo kiedyś.... Rozumowania jej zdążały tylko do tego, czy ten stosunek jej do Jurka kiedyś się pogłębi, czy wrazie spotkania powiedzą sobie coś więcej nad to, co Jurek w liście napisał, czy wogóle ta nić wiotka, wiążąca obecnie ich młode istnienia, utrwali się kiedyś i przybierze jakieś konkretniejsze kształty. I rozum odpowiadał jej: Tak!

Sławcia odczuwała przepotężną władzę oddalenia i na niej opierała swoje kombinacye, a przez rozmyślania te coraz bardziej sama wyrabiała w sobie miłość ku prawie nieznanemu chłopcu.

Dziwne spotkanie.

Tak upłynęło kilka tygodni.

Pewnego jesiennego wieczoru wracała Sławcia, jak zwykle,

z szpitala do domu. Przechodziła właśnie ulicą Długą, gdy w jednej z bram zamajaczyła jakaś ciemna postać żołnierska. Przyzwyczajona do niesienia pomocy tym biednym z najbiedniejszych, jakimi byli żołnierze, nie zważała na to, czy to wypada, czy nie wypada, aby „porządna“ panienka zaczepiała żołnierza na ulicy, przystąpiła do nieznanej postaci

— Co wam to, mój przyjacielu — zapytała. Żołnierz podniósł na nią zmęczony wzrok, lecz nic nie odpowiedział. Dopiero, kiedy powtórzyła pytanie, odrzekł:

— Wydarliśmy się Mochom ledwo z życiem... Z pod Dęblina idę... Towarzysze poszli przedem, ja nie zdążyłem... Nie wiem, gdzie ich szukać...

— Czy wy z Legionów?...

— Oczywiście...

— W takim razie pójdźcie ze mną. Rodzice moi wam pomogą... Odszukamy waszych... – mówiła Sławcia, sama właściwie nie wiedząc, dlaczego to uczyni.

Żołnierz nie opierał się, boć żołnierzowi wszystko jedno, kto się nim zaopiekuje, gdzie będzie spał, ale myśli tylko o tem, aby dzień dzisiejszy przepędzić, a jutro będzie, co Bóg zdarzy...

Sławcia podprowadziła żołnierza do przejeżdżającego właśnie tramwaju, zapłaciła bilet i pomogła usiąść na ławce. Nie zastanawiała się nawet nad tem, kogo ma przed sobą, stary to czy młody, jej wystarczało, że był to żołnierz polski, prawdziwie polski, z garstki tych, którzy prawie z gołymi rękami porwali się na milionową armię rosyjską. Zresztą choćby się i zastanawiała była, to niewiele zdołałaby wywnioskować. Twarz żołnierza, tak, jak całe ubranie, była zabłocona i znać było, że od kilku dni conajmniej nie widziała wody, ubranie podobne było raczej do jakiejś bezkształtnej szmaty, wyciągniętej z przydrożnej kałuży, z butów wyglądały ciekawie końce palców.

Sławcia namyślała się tylko nad tem, co powie rodzicom, przyprowadziwszy na noc nieznanego gościa. Nie wiedziała, jak czyn jej przyjmą. Spodziewała się jednak, że nie odmówią pomocy nieszczęśliwemu, a ona... choć potem dostanie porządną burę, to będzie... przepadło.

Tramwaj zatrzymał się na Starowiślnej, przy której mieszkali rodzice Sławci,

— Wysiadamy! — szepnęła panienka i chciała pomódz wstać żołnierzowi. Ten jednak nie spieszył się z wstawieniem, a gdy go wzięła popod rękę, uczuła, że drży cały.

— Wysiadajmy prędzej – przynaglała. — Nasz dom niedaleko, dojdziemy, tam się rodzice wami zaopiekują...

Żołnierz podniósł się z ławki i dał poprowadzić litościwej pa-

nience. Gdy się jednak znaleźli przed bramą mieszkania, przystanął i szeptał:

— Nie, nie! Ja nie mogę pójść z panią. Pani nie wie, ktom ja jest... Ja sobie gdzie indziej poszukam...

Próbował nawet oddalić się, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa: osunął się i padł u stóp zrozpaczonej panienki.



— Co wam to, mój przyjacielu — zapytała.

Sławcia nie wiedziała, co ma począć, gdy w tem z przeciwnej strony ulicy nadszedł ojciec:

— Co się tu dzieje? — zapytał, widząc córkę pochyloną nad jakimś zabłoconym żołnierzem.

— Ach to tatuś! Jak to dobrze, że tatuś właśnie nadszedł!... Jakiś biedak zasłabł i zemdlał... Pomoże mi tatuś, zaniesiemy go na górę...

— A możeby po wóz ratunkowy?...

— Nie, nie! — zadpanowała Sławcia. — Przecież to żołnierz polski, to nie można tak!...

Ojciec nie sprzeciwiał się jedynaczce i wkrótce nieszczęśliwy znalazł się w mieszkaniu profesora.

Profesorowa, jakkolwiek zdziwiona mocno niezwykłem zdarze-

niem, bez słowa zapytania okryła sofkę prześcieradłem, na której złożono chorego. Po niedługich staraniach omdlały odzyskał wprawdzie przytomność, ale prawie w tej samej chwili zasnął znowu, jak kamień.

— Niech śpi! — szepnął profesor. — Sen jest najlepszem lekarstwem. Jutro się obmyje i oczyści.

Sławcia nie odzywała się nic z obawy, aby jej rodzice nie czynili wymówek, że nabawiła ich niepotrzebnego kłopotu. Wprawdzie jutro dowiedzą się, że ona ściągnęła pod ich dach nieznajomego, ale za ten czas oswoją się z jego pobytem i jakoś wszystko gładziej pójdzie. Ojciec, przypuszczając, że to zwykły przypadek sprowadził ich obydwoje w chwili, gdy żołnierz upadł przed ich progiem zemdlały, o nic nie pytał. Udano się więc na spoczynek, pozostawiając tylko przy śpiącym zaświeconą lampę i garnuszek mleka, aby się miał czem pokrzepić wrazie przebudzenia.

Ale żołnierz spał, jak zabity, aż do samego południa. Przebudził się dopiero, gdy już tak Sławcia, jak i profesor powrócili do domu na obiad. Właśnie obydwoje byli w pokoju, w którym leżał. Żołnierz przetarł zaspane oczy, wyprostował członki i podniósł się nieco na łokciach.

— Gdzie jestem? — zapytał.

— U swoich, u dobrych przyjaciół — tłómaczyła Sławcia, nie wiedząc, co ma na razie rzec.

Chory tymczasem zerwał się z kanapy, ujął leżącą obok czapkę, a przypomniawszy zapewne przejścia dnia poprzedniego, rzekł:

— Darujcie państwo, żem wam tyle kłopotu sprawił... Darujcie i żagnajcie... Ja odejść muszę... muszę...

Zachowanie się to żołnierza zaciekawiło bardzo profesora, ale tembardziej postanowił go teraz nie puścić.

— Nie, nie! Ja na to nie pozwolę, abyście tak odeszli... Musicie się obmyć i nieco odczyścić... Po obiedzie zrobicie, co będziecie chcicli...

— Kiedy ja nie mogę, nie chcę... — opierał się żołnierz, ale nic nie pomagało.

Profesor uparł się, a żołnierz musiał ustąpić, choć znać było, że czyni to z jakąś obawą. Mimo to poszedł posłusznie do kuchni, obmył twarz, przeczyścił szczotką obłocone ubranie i buty i po niedługim czasie stanął odświeżony w progu jadalnego pokoju.

— Jezus, Marya!... Jurek, to jest pan Jerzy... — krzyknęła Sławcia.

— Tak, to ja! Ale najmocniej państwa przepraszam, lecz ja odejść muszę... Ja nie chcę, ja nie mogę swoją osobą sprawiać wam kłopotu... Zresztą...

— Ani słowa, kawalerze — odezwał się profesor. — Listy do panien umiesz pisać, a od panien uciekasz!

— Właśnie dlatego, proszę pana... właśnie... — i nie wiedział, co ma dalej mówić.

— Proszę pana, ja w sierpniu byłem dzieciuch, młokos... do dziś postarzałem się o lat parę... inaczej na świat patrzę...

— I żałuję tego, com zrobił — przerwał mu, śmiejąc się profesor.

— To jest, nie żałuję, ale się wstydzę, i dlatego proszę mi pozwolić odejść.

— Terefere kuku! — zaśmiał się znów profesor. — Jeźli już będziesz chciał pójść, to pójdziesz, ale dopiero po obiedzie, owszem pójdziemy obydwa do twoich rodziców...

— Co? Moi rodzice w Krakowie?... Nie, nigdy!... Oniby mi stawiali przeszkody przy powrocie do szeregu. Ja się z nimi przed końcem wojny nie mogę widzieć.

— A cóż ty myślisz, że ojciec twój nie kocha ojczyzny, że będzie bronił ci za nią walczyć... Mylisz się, przyjacielu! Każdemu ojcu żal rodzonego dziecka, ale któryż z ojców nie poświęciłby nawet najdroższego skarbu dla dobra własnej ojczyzny.

— Tak przekonywująco pan profesor mówi, że już posłucham chyba jego rady, jeżeli tylko panna Sławcia nie wvrzuci mnie za drzwi za mój list. Czy mi pani daruje mój żakowski postępek — zapytał, podnosząc oczy ku Sławci.

Ta odwróciła ku niemu zapłonioną twarz i wpatrzyła się weń, jakby zbadać chciała, czy to ten sam Jurek, o którym myślała prawie bezustannie od chwili owego listu. Zdawał się jej ten sam i nie ten sam. Wprawdzie rysy twarzy były te same, jakie zapamiętała, ale wydał się jej poważniejszy i więcej mężczyzną, niż był przed ucieczką do wojska. I jakkolwiek bolało ją trochę, że list swój zlekceważył, że wyparł się niejako swojego uczucia, to przecież była mu wdzięczną, że do dziecinnego postępku nie przywiązywał wagi, że określił go tem mianem, na jakie zasługiwał. Przenikliwością kobiecą stwierdziła, iż Jurek przez ten czas stał się już mężczyzną.

— Ktoby tam do takich drobiazgów wagę przywiązywał — rzekła. — Dziś poważniejsze sprawy są na porządku dziennym, nic nam więc nie przeszkodzi zasiąść przy jednym stole, jak dwoje starych przyjaciół.

— To się mi podoba! — odezwał się profesor. — Mówicie, jak dwoje starych ludzi. I zdaje mi się, że mam w tej chwili przed sobą jakiegoś jenerała i leciwą damę... Ale to wszystko nie przeszkadza, abyśmy już usiedli do stołu...

Po obiedzie profesor zapytał Jurka, jakim sposobem znalazł się

w Krakowie, a Jurek jął opowiadać, jak to po ucieczce z domu znalazł się w Krakowie. jak z początku „dziadek“ nie chciał go przyjąć do szeregów, i jak w końcu zgodził się i jak wreszcie on, Jurek, razem z innymi poszedł pod Kielce. Opowiadał tak barwnie cały przebieg kampanii, że profesorstwo ani słowem nie przerywali mu jego wynurzeń, a już Sławcia oczu z jego ust nie spuszczała, ale cała zamieniła się w słuch i porostu pochłaniała wyrazy opowiadającego.

— A odwrót z pod Dęblina — kończył opowiadanie Jurek. — „Dziadek“ lepszy od Wołodyjowskiego! Tamten miewał luźne watachy przed sobą, gdy natomiast Piłsudski szedł na tyłach całej potęgi rosyjskiej. Przed nami, za nami, obok nas waliła cała armia pod Kraków, a my, garść jeno straceńców pośród tego oceanu głów ludzkich. Przez czyste pola szliśmy przeważnie nocą, w dzień przekradaliśmy się lasami. O głodzie i chłodzie szliśmy trzy dni i trzy noce. Gdy nad nami reflektory nieprzyjacielskie rozjaśnły niebo, przypadaliśmy na ziemię, gdy obok nas przesuwał się patrol rosyjski, staliśmy bez ruchu, jak posągi. Nie uderzył bagnet o bagnet, nie zachaczył karabin o gałąź przydrożną. I tak przyszliśmy aż pod Kraków, pomiędzy forty naszej twierdzy. Wówczas dopiero poznaliśmy, że już niebezpieczeństwo minęło, że jesteśmy pod ochroną twierdzy. A choć wszyscy ledwo ruszać mogliśmy nogami, to przecież w każdem tłukło się serce z radości, bo takiego czynu nie prędko kto drugi dokona. I jeżeli dotychczas może nie wszyscy z nas kochali Piłsudskiego, jak na to zasługiwał, to od tego odwrotu nauczyli się go nietylko kochać, ale i podziwiać, jako niezrównanego wodza.

Jurek opowiadał z uwielbieniem o swym wodzu, nie wiedząc nawet, że słuchacze uczyli się odeń szacunku i miłości nietylko dla komendanta, ale poznawali wartość polskiego żołnierza i przekonywali się, że Polska, mając takich obrońców, musi powstać jaśniejąca z zawieruchy światowej.

Dobrze już było po południu, gdy Jurek z profesorem udali się do rodziców Jurkowych. Ile było radości w domu z powodu przybycia chłopca, to każdy może sobie wyobrazić, kto kiedykolwiek witał drogich sercu po dłuższej nieobecności. Cieszyli się wszyscy, a najbardziej matka Jurkowa, która miała przytem nadzieję, że chłopiec już pozostanie nadal w domu, że zaznawszy tyle trudu, więcej nie powróci do Legionów.

Przekonała się jednak wkrótce, że nadzieje jej miały spełznąć na niczem, gdyż Jurek oświadczył kategorycznie, że gdy tylko pułk odpocznie, to i on ani chwili dłużej w domu nie pozostanie. A choć matka płakała i błagała, aby pozostał, na nic się to zdało. To też, gdy przyszło wezwanie i Piłsudczycy iść mieli nad Dunajec, Jurek pożegnał rodziców i wyjechał do pułku. Niedługo znalazł się na placu boju.

W ślad za najdroższym.

Odjazd Jurka nie pozostał bez dalszych następstw. Pewnego dnia Sławcia, powróciwszy, jak zwykle, ze szpitala, podeszła do ojca i bez żadnych wstępów oznajmiła mu:

— Tatku! Ja jutro wyjeżdżam również na front.

Zdziwił się profesor tem oznajmieniem i zatrwożył. Pozwalając córce na pielęgnowanie rannych, ani nie przypuszczał, aby to mogło mieć miejsce gdzieindziej, aniżeli w Krakowie, wiedział przytem, że kobiet nie zmuszano do przyjmowania tego lub owego zajęcia, lecz wszystko, co robiły, robiły z własnej ochoty. Był więc przekonany, że jeżeli Sławcia chce jechać na front, to czyni to z własnej chęci.

I rzeczywiście tak było. Dziewczyna, obcując często z Jurkiem podczas jego pobytu na urlopie, pokochała chłopca całą siłą swego młodociannego serca, a poznała przytem, że i ona mu była nieobojętną. W krótkim czasie naiwny, studencki postępek Jurka przemienił się w wypadek, który miał wywrzeć decydujący wpływ na życie tych dwojga młodych ludzi.

Sławcia poszła na front nie dla rozrywki, nie z ciekawości, ale z prawdziwego poświęcenia, chcąc nieść ulgę i pociechę tym, którzy na polu bitwy padali opuszczeni i zapomniani. Zdarzyło się tak, że znalazła się przy tym samym pułku, przy którym był Jurek, ale mimo to młodzi bardzo rzadko się spotykali, gdyż żołnierzyk niemal całe dni przepędzał w rowach strzeleckich, podczas gdy Sławcia po największej części pielęgnowała rannych i chorych, znajdujących się w szpitalu polowym. Jedynie podczas większej utarczki udawała się do samych rowów strzeleckich, aby z nich nieraz swoimi drobnymi rączętami wynosić poranionych.

Płynęły dni za dniami, podobne do siebie, prawie że niemal jednostajne. A różniły się tym od siebie, że na przykład przed wczoraj było tylko dwóch rannych, wczoraj jeden, a dzisiaj aże dziesięciu. A kiedy zdarzył się dzień, że żaden z żołnierzyków ani nie zachorzał, ani rany nie otrzymał, Sławcia dziękowała gorąco Bogu, uważając to za największe dobrodziejstwo dla siebie.

Dni takich zdarzało się coraz więcej, wskutek czego coraz mniej znajomych ubywało z szeregów. Ale miały wkrótce przyjść dni gorsze, niemal że straszne. Moskale naściągali na ów odcinek frontu masę armat, wzmocnili piechotę i po piekielnej kanonadzie, trwającej blizko 24 godzin, ruszyli do ataku. Szare szynele rosyjskie przesuwały się po kwiecistej łące, jakby szarańcza po zielonych runiach zbóż. Z polskiej strony odezwały się najpierw pojedyńcze strzały, rzadkie, potem huknęły salwy, a wraz zaczęły trajkotać karabiny

maszynowe. Linia żołnierzy rosyjskich załamała się, miejscami porobiły się w niej wyrwy, zostawiając za sobą ślad w postaci trupów i rannych. Ci jednak, których kula nie uwolniła od strasznego obowiązku, coraz bardziej zbliżali się do polskich okopów,

Sławcia, która wówczas przyniosła posiłek do rowów strzeleckich, przypatrywała się natarciu żołdaków rosyjskich. Pierwszy raz była bezpośrednio w środku bitwy, ale nie czuła najmniejszego lęku ani o siebie, ani o polskich żołnierzyków, bo była pewną, że ci nie dadzą się, chociażby i największej nawale.

A tymczasem szare szynele poczęły się wdzierać już do polskich okopów: rozpoczynała się walka na białą broń. Po prawej stronie Sławci, gdzie był również Jurek, Moskale jeszcze nie zdołali wedrzeć się w polskie okopy, ale po lewej już w samych rowach wrzał bój zawzięty. Porucznik, który tam sprawował komendę, spostrzegł, że nie oprze się przemocy, wezwał więc z prawego skrzydła kilku na pomoc.

Pobiegli z Jurkiem na czele. A gdy tylko doszli do celu, obskoczyła ich taka chmura nieprzyjaciół, iż dziesięciu wypadało na jednego. Jurek i jego towarzysze kłuli bagnetami, walili kolbami, to w lewo, to w prawo, ale coraz to jeden z nich słaniał się na nogach i zapadał wśród ciemnej masy. Sławcia widziała, jak Jurek pracował za dziesięciu, ale zarazem czuła, iż nie zdoła się tak długo utrzymać. Wtedy nie zważając na nic, pochwyciła za porzucony karabin i pobiegła w stronę walczących. Niestety było już zapóźno! Garstka bohaterów bądź wyginęła, bądź wiła się na czarnej ziemi poraniona, bądź szła w ciężką niewolę, cięższą od śmierci samej. Kiedy Sławcia nadbiegła, Moskale byli panami placu. Ona jednak, nie pomna na to, co się stać może, z podniesioną kolbą rzuciła się na tych, którzy jej Jurka uśmiercili. Nim się Moskale spostrzegli, już dwóch z nich wiło się w skurczach przedśmiertelnych z rozwalonymi czaszkami. Aliści w tej chwili przypadli inni, obskoczyli ją do koła, wytrącili broń z ręki, a widząc, że mają z kobietą do czynienia, w niewolę tylko uprowadzili.

Biedna, poszła w dalekie kraje, pędzona, jak zbrodniarz jaki, nie wiedząc nawet, co się z jej umiłowanym stało.

Cudowne połączenie.

Moskale nie mieli względów dla wątłej dziewczyny. Na równi z innymi jeńcami pędzono ją z obozu do obozu, z miasta do miasta. Cierpiała chłód i głód i stokroć gorsze od nich ordynarne obchodzenie się z nią carskich posiepaków, o jakiem nigdy nie miała ani wyobrażenia. Dopóki sił jej starczyło, cierpiąc sama okrótnie, pocieszała innych, pielęgnowała w chorobie. Ale wkrótce młode jej siły

nie zniosły nadmiaru cierpień: niewygody zwaliły ją z nóg, zapadła w długotrwałą chorobę. Szczęściem było dla niej, że dostała się do szpitala, na czele którego stał lekarz, podobno Polak katolik, człowiek bardzo zacny. Ten pielęgnował ją z nadzwyczajną troskliwością, a gdy nieco do siebie przyszła, wysłał ją do sanatoryum w głąb olbrzymiego państwa rosyjskiego.



— Ktoście wy? — zapytała zdziwiona Sławcia.

Tu ją zastała rewolucya rosyjska, tu doczekała się panowania bolszewickiego i wojny z Polską. O jakżeby pragnęła znaleść się teraz wśród swoich i pracować dalej dla tych, którzy piersmi swymi zasłaniali zmartwychwstałą Ojczyznę! Niestety, wszelkie jej usiłowania, aby powrócić do Polski, nie odnosiły skutku. Postanowiła więc, jeżeli nie mogła swoim, to przynajmniej wrogom być opiekunką i pocieszycielką. Zgłosiła się przeto w najbliższej komendzie bolszewickiej, jako pielęgniarka i oświadczyła gotowość pójścia na front. Przyjęto ją chętnie, gdyż pielęgniarek brakowało im bardzo.

Sławcia, jako pielęgniarka bolszewicka, przebyła wszystkie walki z armią jenerała Denikina i doczekała się chwili, gdy wśród bolszewików gruchnęła wieść, że wkrótce iść mają na Polskę. Serce uderzyło mocniej na wieść tę w sercu nieszczęśliwego dziewczęcia. Spo-

dziewała się, że jeżeli znajdzie się bliżej swoich, to przecież upatrzy sposobność, aby wyrwać się z ciężkiego jarzma i znaleźć wśród ukochanych.

Długo jednak miała na tę chwilę czekać, ale doczekała się jej wreszcie. Wojska czerwone posuwały się coraz bardziej ku zachodowi, na przeciw nich szła armia polska pod przewodem wytrawnych komendantów. Coraz częściej przychodziło do starć i potyczek, w których bolszewicy dostawali porządne cięgi. Ale do wielkiej bitwy jakoś nie przychodziło. A o taką bitwę Sławcia codziennie szczerze się modliła.

Pewnego wieczoru, kiedy półgłosem odmawiała modlitwę, siedząc pod rozłożystym dębem, w chwili właśnie, gdy wymawiała: „Królowo Polski módl się za nami!“, stanął przed nią, jakby wyrosły z pod ziemi, bolszewik w papasze, założonej na bakier, z dwoma rewolwerami za pasem z błyszczącym bagnetem na karabinie i ozwał się:

— Ta piękna wy bolszewiczka, co polskie modlitwy mówicie!

Sławcia poznała, że jest zgubioną. Gdy tylko bolszewik powie, że ona Polka, że modli się po polsku, to natychmiast ją bez sądu każą rozstrzelać. Wiedziała, że śmierci nie uniknie, chyba za cenę kłamstwa. Wszak mogłaby zaprzeczyć, wszak mogłaby powiedzieć, że żołnierz łże, a uwierzonoby jej, gdyż miała mir i poważanie. Postanowiła jednak nie uciekać się do kłamstwa. Jeżeli jej już zginąć przyjdzie, to zginie, jak na Polkę przystało, a nie splami ust swoich kłamstwem. Odrzekła więc:

— Tak jest, Polką jestem i nie wypieram się tego.

— A wiecie wy, że śmierć was za to czeka?

— Wiem i nie lękam się śmierci!

— I nie wyprzecie się tego nigdy!

— Nigdy przenigdy!!

— Więc cześć wam i sława — odrzekł żołnierz wzruszonym głosem. — A więc posłuchajcie, co wam powiem. Dni waszej niewoli niedługie. Armia polska coraz liczniejsza... rośnie, jak na drożdżach. Naprzeciw nas stoją bitne szeregi, a przewodzi im jenerał Rydz-Śmigły. Niedługo ma przyjechać sam naczelnik Piłsudski, nasz umiłowany dziadek, a wtedy kres waszej niewoli, a sława Polsce, sława i cześć.

— Ktoście wy? — zapytała zdziwiona Sławcia.

— Jam jeden z tych wielu, którzy w przebraniu przedostali się poza szeregi bolszewickie, aby nieść pociechę i nadzieję nieszczęśliwym, aby krzepić ducha w zwątpiałych i przygotowywać ich na przyjęcie bohaterów polskich.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy od zachodu odezwały się ciężkie pomruki, jakby nadchodzącej burzy.

— Zaczyna się! — szepnął żołnierz, a pożegnawszy ukłonem Sławcię, oddalił się szybko.

Jakoż znać było, że się zaczęło. Za pierwszym strzałem ozwały się coraz liczniejsze i donioślejsze. To artylerya dawała znać, że czas już oczyścić bujne łany ukraińskie od nawały bolszewickiej, że już czas przynieść znękanej ludności spokój i wyswobodzenie. A widać, że się zaczęło nie na żarty, gdyż coraz częściej przybiegali konni ordynansi z rozkazami, coraz gęściej przeciągały wozy z rannymi, coraz liczniejsi szli poranieni bolszewicy.

A już nazajutrz poczęli gromadnie uchodzić ci, którzy byli najzdrowsi, którzy byli najsilniejsi w nogach.

Sławcia poznała, że rozpoczął się pogrom armii czerwonej. Z wielkiej szczęśliwości nie wiedziała sama, co czyni. Zamiast się schronic gdzie w bezpieczne miejsce, aby tam doczekać przyjścia wojsk polskich, ona wyszła na kwiecistą łąkę i poczęła zbierać kwiaty, aby miała czem przyozdobić skronie zwycięzców.

Już ich miała cały pęk, a ciągle jeszcze mijali ją pospiesznie uchodzący bolszewicy. Zmęczona usiadła pod drzewem i oddała się błogim wspomnieniom o domu rodzinnym, o ojcu i matce i o... Jurku.

Marzenia te przerwał jej głos, tak dobrze jej znany.

— Panienko! schrońże się, bo tu jeszcze niezbyt bezpiecznie!

Zdziwiona podniosła oczy na mówiącego i z okrzykiem: Jurek! padła zemdlona.

Jakoż rzeczywiście mówiącym był znany nam Jurek, obecnie kapitan zwycięskich wojsk polskich, który szedł na czele swej kompanii.

Jakże się zdziwił, usłyszawszy najniespodziewaniej swe imię, wymówione tutaj. Rzucił się na ratunek omdlałej i ku swemu jeszcze większemu zdziwieniu poznał w niej tę Sławcię umiłowaną, którą wszyscy już od dawna mieli za umarłą.

Radości dwojga młodych opisywać nie potrzebuję, to tylko dodam na zakończenie, że Jurek wkrótce postarał się o urlop, aby w rodzinnym Rzeszowie na wieki połączyć się z swą najdroższą Sławcią.

Kapłan-bohater.

— „Za naszą i waszą wolność!“ — powiedział wódz naczelny i pchnął bohaterskie oddziały, aby wywalczyć niepodległość. Niestety, wyprawa, mimo bohaterstwa młodej armii polskiej, nie udała się; musiał nastąpić odwrót daleko, daleko ku zachodowi. A za cofającą się naszą armią runęła czereda wojsk czerwonych, paląc i mordując po drodze i w krwawym swym pochodzie dotarła aż do murów Lwowa i Warszawy. Fakt ten, napozór nieszczęśliwy, był jednak szczęściem dla Polski, gdyż obudził on uspionego ducha narodu, gdyż porwał go do czynu, który zadziwić miał świat cały.

I znów na wezwanie naczelnego wodza zerwał się naród cały do obrony przeciw strasznemu najeźdźcy. Opróżniły się szkoły, warsztaty, opustoszały urzędy, a kto tylko czuł siłę w dłoni, imał za karabin i spieszył w szeregi obrońców Ojczyzny. A czas był największy, bo wróg walił już w bramy stolicy. Polska nie zawiodła się na swych dzieciach; w przeciągu sześciu tygodni stanęła stutysięczna armia ochotnicza, w której większość była słaba ciałem, ale porywem i zapałem równała się siłom Samsona.

Bolszewicy na 15. sierpnia 1920 roku zapowiedzieli wzięcie Warszawy, a tak byli swego pewni, że wpierw już rozgłosili po całym świecie, że Warszawa została zdobyta. Tymczasem dowództwo polskie zgotowało im krwawą niespodziankę. Uprzedzając uderzenie ich na stolicę Polski, wymierzyło im cios tak stanowczy, że nietylko o zajęcie Warszawy kusić się nie mogli, ale rozbici uchodzili na łeb na szyję z naszej umiłowanej Ojczyzny. Sprawiły to zapał i bohaterstwo naszych żołnierzyków.

Z tysiąca bohaterskich czynów ochotników polskich przytoczymy jeden, który najgłośniejszem echem rozszedł się po całej ziemicy polskiej. Kiedy na obronę Warszawy wymknęła się na okopy wszystka młodzież szkolna i poszła z karabinem, by nastawić piersi i bronić serca Polski, poszedł z nią młody, bo 27-letni ksiądz Skorupka. Wmieszał się z tą młodzieżą w dywizyę poznańską i wartował noc całą. Nad ranem poczęły podpełzywać hordy mongołów, zerwały się z krzykiem i ruszyły na naszych. Rozpoczął się bój! Załamały się pierwsze szyki pod silnym i czujnym ogniem naszej wiary. Chwila wahania, czy bronić się tylko, czy z impetem uderzyć na przeważające siły. Przeważyło zdanie ostatnie. Hajże z okopów gnać, ścigać krwawego najeźdzce! Rozległa się pieśn „Serdeczna Matko“, a wraz z pierwszymi dźwiękami pieśni chłopcy nasi ławą suną na bolszewików. Z krzyżem w ręku, w stule na piersi, pierwszy na nich leci ksiądz Skorupka. Płynie fala młodzieży na bagnety, rąbią, kłują, po-

płoch ogarnia Moskali. Już nie walczą o zwycięstwo, ale o życie własne. Jakiś szał radosny ogarnia chłopów, hulają, jak cyklon na morzu. Od prawej flanki pierzcha, cofa się odporna dotąd gromada Mongołów, bosych, obdartych, z gołymi łydkami, o wyłupiastych oczach. Ku nim, zastąpić im! Mkną, a znów na czele chłopców biegnie ksiądz Skorupka z krzyżem w dłoni. Zastępuje im drogę, a obok niego stoi bohaterski oficer i gromada chłopców. Bolszewicy, parci z tyłu i prażeni kulami, spostrzegają nową zaporę. Ostrzeliwują się, jak mogą, biegnąc, byle tylko unieść życie z niespodziewanego zatrzasku. W tę ćmę wpada ks Skorupka z podniesionym krzyżem w ręku i pada rażony kulą, a chłopcy, mszcząc się zwyciężają.



Śp. ks. Ignacy Skorupka padł w obronie Warszawy na szańcu radzymskim.

I od tej chwili zaczyna się ponowny krwawy pochód przez ziemie polskie z tą różnicą, że teraz ścigającymi są chłopcy polscy, roznoszący w puch olbrzymie armie rosyjskie, biorącymi w niewolę dziesiątki tysięcy jeńców i nieprzeliczoną zdobycz wojenną. Tryumf Lenina i Trockiego zgasł pod murami Warszawy, a siła Polski zajaśniała w całej pełni, aby znów okazać światu, że Polska, jak była przed wiekami, tak i teraz jest przedmurzem kultury i cywilizacyi.